

# Odgłosy

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042  
Nr indeksu 36762

NUMER 4 (1400) ROK XXVIII

26 STYCZNIA 1985 ROKU

CENA 15 ZŁ

- „Łokietek”
- Najważniejsze, że nie było ofiar w ludziach
- Skrzywiona perspektywa
- Jak przestałem się kręcić
- Zdobyć łódzką publiczność od nowa...

## Rewolucyjna niecierpliwość

EDMUND LEWANDOWSKI

W historii kultury znajdujemy wiele różnorodnych wizji szczęśliwych ustrojów społecznych. Z tym, że w starożytności i średniowieczu głównie spoglądano wstecz i wspomniano mityczny okres „złotego wieku” lub utraconego raju, zaś w czasach nowożytnych i najnowszych z reguły powstawały utopie i perspektywy. W XVI wieku olbrzymi rozgłos uzyskało dzieło Tomasa Morusa: „Książeczka zaiste złota i nie mniej pożyteczna jak przyjemna o najlepszym ustroju państwa i nie znanej dotąd wyspie Utopii”. Uczony angielski (kanonizowany w 1935 r.) wywarł wpływ na kilka innych koncepcji i uchodził za prekursora myśli socjalistycznej.

Ale w zasadzie pierwszym, który zakładał nieuchronne nadejście epoki rozumu, wolności, równości i braterstwa był Joachim z Fiore. Już w XII wieku przepowiadał, że w rezultacie wielkich wojen klasowych narodzi się społeczeństwo nie znające pojęcia własności. Wbrew ogólnemu przekonaniu o „starzeniu się świata”, genialnie przeczuwał, że historia ludzkości jest procesem postępowym, w którym nowe powstaje w walce ze starym, a każdej epoce towarzyszy odmienna ideologia i specyficzny typ osobowości.

Później nie tak wielu myślicieli rozumiało związek między realiami procesu dziejowego a ludzkim dążeniem do szczęścia. Do tych nielicznych przede wszystkim zalicza się Karola Marksa — twórcę socjalizmu naukowego.

Od dnia, w którym zmarł on „spokojnie i bezboleśnie” (Engels) w Londynie upłynęło już przeszło sto lat. A od początku Polski Ludowej zdążyły wyrosnąć dwa pokolenia. Fakty te, oraz przeżywanie przez nas kryzys i obserwowane reakcje społeczne, skłaniają do powtórnego stawiania problemów zasadniczych. Stąd też w niniejszym szkicu podejmuję próbę konfrontacji niektórych ważniejszych założeń marksowskich z doświadczeniami polskimi. Przedstawiam też pewne wnioski i propozycje.

Karol Marks — w odróżnieniu od socjalistów utopijnych — unikał przedstawiania szczegółowego obrazu społeczeństwa komunistycznego. I wraz z Fryderykiem Engelsem podkreślał, że komunizm stanowi ruch społeczny, a nie gotowy i niezmienny ideał do urzeczywistnienia. Nie oczekiwał on wcale rychłego spełnienia marzeń o szczęśliwym ustroju. Zwrotił na to słusznie uwagę Władysław Tatarkiewicz: „Realni politycy — pisał — nie oddawali się utopii szybkiego i bezboleśnego szczęścia. Nie ma o tym mowy u Marksa, Przyszłe szczęście po rewolucji próbował opisywać tylko Kautsky”. Ale również i Karol Kautsky teoretycznie był przeciw wizjom przyszłości, lecz uległ, jak inni, pewnemu społecznemu i politycznemu zapotrzebowaniu. Każdy ruch musi mieć jakiś program oraz bliższe i dalsze cele działania. To też nie miał racji Edward Bernstein, że ważny jest sam ruch (reformy), a cel (ideał) w ogóle nie ma znaczenia. W rzeczywistości chodzi o to, aby przewidywać jedynie „ogólny kierunek” (Engels) rozwoju i nie traktować dalekosieżnych planów w sposób dogmatyczny.

Wierzę, że Marks do utopii wynikała logicznie z jego teorii. Ujmował on rozwój społeczeństwa jako „proces przyrodniczo-historyczny”, w którym podmiotowe działania jednostek i grup wzajemnie spletają się i krzyżują, dając w sumie bezpodmiotową wypadkową. W dodatku świadomość społeczna nie stanowi suwerennej dziedziny, lecz zależy od struktury bytu społecznego. Ludzie zatem mają niezbyt duże możliwości świadomego kształtowania procesu społeczno-historycznego i ponoszą ograniczoną odpowiedzialność za jego przebieg. „Zdaniem Marksa — jak wyjaśniał Engels — cała dotychczasowa historia, jeśli chodzi o wielkie wydarzenia, przebiega nieświadomie, tzn. tych wydarzeń i dalszych ich następstw nikt nie przagnął. Figuranci historyczni albo pragnęli bezpośrednio czegoś innego, niż osiągnięto, albo też to, co osiągnięto, ma z kolei zupełnie inne, nieprzewidziane następstwa”. Skoro zaś tak jest, nie może być oczywiście mowy o prostej i bezbłędnej budowie socjalizmu. Wciąż będą pojawiać się jakiegoś zjawiska niezaplanowane, choć nieprzypadkowe, a skutki różniące się od intencji. Alienacja można z mniejszą, lecz nie sposób jej całkowicie zlikwidować. Tak samo nie da się odwrócić zależności między bytem a świadomością.

Wspomnianych wyżej uwarunkowań i prawidłowości, chociaż należą do elementarnych w marksizmie, nie uwzględniła się dostatecznie w dyskusjach na temat naszych kryzysów. Często na przykład wysuwane są żądania stworzenia gwarancji, że w przyszłości nie zostaną popełnione żadne błędy, podczas gdy realnie można tylko starać się ograniczyć ich liczbę i rozmiar. W tak wielkim i zuchwałym przedsięwzięciu, jakim jest próba pokierowania historią i stworzenia nowego ustroju, pomyłki są nieuniknione. Dlatego Lenin pisał w kwietniu 1920 roku: „Kto lekka się trudności związanych z budowaniem socjalizmu, kto daje się tymi trudnościami zastraszyć, kto ulega zwątpieniu lub małodusznie wpada w panikę — ten nie jest socjalistą”.

Podstawowym celem socjalizmu jest zniesienie klas



Foto: Andrzej Wach

## Pożar na Brukowej

MAREK MAMOS

Już w czwartek po mieście krażyły trzy plotki. Pierwsza mówiła o podpaleniu magazynu w celu ukrycia wielkiego manka. Nieprawda. Manka nie było. Ostatnia inwentaryzacja przeprowadzona na przełomie sierpnia i września wykazała nawet kilkakrotnie więcej superaty, a załoga otrzymała 150 tysięcy nagrody za prawidłowe składowanie mebli.

Druga, że był to polityczny sabotaż. Podobno ktoś podpalił meble, które miały zostać wysłane na eksport do ZSRR. Bzdura. „Domar” niczego nie sprzedawał do ZSRR. Wręcz przeciwnie. W magazynie znajdowały się meble sprowadzone ze Związku Radzieckiego.

Wreszcie trzecia plotka. W spalonej części magazynu znajdował się sprzęt wojskowy o czym ma świadczyć skażenie radioaktywne. Skażenie niewielkie, ale rzeczywiście było. Powstało wskutek zniszczenia czujników przeciwpożarowych, które zbudowa-

wane są między innymi z ołowiu zawierającego radioaktywny pluton. Na piętze było ich razem równo 100. Promieniowanie w żadnym razie nie zagrażało zdrowiu, a tym bardziej życiu ludzi. Niemniej już następnego dnia przyjechała z Warszawy specjalna komisja dezaktywacyjna, która odkaziła teren.

Zagadkowe natomiast jest zestawienie następujących faktów. Pożar wybuchł wtedy, gdy w budynku magazynu nie było wody w wyniku awarii rurociągu. Zapaliło się na drugim piętrze po lewej stronie, a pomieszczenie dla kierownictwa i pracowników znajduje się na parterze po prawej. Prawdopodobieństwo powstania pożaru samoistnie było w tym miejscu niewielkie. Znacznie większe zagrożenie było w stolarni, która jednak pozostała nieknięta przez płomień. Jest właśnie styk zmian. Przychodzą nowi pracownicy. Dopiero co przebrali się w robocze ubrania. Wielu nie przy-

## Baśniowy sen „Juventusu”

JOLANTA WRONSKA

W pasażu stoją dwie długie kolejki. Jeszcze pół godziny do otwarcia, jeszcze karny orzudek w rosnącym tłumie. Na kilka minut przed dziewiątą łamie się szyk, zbita masa napiera na szklane tafle. Co najmniej raz na tydzień jakaś szyba nie wytrzyma natarcia.

Pokoik jest maciupki. Sekretarki nie ma. Jest jeszcze gorzej: firma nie ma nawet rzeczniczki prasowego. Jakim cudem w ogóle może to działać — nie wiem. Dyrektor sam łąta z czajnikiem, robi kawę, sam odbiera milion telefonów, nie ma reprezentacyjnego gabinetu — nic nie rozumiem. Przywykli człowiek, że bez palmy i dywanu nie może być porządnej firmy, bez legjonu administracyjnego mowy nie ma o prawidłowym funkcjonowaniu, a tu nie! A jednak firma najwyraźniej nie wykazuje objawów kryzysu. Na dole, w hali, zwarte zastępy ludzi tłoczą się do stoisk firmowanych znakami

różnych fabryk, wytwórni, spółdzielni. Przy jednym z nich trwa właśnie bój o szlagier sezonu — fantastyczne kurtki. Z maderos, na futrze, modny fason — kupujcie ludkowie — reklamowała o bładym świecie łódzka rozgłośnia radiowa. Wziął naród zwolnienia, urlopy, wali po kurtki. Zima idzie, ludziska szukają ciepłych wdzianek, tylko się cieszyć... gdyby nie smutnawa myśl: czy to tak trudno przewidzieć, że w naszym klimacie może się zdarzyć zima i przygotować na sezon dostawy dobrze skrojonych, modnych okryć. Wiadomo, kurtki wygodne, noszą panie i panowie i czy to tak trudno wpaść na dobry pomysł? Ano, okazuje się, że niektóra konkurencja dała się zaskoczyć klimatowi — co i dobrze, w ten bowiem sposób utrwała się dobra reputacja Młodzieżowego Domu Mody „JUVENTUS”.

J.W.: Co „JUVENTUS” ma z dobrych pomysłów, trafionych

w potrzeby klienta? — dyrektor Anna Mospinek cokolwiek niespokojnie odbija pytaniem o to, czy wiem jak to jest z malowanymi wróblami, ale odpowiada: „No, ma. Dyplomy uznania. Czasem”.

J.W.: A w pieniądzech? A.M.: Sprzedawczyni otrzymują prowizję od obrotu na swym stoisku i premię z zysku.

J.W.: A co dostaje projektantka za trafiony pomysł, na którym Dom zarobił sporo pieniędzy?

A.M.: Pensję 9.000 złotych plus premię kwartalną 30 procent. Prowizja od obrotu za pomysł nie przysługuje.

J.W.: Nie rozumiem? Jak to nie przysługuje? Przecież dzięki tym pomysłom przedsiębiorstwo zarabia, utrwała się dobra marka sklepu, klienci wiedzą, że tu się zawsze znajdzie coś ciekawego, co w dzisiejszych czasach w ogóle jest czymś —

pardon — nienormalnym. Żeby klient chwalił sklep..

A.M.: „hmm... Ostatnia kontrola PIH zakwestionowała tryb pracy projektantki. Jak nie ma odsiedzanego przy biurku czasu pracy od ósmej do piętnastej, przez wszystkie robocze dni tygodnia, to jest coś nie w porządku. Nie zgadza się z urzędniczym wyobrażeniem pracy. Fakt, że praca projektanta nie daje się włożyć w formę „urzędową”, że wymaga zwyczajnie — talentu — nie mówiąc o obejźdaniu producentów, uzgadnianiu, pilnowaniu, żeby pomysł projektowy nie ucieknął się w uragowisko mody, dobrego smaku i jakości — tego kontrola pod uwagę nie bierze. Bo skoro ma być „od — do”, nieważne są sprawdzalne efekty pracy, lecz „obecność fizyczna”. A gdzieś tam, specyfika zawodu, bliższego twórczości niż urzędowania?

6

7

3

# Ogłoszenia

Adres redakcji: 90-113  
Łódź, ul. Henryka  
Sienkiewicza 3/5.  
Telefony: redaktor naczelny  
i zastępca redaktora  
naczelnego 36-52-44,  
sekretarz redakcji,  
fotoreporter: 36-80-99,  
publicyści: 36-77-70.  
Redaktor naczelny: Lucjusz  
Włodkowski.  
Zastępca redaktora  
naczelnego: Tomasz Sas.  
Sekretarz redakcji:  
Grażyna Olechnowicz.  
Redaktor techniczny:  
Janusz Kozłowski.  
Zespół: Ryszard Binkowski,  
Dariusz Dorożyński,  
Eugeniusz Iwanicki, Teresa  
Jerzykowska, Andrzej  
Karolczak, Roman  
Kubiak, Jerzy Kwieciński,  
Bogda Madej,  
Andrzej Makowiecki,  
Paweł Tomaszewski,  
Jolanta Wrońska.  
Grafik: Janusz  
Szymański-Glanc.  
Fotoreporter: Grzegorz  
Galański.  
Korekta: Mariola Knaga,  
Jolanta Sawiuk.  
Stale współpracują:  
Tadeusz Błażejowski,  
Edward Bryl, Krzysztof  
Dzwiecki, Grzegorz  
Gazda, Bohdan Gadomski,  
Witold Kasperkiewicz,  
J. Stanisław Knypl,  
Włodzimierz Krzemiński,  
Edmund Lewandowski,  
Marek Mamos,  
Zenon J. Michalski,  
Krzyszta Namysłowska,  
Jerzy Panasewicz, Ewa  
Pankiewicz, Karol  
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.  
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.  
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów, i zastrzega sobie prawo do skrótów.  
Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”. 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.  
Zam. 129. P-2.

# Ogłoszenia

2 ODGŁOSZY

# Przegląd prasy

Gdybym był takim cynikiem, za jakiego mnie uważają niektórzy koledzy no fachu, czytelnicy i korespondenci, to powinienem teraz właśnie cieszyć się, że sprawdziła się moja

## PRZEPOWIEDNIA O KORKU KONSULTACYJNYM

Oto jednocześnie konsultujemy kilka kwestii — bardzo ważnych i niezwykle istotnych dla państwa, jak założenia nowej ordynacji wyborczej do Sejmu, lub niezwykle ważnych dla gospodarki i poziomu życia obywateli, jak warianty podwyżki cen — a przy tym parę innych spraw, interesujących jakby mniej.

Aktywny obywatel, chcący sprostać wymaganiom wszystkich centrów dyspozycyjnych, które zapragnęły poznać jego zdanie, a do tego ucziwy i prawdomówny oraz samokształcący się w zawiłościach naszego życia publicznego, musi poświęcać coraz więcej czasu na studiowanie rozmaitych propozycji, wariantów i możliwości rozwiązań w dziedzinach coraz bardziej wyspecjalizowanych, wymagających istotnie sporego nateżenia uwagi, wiedzy i zdrowego rozsądku.

Cieszę mnie niepomniernie, że tacy obywatele jeszcze w ogóle są — ba, jest ich coraz więcej, jak się wydaje. Nateżenie dyskusji, temperatura emocjonalna rozmaitych sond i licznich, rozmów telefonicznych i wypowiedzi w gazetach wcale nie maleje — i to nie tylko na temat żywo obchodzonych wszystkich podwyżek cen. Z drugiej wszelako strony zaczyna mnie niepokoić objawy rosnącej dezygnolity, bez troski nawet, rozmaitych czynników, ogłaszających coraz to nowe konsultacje. Przewiduję, że niebawem spotkamy się z objawami zniechęcenia i zubożenięcia wobec zalewu rozmaitych propozycji, a samo słowo „konsultacja” stanie się wyswiechtanym frazeosem, może nawet straszakiem.

Może się tak stać dlatego, iż moda na konsultacje przerasta realne potrzeby konsultowania rozmaitych decyzji. Samo konsultowanie, które jest nie tyle narzędziem głównego nurtu demokracji życia publicznego, co raczej jego ślepy (choćby burzliwym...) odgałęzieniem, sprządza bowiem niebezpieczeństwo traktowania tych pogłębiających sondy opinii w różnorodnych, coraz częściej duperelnych kwestiach, jako wygodnego alibi dla nieudolnych lub tchórzliwych administratorów. Co więcej: konsultacje mogą być traktowane jako zabieg socjotechniczny, uwiarygodniający „demokratyczne intencje” ich organizatorów, przestana natomiast być uczciwym poszukiwaniem pomocy u obywateli w trudnej sztuce rządzenia.

Te niewesołe refleksje nawiedziły mnie po opublikowaniu komunikatu PAP

O CZTERECH WARIANTACH ROZWIĄZANIA KWESTII WOLNYCH SOBÓT

w szkołach, proponowanych przez resort oświaty. W komentarzu uzasadniającym otwarcie tej nowej kwestii przeczytałem: „Propozycja skierowana przez resort oświaty i wychowania pod adresem szkół pracujących systemem zmianowym o podejmowanie nauki w wolne soboty nie spotkała się niechęcią ze zbyt dużym zainteresowaniem. Tylko nieliczne szkoły inicjatywy tę podjęły.

W tej sytuacji, licząc się z potrzebą zmian, Ministerstwo Oświaty i Wychowania postanowiło poddać szerokie konsultacje społecznej propozycji rozwiązania tego problemu. (...)”

Jest właśnie pierwszy objaw syndromu konsultacyjnego. Za interesowane środowiska, same szkoły, z jakichś tam względów, mniejsza o to jakich, wzgardziły propozycją swojego ministra, wypięły się na resort; być może — z pobudek egoistyczno-egalitarystycznych kierujących tzw. nauczycielstwem. Minister na to odwołuje się do delikatnego szantażu: niech się wypowie opinia publiczna. Minister nie potrafił sobie sam poradzić z problemem, choć wie z góry, które rozwiązanie jest najlepsze, najkorzystniejsze dla szkoły — jest przecież ministrem. Ale woli stworzyć wrażenie, że pyta PT. Rodziców o zdanie... By uzbrojony w wyniki sondyż przełamać opory pedagogów.

Jest to chwyt socjotechniczny, oparty o przekonanie, że żaden ze zreszcie skonstruowanych wariantów (wyjawszy pierwszy, który niczego nie zmienia) nie zyska zdecydowanej przewagi. Wtedy można będzie podjąć decyzję kompromisową i ze wszech miar słuszną. Ale po co konsultacje? Czy bez nakreślenia inflacji konsultacyjnej nie można podjąć właściwej decyzji?

Można. Ale za gardło chwytających przed posiadaniem o autokracym i inne grzechy główne przeciw „demokracji”.

Sporo interesujących refleksji uogólniających wspomniane tu kwestie zawiera, pierwszy z trzydziestoletniego cyklu, artykuł prof. Sylwestra Zawadzkiego w „Trybunie Ludu” (nr 15 — 85.01.18) pt. „Umocnienie państwa a rozwój demokracji socjalistycznej”.

Prof. Zawadzki pisze tak: „Zbieżność występuje między umocnieniem państwa, podnoszeniem sprawności jego działania a rozwojem demokracji socjalistycznej. Tak, jak nawet

## NAJBARDZIEJ DOSKONAŁA ADMINISTRACJA

nie może prawidłowo funkcjonować bez systematycznej kontroli ze strony organów przedstawicielskich i innych form współdziałania czynnika społecznego (w postaci samorządu), tak również najszerszej rozwiniętej formy demokracji socjalistycznej nie dawałoby efektu bez sprawnego aparatu wykonawczego, który będzie wykonywał uchwały organów przedstawicielskich i samorządowych. (...)

Proces pogłębiania demokracji socjalistycznej, podnoszenia rangi Sejmu i rad narodowych, umocnienia form samorządowych oraz proces umocnienia i podnoszenia sprawności administracji — nie są procesami stojącymi ze sobą w sprzeczności.

Nie są na pewno. Powstaje tylko problem samej demokracji. Czy ma to być doskonała demokracja przedstawicielskiej — czyli stałe polepszenie procesu doboru ludzi do władzy i poszerzenie władzcy uprawnień parlamentu i rad, czy też wprowadzanie szeroka ława do naszego życia publicznego elementów demokracji bezpośredniej — wszechogarniających konsultacji i częstych referendów?

Nie wiem jak być powinno. Nasze realne doświadczenia polskiego państwa nie dostarczają żadnego pewnego uzasadnienia do wyboru jednej z dróg. Demokracja bezpośrednia nie funkcjonowała nigdy, a niedoświadczenia i wypaczenia parlamentaryzmu skłaniają do ostrożności co najmniej. Tylko intuicja odpowiada mi, że mimo wszystko właściwsza jest konsekwentna i pełna demokracja przedstawicielska.

W ankiecie „Tu i Teraz” (nr 2 — 85.01.09.) zatytułowanej „Od czego zależy

## SILA WSPÓŁCZESNEGO PAŃSTWA

prawnik Piotr Winczorek zwraca uwagę na kapitalny problem związany z demokracją srosowaną. „Fundamentalnym kryterium pomiaru siły współczesnego państwa jest, w moim przekonaniu — dysze Winczorek — stopień identyfikacji obywatela ze zbiorowością — lokalną, produkcyjną, narodową i w końcu państwową. (...) Identyfikacja, tak, jak ja tu przedstawiam, to stan, który we współczesnych społeczeństwach

może być osiągnięty dopiero po spełnieniu jednego co najmniej, lecz bardzo istotnego warunku. Jest nim równoległe funkcjonowanie w różnych zbiorowościach obywatelskich realnych mechanizmów partycypacji. Członkowie współczesnych społeczeństw (...) są skłonni do identyfikacji ze zbiorowością tylko wówczas, gdy czują, że na jej przedsięwzięcia, a przede wszystkim na własny swój los, mogą, jako jej uczestnicy skutecznie oddziaływać. (...) Skutki masowej i konsekwentnej odmowy identyfikacji obywatela z państwem, a więc odmowy czynnego udziału w rozwiązywaniu spraw tej wspólnoty oznaczają równocześnie jej katastrofę. (...) Demokratyczna partycypacja obywateli w decydowaniu o sprawach państwa jest nie tylko sposobem na zaspokojenie rozbudzonej potrzeby indywidualnej i zbiorowej samorealizacji, lecz również konieczną przesłanką siły państwa w jego współczesnej postaci”.

Podzielim pogląd Piotra Winczorka, ale ciągle jeszcze nie wiem, co lepsze — bezpośredni udział wszystkich we wszystkich na wszystkich szczeblach struktur państwa, czy też lepszy jest staranny wybór najlepszych przedstawicieli ogółu do sprawowania władzy?

Dajmy jednak spokój tej kwestii, przynajmniej na razie, bo okazji do donownego podjęcia tych rozważań w najbliższej przyszłości zapewne nie zabraknie.

Przypatrzmy się raczej, jak funkcjonują „szczęśliwi”. I to akurat w Łodzi, w naszym Pogotowiu Ratunkowym, które — jak wynika z reportażu Tomasza Sienkiewicza pt. „Pożółta” w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 3 — 85.01.20) — samo potrzebuje pomocy i to ze względu na

## STAN PERMANENTNEGO PIJANSTWA

personelu i zadziwiająca tolerancja kierownictwa oraz władz miasta.

Bohaterke reportażu, lekarke o dwudziestoletnim stażu pracy, właśnie w małej stacji pogotowia i w małym sądzie wywołano z pogotowia, albowiem „nie można dopuścić do tego, żeby cała personel był skłócony z jedną osobą” — cytuję z listnego uzasadnienia wyroku autor reportażu. Z jedna osoba, ledwie na, która zechciała przeciwstawić się „wszechogarniającemu wodochleństwu, jedyna, która ujawniła publicznie to, o czym w naszym mieście mówi się od dawna — że wstawiony funkcjonariusz pogotowia to raczej norma niż odosobniony, godny napiętnowania przypadek.

Zatem wszyscy się cieszą — pominawszy pacjentów oczywiście, ale kto by tam zaprzął sobie głowę drobiazgami, ważne by zaloge firmy ożywił duch wspólnoty i solidarności profesjonalnej. A że w tym wypadku duch i spirytus to najdosłowniej jedno... mniejsza z tym. Pod reka zawsze stosowne medykamenty i usługi kole-dzy. Już rezerwujemy miejsce na sążnista i pełna oburzenia, godna odrzawy dyrekcji i dzielnej zalogi naszej stacji pogotowia, dana tym obrydlivym pismakom. I obyśmy zdrowi byli...

Ba, uważne czytanie prasy, zwłaszcza organu każdego konsumenta „Veto”, doprowadzi nas do przekonania, że właśnie

## WÓDA JEST ZDROWA!

W „Veto” zainstalował się Komitet Kultury Picia (KKP w skrócie, żeby było łatwiej zgadnąć) i namawia on nas do „rozsądnego i umiarkowanego picia napojów alkoholowych, albowiem to „poprawia nastrój i łaknienie, a tym samym może pozytywnie wpłynąć na przyswajanie pokarmów”. Zawsze twierdziłem, że najważniejszy jest uśmiech i przyzwolne zakaski. Chlanie na ponuro i głodno to prosta droga do nalogu, drodzy rodacy... Hail!

TOMASZ SAS

# Nagrody Miasta Łodzi

Tradycyjnie już w przeddzień rocznicy wyzwolenia Łodzi odbywa się wręczenie dorocznych Nagród Miasta Łodzi dla szczególnie zasłużonych mieszkańców naszego miasta i województwa. W tym roku wręczenia nagród dokonano podczas uroczystej sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi w Teatrze Wielkim.

Nagrody otrzymali:  
doc. dr Mieczysław Bandurka — archiwista, pracownik Archiwum Państwowego, popularyzator dziejów Łodzi;  
Wigiliusz Gryń — aktor Teatru im. St. Jaracza, twórca wielu wspaniałych kreacji scenicznych, filmowych i telewizyjnych;  
doc. Zenon Hodor — koncertmistrz Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina, pedagog i propagator kultury muzycznej;  
Władysław Król — nauczycielka, wybitny pedagog w dziedzinie wychowania przedszkolnego;  
Władysław Lachowicz — nasz kolega po fachu, dziennikarz sportowy „Głosu Robotniczego”, organizator wielu cennych przedsięwzięć szkoleniowych i imprez sportowych;  
dr Edward Mendelewski — pracownik Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii, specjalista w dziedzinie hodowli drobiu;  
prof. dr Marian Mikolajczyk — zastępca dyrektora Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN, twórca polskiej szkoły chemii siarki;  
prof. dr Stefan Przewlocki — geodeta-kartograf w Instytucie Inżynierii Środowiska Politechniki Łódzkiej;  
prof. Leszek Różga — wybitny grafik, pedagog w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych;  
plk. prof. dr hab. Zdzisław Rydzyski — dyrektor Instytutu Higieny Psychiczej Wojskowej Akademii Medycznej, naczelny psychiatria Wojska Polskiego;  
prof. dr Romuald Skowronski — dyrektor Instytutu Chemii Uniwersytetu Łódzkiego, były rektor tej uczelni;  
Edward Szuster — literat i działacz społeczny.

Nagrodę zbiorową za całokształt działalności w dziedzinie literatury i upowszechniania kultury otrzymało Wydawnictwo Łódzkie.

Laureaci nagród, także z lat poprzednich, otrzymali pamiątkowe Medale 40-lecia Wyzwolenia Łodzi.

Podczas sesji Rada Narodowa m. Łodzi uchwaliła ustanowienie Honorowej Księgi Województwa Łódzkiego, do której wpisywane będą nazwiska Budowniczych Polski Ludowej, laureatów Nagród Miasta Łodzi i innych wyróżniających się obywateli naszego województwa.

# Po przeprowadzce

Nareszcie! „Ogłoszy” mają nowy lokal, co prawda niemał na szczycie wieżowca przy ulicy Sienkiewicza 3/5, ale ekspresowa winda mknie do nas dokładnie 39 sekund.

W ubiegłym tygodniu zakasaliśmy rękawy — wszyscy, nawet szef osobistej pucował pomalowane biurko. Przy okazji — w co rozumieć, że trudno uwierzyć — komisyjnie stwierdziliśmy, iż budowlani spłasił się na medal i nie popełnili ani jednej łuszerki. Niesamowicie!

W sobotę, 19 stycznia nastąpiła inauguracja centrum prasowo-telewizyjnego — bo taka jest idea zagospodarowania budynku. Fanfar nie było, szanowni goście obejrżeli redakcyjne pokoje i wyrazili swoje opinie — notabene zgodne z naszymi.

W uroczystości przekazania nowych pomieszczeń dla „Ogłoszów” udział wzięli: członek Biura Politycznego KC PZPR, i sekretarz KC PZPR — TADEUSZ CZECHOWICZ, wiceprezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” — BRONISŁAW STEPIEŃ, sekretarz KW PZPR w Łodzi i Piotrkowie Trybunalskim — ANDRZEJ HAMPEL i KAROL SEKOWSKI.

Dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — PIOTR SAGAN wylamał się z utartych zwyczajów i zamiast symbolicznych kluczy wręczył szefowi redakcji... zupełnie prawdziwe pieczątki, nadając tym faktem prawomocność działania redakcji w nowym miejscu.

Brygadziści i mistrzowie przedsiębiorstw, które wykonywały w centrum prasowo-telewizyjnym prace adaptacyjne zostały wyróżnieni upominkami i listownymi podziękowaniami zespołu redakcyjnego „Ogłoszów”.

Była i okazja do spotkania ze współpracownikami, sympatykami i przyjaciółmi „Ogłoszów”. Przybył nawet sam profesor J. Stanisław Knypl — niestrudzony polemista, w którego istnienie wielu powątpiewało.

W nowych redakcyjnych pokojach naszego tygodnika już stukają naszemu do pisania. W powietrzu unosi się zapach farb i świeżego drewna. Pod nóż, na niższych poziomach trwają prace remontowe. Niebawem wprowadzą się tam nasi sąsiedzi: „Karuszela”, Krajowa Agencja Wydawnicza, „Express Ilustrowany” i Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Póki co, zapraszamy do nas. Kto zaś lekka się jazdy ekspresową windą, może korzystać ze schodów — na 13 piętro wchodzi się po 299 stopniach.



Foto: Grzegorz Galański

## Dokończenie ze strony 1

społecznych, co oznacza przewyższenie nierówności z tytułu stosunku do środków produkcji (likwidacja wyzysku), miejsca zamieszkania (miasto, wieś) i charakteru pracy (umysłowa, fizyczna). Ale dla przeciętnego obywatela prosty, ludzki sens systemu socjalistycznego polega na tym, żeby wszystkim ludziom pracy żyło się coraz lepiej i szczęśliwiej. I o to przecież również chodziło Marksowi, kiedy akcentował, że ważniejszą sprawą od poznania świata jest kwestia jego przekształcenia. Sama wiedza, co jest prawdą nie satysfakcjonuje człowieka, gdyż przede wszystkim pragnie on redukcji zła. Toteż Karol Marks dążył, aby idea socjalizmu stała się siłą materialną i w sposób rewolucyjny przeobraziła świat.

Historia pokazuje jednak, że wielkie i szlachetne idee zawsze dotąd zawodziły przy próbach ich wcielenia w życie. W związku z tym Jan Szczepański doszedł do wniosku, że chyba wszystkie rewolucjonistów i reformatorów myśli się zakładając, że można udoskonalić świat poprzez pozyskanie mas dla idei i następnie jej urzeczywistnienie. Jego zdaniem trzeba zgodzić się z dialektyką i faktami, że „każda idea stojąc się siłą społeczną, rodzi swoje antyświaty, a ze starcia między nimi powstaje tyle zła, że przesłania ono zupełnie oczekiwane dobro”. Wobec tego eliminacji zła należy dokonywać inaczej: głównie drogą rozwoju wewnętrznej „czystej indywidualności”, a nie przy pomocy rewolucji i reform społecznych.

Koncepcja ta pociąga swą paradoksalnością, lecz w istocie nie stanowi „kopernikańskiego” odkrycia, ponieważ podobne poglądy dawno głosił Budda, Patañjali, a także Jezus. Jest ona jakby awersem w stosunku do przesadnej wiary w uszczęśliwiający charakter rewolucji, w moc radykalnych zmian strukturalno-institutionalnych. Natomiast prawdą jest — według mnie — całością i syntezą obu stanowisk. To znaczy, że poprawa losu ludzkiego winna dokonywać się jednocześnie poprzez przeobrażenia podmiotu i przedmiotu, świadomości i bytu.

Analiza doświadczeń polskich i innych wykazuje zresztą, że nie jest możliwa i nie ma sensu rewolucja społeczna bez reformacji świadomości. Same zmiany świata „zewnętrzne” nie powodują automatycznie odpowiednich zmian duchowych i poprawy ludzkiego samopoczucia. Lecz dodatkowo i równolegle trzeba tworzyć nowy ład moralny, inny system wartości. Jest to tym bardziej ważne, że rewolucjom socjalistycznym nie towarzyszył dotąd spontaniczny ruch analogiczny do tego, który niegdys srodził kapitalistyczny etos gospodarczy i życiowy. Za mało było socjalistycznych purytanów.

Niestety w naszej praktyce budowy socjalizmu wciąż nie doceniamy wagi zagadnień moralnych. I nie potrafimy realizować zasady jedności ekonomiki, polityki i kultury. Sprawy osobowościowe poświęcamy na rzecz gospodarczych.

Kiedy czytamy u Marksa, że człowiek z istoty jest „całokształtem stosunków społecznych” nasuwa się pytanie: czy zdawał sobie sprawę z niezwyklej złożoności ludzkiej osobowości? Na pewno nie wiedział, jak my obecnie, o głębokich pokładach podświadomości i archetypowych praobrazach, i być może przeceniał znaczenie pobudek racjonalnych. Ale rozumiał, że nie da się zbudować nowego ustroju bez masowego przeobrażenia ludzi, co musi potrwać bardzo długo. Trudno więc całkiem zgodzić się z Erichem Frommem, iż Marks popełnił „głęboki błąd psychologiczny” w twierdzeniu, że robotnicy mają do stracenia tylko kajdany; nie wziął zaś pod uwagę irracjonalnych potrzeb i upodobań ukształtowanych w kapitalizmie. Warto tu odnotować, że Karol Marks odróżniał „ludzką naturę w ogóle” od jej konkretno-historycznych postaci w poszczególnych epokach.

W krytykowanym przez niego mieszczańskim systemie wartości dominowała orientacja na „mieć”, będąca zaprzeczeniem arystokratycznej preferencji dla „być” (*noblesse oblige*). Natomiast w społeczeństwie socjalistycznym nastąpi prawdopodobnie negacja kapitalistycznego sposobu życia i dialektyczny powrót do instrumentalnego traktowania świata rzeczy. Ale zasadnicza cecha człowieka socjalizmu powinna być — jak się wydaje — postawa walki ze złem. Walka jest bowiem nie tylko siłą napędową rozwoju społecznego, lecz również pewną potrzebą psychiczną. Toteż Karol Marks nieprzypadkowo uznał ją za synonim szczęścia. Jego ideałem było społeczeństwo aktywnych, twórczych i walczących podmiotów, a nie spokojnych i przystosowanych automatów.

W naszych warunkach przyjęcie ideału osobowości walczącej mogłoby sprzyjać współdziałaniu wychowawczemu państwa z Kościołem, ponieważ teologicznie uznaje się chrzest za akt zobowiązujący katolika do walki ze złem. Wszyscy chrześcijanie mają zatem obowiązek zwalczania zła. Z tym, że doktryna chrześcijańska w zasadzie wyklucza element przemocy. Jezus przecież przestrzegał swych uczniów, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Ale życie uczy, co trafnie zauważyła Simone Weil, że kto ginie od rżnięcia, ten umiera na krzyżu.

Stefan Zechowski — objaśniając swoje dzieło „Stosunek do zła” — pisał: „W tym symbolicznym obrazie wyraziłem pogląd, że istnieje tylko dwie postawy wobec zła: Chrystianizm, który nakazuje kochać nieprzyjaciół i dobrocią zwalczać zło i Komunizm, który uczy, że zło należy niszczyć za pomocą siły. Wszystkie pozostałe są formami kompromisu”. W istocie obie postawy mogą i powinny się uzupełniać. Taka wspólna dla nich blazyczna mogłaby właśnie być ogólna idea niezgody na zło oraz walki o sprawiedliwość, wolność, godność i inne uniwersalne wartości. Zasada wychowania „przez walkę” została już w Polsce z powodzeniem wypróbowana w działalności Szarych Szeregów, gdzie odgrywała naczelna rolę.

Młode pokolenia z reguły ujawniają postawy krytyczne i buntownicze, na co systemy wychowania reagują próbami ich stłumienia i ugrzecznienia. Właściwiej zaś byłoby nie wytracać naturalnej energii młodzieży, lecz ukierunkować ją i wykorzystywać w walce ze złem. Jesienią 1971 r., jeden z ówczesnych maturzystów, w konkursowym wypracowaniu, przedstawił w stosunku do dorosłych następujący postulat: „Powinnicie nas uczyć samoobrony, ale nie tej, która polega na zamykaniu oczu i uszu na sprawy dnia dzisiejszego. Wy powinnicie nas uczyć aktywnej walki ze złem”. Tego rodzaju postawa twórczego niezadowolenia wobec rzeczywistości i zaangażowania w jej doskonalenie, zamiast mieszczańskiego nienasyconia posiadaniem i „świętego spokoju”, mogłaby stanowić istotę człowieka socjalizmu.

W październiku 1867 r. Lew Tołstoj pisał do swej córki: „Tylko uczciwy niepokój, walka i trud, oparte na miłości, są tym, co nazywa się szczęściem... Żeby żyć uczciwie, trzeba pe-dzić, błądzić, dążyć, mylić się, zaczynać i rzucać, znów zaczynać i znów rzucać, i wiecznie walczyć i tracić. Spokój — to podłość duchowa”. Pogląd ten, którego wielki pisarz i pedagog nie zmienił do końca życia, warto uczynić podstawą pedagogiki socjalistycznej.

Przy czym proponowana tu koncepcja wychowawcza należałoby koniecznie uzupełnić zasadą, iż dzieło naprawy świata trzeba rozpoczynać od siebie samego i swego najbliższego otoczenia. Zresztą ogólnie znane i werbalnie akceptowane jest powiedzenie: „Obłudniku, wyrzuc najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrzyś, żeby usunąć drzazgę z oka twego brata”. W ten sposób — poprzez przyjęcie postawy walki ze złem i zaczynanie jej od siebie — można by realizować idee jedności rewolucji i reformacji, czyli równoczesnego przeobrażenia warunków i ludzi, bytu i świadomości.

Poważnym problemem w Polsce Ludowej jest kwestia stosunku ruchu socjalistycznego do religii. Znane i efektywne twierdzenie młodego Marksa — „Religia jest opium ludu” — nie uwzględnia chyba faktu, iż ludzie bardzo lubią „opiumować” swo-

je życie i nasycać je transcendentami. Ponieważ socjalistyczna Polska należy do najbardziej katolickich krajów świata, warto wydobyc elementy wspólne w obu doktrynach, a w szczególności eksponować wyraźnie komunistyczny charakter pierwszych gmin chrześcijańskich. Na zdumiewające wprost punkty styżne wczesnego chrześcijaństwa z ruchem robotniczym wskazywał niegdyś, jak wiadomo, Fryderyk Engels. Z kolei u Marksa, co ciekawe, Erich Fromm dostrzega pewną „bezbożną” religijność — jak u Buddy, Eckharta i Schweitzera — wyrażająca się w żądaniu „społecznej aktywności w duchu miłości bliźniego i ludzkiej solidarności”.

Z marksowskiej zasady materializmu wynika, że chcąc zmienić postawy i poglądy ludzi trzeba przede wszystkim przekształcić materialne warunki ich bytu, a nie uciekać się do kazań i perswazji. Na przykład pracownicy będą sumiennie wykonywać swoje czynności wówczas, gdy tak zorganizujemy im pracę i ustalimy stawki wynagrodzeń, że nie da się i nie oplaci postępować inaczej. Niestety w przeszłości często o tym w Polsce Ludowej zapomniano. I w celu zwiększenia efektywności gospodarowania odwoływano się do świadomości i uczuć patriotycznych. Tego rodzaju socjotechnika (de facto idealistyczna), nie przynosiła spodziewanych rezultatów i niepotrzebnie

# Rewolucyjna niecierpliwość

irytowała robotników, którzy odbierali ją jako „naganianie” do pracy. W ogóle nasze działania polityczne cechuje przesadna wiara w możliwości sterowania procesami społecznymi drogą pobudzania emocji, entuzjazmu i ofiarności. A w istocie są to metody mało efektywne i niebezpieczne, gdyż uniesienia emocjonalne trwają krótko i wiążą się z oczekiwaniem szybkich korzyści. Jeśli zaś te nadmierne nadzieje się nie spełnią, co zwykle ma miejsce, wtedy pojawia się frustracja, czyli zwabienie i apatia lub agresja. Spośród komunistów pierwsi przekonali się o tym bolszewicy. Dlatego Lenin — z okazji czwartej rocznicy Rewolucji Październikowej — przestrzegał, aby nie budować na samym entuzjazmie, lecz wiać „za punkt wyjścia interes osobisty ludzi, ich osobiste zainteresowanie oraz rozrachunek gospodarczy” i kraj o drobnej gospodarce chłopskiej stopniowo prowadzić „poprzez kapitalizm państwowy do socjalizmu”. Uwzględnienie tej wskazówki pozwoliłoby nam z pewnością uniknąć wielu złudzeń i poważnych błędów.

Nawet Hegel — który przecież określał swój system jako „idealizm absolutny” — rozumiał, że w działaniach historycznych, obok „osnowy” ducha absolutnego, licza się tylko partykularne „potrzeby, namiętności i interesy”, natomiast ideały odgrywają nieznaczną rolę. W Polsce Ludowej zaś, gdzie władza uznaje światopogląd materialistyczny, najwięcej liczone na siłę sprawczą przekonań ideowych i miłości ojczyzny. Dość głęboko zakorzeniona jest też u nas magiczna wiara w bezosobną skuteczność przedmiotowa niektórych zabiegów symbolicznych: uroczystości i manifestacji „patriotycznych”, płomiennych przemówień itp.

Był społeczny i świadomość społeczna stanowią dwa aspekty jednej całości, jaka jest społeczeństwo ludzkie. Stad Marks był zdania, że świadomość realizować w historii można najwyżej to, co już materialnie dojrzało do urzeczywistnienia. Podkreślał on: „Teoria urzeczywistnia się w narodzie zawsze tylko w tyle, o ile stanowi urzeczywistnienie jego potrzeb. (...) Nie wystarczy, aby myśl partii do urzeczywistnienia się, trzeba, aby rzeczywistość sama narzucała myśl”. A w innym miejscu zwracał uwagę, że tak naprawdę to zadania społeczne donieru wówczas pojawiają się, kiedy materialne przesłanki ich realizacji istnieją już całkowicie lub przynajmniej częściowo. W 1850 roku zarzucił swym oponentom w KC Związku Komunistów odejście od materializmu oraz idealistyczne wyupukiwanie woli jako decydującej w rewolucji. A później również Bakuninowi wytknął, iż nie pojmują na czym mają polegać rzeczywiste przesłanki rewolucji i za podstawę bierze wole zamiast warunków ekonomicznych. Marks zakładał, że praktyka rewolucyjna będzie po prostu przekształcać zjawiska możliwe w rzeczywiste. Bardzo pouczająca jest odpowiedź jego na pytanie Wiery Zasulicz dotyczące kolektywizacji rolnictwa. Stwierdził mianowicie, że do tego wymagane są dwie rzeczy: potrzeba ekonomiczna oraz warunki materialne.

Z analizy różnych doświadczeń wynika, że teoria ta jest słuszną, gdyż ilekroć odbiegano od niej i usiłowano wprowadzać stosunki socjalistyczne w szerszym zakresie, aniżeli pozwalały na to realia gospodarcze i kulturowe, wtedy popełniano błędy i powstawały wypaczenia w rozwoju społecznym. Rewolucjonistów zresztą mają skłonność do skracania perspektywy historycznej i złudnej wiary w moc dekretów prawnych. Chcieliby szybko, od razu, z „karamazowską pobudliwością” zlikwidować zło i uszczęśliwić ludzi.

Bohater Fiodora Dostojewskiego, Dymitr Karamazow, marzył we śnie, żeby „wszystkim coś dobrego zrobić, żeby nie płakał dzieciok, żeby nie płakała szczeniata, wychudzona matka dziecioka, żeby nie było już łez od tej chwili i żeby od razu, natychmiast to zrobić, nie zważając, wbrew wszystkiemu, z całą karamazowską pobudliwością”. Ale taki nadmierny pośpiech jest błędny i zgnębny, i wszystko zazwyczaj kończy się skutkami odwrotnymi od zamierzonych. Pierwszym bodaj, który tego doświadczył, był faraon Amenhotep IV Echnaton, gdy w XIV stuleciu p.n.e. chciał w Egipcie zmienić religię i całe życie społeczne. Doprowadził zaś kraj do kryzysu gospodarczego, głodu i nieszczęść. I podobny schemat wydarzeń powtarzał się wielokrotnie w historii powszechnej. Popelnili ten błąd także bolszewicy, którzy wbrew założeniom teoretycznym przypuszczali iż uda się bez okresu przejściowego natychmiast stworzyć ustrój socjalistyczny. Na szczęście Lenin miał odwagę przyznać się do pomylki i ogłosił Nową Politykę Ekonomiczną. Niemniej Kautsky złośliwie zauważył, że dopiero po blisko czteroletnim „bezwzględnym i energicznym sterowaniu w przeciwnym kierunku” zrozumiano, iż Rosja nie dojrzała do socjalizmu i czeka ją jeszcze rozwój kapitalistyczny.

Przykładem nieliczenia się z teorią marksowską, a także z wcześniejszymi doświadczeniami w ZSRR, było podjęcie w Polsce Ludowej programu przyspieszenia przemian socjalistycznych na wszy; przeciwko czemu bezskutecznie, choć stanowczo protestował Władysław Gomułka. W referacie na I Ogólnokrajowej Nadzwyczajnej Konferencji PPR, 27 maja 1945 roku, mówił on: „Towarzysze, gdyby w Polsce zaistniała już taka sytuacja, że wysunęliby się zagadnienie socjalistycznej przebudowy rolnictwa, to nasza partia nie zawahałaby się — my mamy tę odwagę i zawsze mieć będziemy — by realizować procesy społeczne, które już dojrzały. Ale my widzimy, że warunki w Polsce do tego nie dojrzały, że obecnie może być tylko mowa o rozwoju indywidualnej gospodarki rolnej”. Trzy lata później, na Plenum sierpnio-wrzesniowym, Gomułka podtrzymał ten pogląd oraz stwierdził, że kolektywizacja musi być dobrowolna i będzie procesem długotrwałym. „Uważam — powiedział — że wszelkie przymusowe forsowanie gospodarki zespolonej może przynieść tylko szkody samej idei takiej gospodarki, spowodować obniżenie produkcji rolnej, może zniechęcić naszą bazę wśród mas pracującego chłopstwa oraz osłabić sojusz robotniczo-chłopski”. Słowa jego, jak wiemy, okazały się prorocze. I kolejny raz teoria Marksa znalazła potwierdzenie w praktyce historycznej.

Do połowy 1948 r. Polska Partia Robotnicza miała program społeczno-gospodarczy przypominający leninowską koncepcję NEP-u. Zakładano współistnienie sektorów uspołecznionego i prywatnego, przy zdecydowanej dominacji pierwszego. Nie wiadomo, rzecz prosta, jak potoczyłaby się realizacja. W każdym bądź razie rewizji tego programu dokonano w sytuacji dużej dynamiki rozwojowej, a zatem bez wyraźnego uzasadnienia ekonomicznego.

Każda próba nadmiernego przyspieszenia budowy socjalizmu i lekceważenia obiektywnych warunków — jeśli nie kończyła się całkowitym fiaskiem — to wymagała olbrzymich kosztów społecznych. Trzeba było sięgać po techniki terroru i zastraszania. A przecież Marks sądził, że „cel, który wymaga złych środków, nie jest świętym celem”. W procesie tworzenia nowego ustroju nie da się chyba całkowicie uniknąć ofiar, ale należy dążyć do ich uniknięcia. Postęp społeczny zresztą z reguły okupiony był jakimiś cierpieniami i nieszczęściami. Według wybitnego uczonego Claude Lévi-Straussa — „w historii społeczeństw istnieje pewne paradyksy: na przykład okresy największej świętości, w historii Zachodu, zarówno w dziedzinie politycznej, jak i artystycznej, były okresami nacechowanymi brutalnością obyczajów, która dzisiaj wzbudzałaby w nas odrazę...”.

Nie warto raczej skracać perspektywy historycznej. Jest to jednak chroniczna choroba rewolucjonistów, od której nie był wolny nawet sam Marks. Franciszek Mehring pisze o nim, że „rewolucyjna niecierpliwość” powodowała, iż „tak wyraźnie widział drogę rozwoju, że nie doceniał długości tej drogi”. Postawa taka jest psychologicznie zrozumiała, ponieważ życie człowieka upływa zbyt szybko wobec tempa przemian społecznych. Zapomina się więc, że okresy powstawania nowych formacji trwały przez kilka pokoleń. Na przykład kapitalizm formował się przez trzy wieki, a od pierwszej rewolucji burżuazyjnej w Niderlandach 1566 r. do Wielkiej Rewolucji Francuskiej 1789 r. minęły aż 223 lata!

Jurij Trifonow bardzo znamienne zacytował swa interesująca powieść o ludziach usiłujących „ponychać” historię — „Niecierpliwość” (Nietierpienie). Marksisci wprawdzie nie byli nigdy aż tak lekkomyślnie niecierpliwi, jak terroryści z Ludowej Woli, niemniej również ulegali czarowi entuzjazmu, brali pragnienia za rzeczywistość i spodziewali się rychłego przejścia do socjalizmu.

W przedmowie do pierwszego wydania „Kapitału”, napisanej w lipcu 1867 roku, Marks podkreśla, że w rozwoju społecznym nie da się „przeskoczyć” pewnych „naturalnych faz” — nawet jeśli trafnie rozpozna się dalszą ewolucję. I nie pomogą żadne dekryty czy akty przemocy. Można natomiast przyspieszyć i skrócić przebieg etapów przejściowych między formacjami, czyli sam proces narodzin nowego ustroju. „Przemoc — czytamy w „Kapitale” — jest akuszerką każdego starego społeczeństwa brzemienia nowego. Przemoc sama jest potęgą ekonomiczną”.

Marksi nie wykluczali możliwości pokojowej drogi do socjalizmu. Jednakże po zwycięstwie rewolucji proletariackiej przewidywał istnienie władzy dyktatorskiej. Nie jest więc prawdą, że autorem koncepcji dyktatury proletariatu był dopiero Lenin. Obaj zakładali stopniowy wzrost demokracji i przejmowanie funkcji państwowych przez społeczeństwo. Ale Marks sprzeciwiał się przedwczesnemu wywoływaniu rewolucji, kiedy nie dojrzały jeszcze warunki do wprowadzenia socjalizmu. Lenin zaś sądził, że w Rosji — z powodu braku silnego mieszczaństwa i rozwiniętego kapitalizmu — partia robotnicza winna wcześniej przejąć władzę po to, aby przygotować niezbędne przesłanki ekonomiczne i kulturalne socjalizmu. Uważał on, że w tym przypadku droga do ustroju socjalistycznego będzie długa i trudna, lecz znacznie krótsza niż wtedy, gdyby pozwolił na swobodny rozwój kapitalizmu i oczekiwać właściwego momentu rewolucji. W ten sposób Lenin zdecydowanie zerwał z „mechanistyczną i fatalistyczną wulgaryzacją marksizmu” (Lukács) i przystąpił do praktycznej realizacji jego najistotniejszych intencji. Innymi słowy: przewyższył skrajny reformizm socjaldemokratów.

Między socjalistami a komunistami jest sporo różnic. Ale najbardziej istotna polega chyba na tym, że pierwsi z przesadną powagą odnoszą się do praw procesu historycznego i przyniżmu zwykle minimalistyczny program reform, a drudzy często zbyt lekkomyślnie traktowali te prawa i usiłowali realizować zadania ustrojowe według woluntarystycznych zamiarów.

Z marksowskiego punktu widzenia w Polsce wciąż nie ma odpowiednich warunków do pełnej realizacji większości ideałów i wartości socjalizmu. W tej sytuacji podstawowym zadaniem władzy ludowej powinno być usuwanie w porę wszelkich „zatorów” w rozwoju społecznym, czyli wprowadzanie właściwych reform. Szczególnie należy przeciwdziałać „zatkananiu się” kanałów ruchliwości społecznej. W przeciwnym bowiem razie musi dochodzić do konfliktów i rebelii.

Budowa socjalizmu jest permanentnym procesem rewolucyjnym — nieustanną walką ze złem. Polska Ludowa nie tyle już jest, co wciąż staje się socjalistyczna. Socjalizm jest ideałem i ruchem społeczno-moralnym, a nie jakąś spetryfikowaną i nierreformowalną strukturą.

Po dotychczasowych naszych doświadczeniach wymaga jednak chyba uwzględnienia znana rada Lenina: „Lepiej mieć, ale lepiej”. Zamiast podejmować zbyt szerokie i przedwczesne działania socjalistyczne, kompromitując niepowodzeniami i deolette lepiej po marksowsku wdrząć tylko to, co możliwe. A ponadto warto pamiętać, iż ulubiona dewiza Lenina była następująca: „Fausta” Goethego:

„Mój przyjacielu, szara jest każda teoria, Zielone jest tylko życia złote drzewo”.

W społeczeństwie polskim, niestety, rzadko występują postawy realizmu i cierpliwości. Często zaś spotyka się najwięcej „chciejstwo” (wishful thinking) oraz brak wytrwałości. Poza tym zbyt mało jest chętnych do aktywnego współdziałania w zwalczaniu zła, a za dużo oczekujących, żeby państwo samo wszystko zrobiło.

EDMUND LEWANDOWSKI

**N**agła śmierć cara Mikołaja I (prawdopodobnie samobójstwo, 1885) oraz klęska Rosji w wojnie krymskiej wpłynęły na liberalizację w imperium. Młodzież w wyższych uczelniach Petersburga, Moskwy, Kijowa organizowała kółka rewolucyjne. Obok kół rosyjskich powstały kółka polsko-rosyjskie zwłaszcza w Kijowie.

W Petersburgu do Akademii Sztabu Generalnego został przyjęty w 1857 r. Zygmunt Sierakowski. Pod płaszczykiem prowadzenia prac samokształceniowych utworzył on kółko rewolucyjnych oficerów, przeważnie Polaków. Nawiązało ono kontakty ze słabym jeszcze podziemiem rosyjskim, a także z grupami patriotyczno-niepodległościowymi w Królestwie.

Polska emigracja na Zachodzie po wojnie krymskiej starała się także o nawiązanie ścisłych kontaktów z krajem i powołanie tam organizacji w celu przygotowania powstania zbrojnego. Na przełomie 1859 i 1860 r. z inspiracji Paryża zawiązała się w Warszawie pierwszy komitet tajny stawiający sobie za cel przygotowanie walki zbrojnej. Wchodził w jego skład: Jankowski, Denel, Krzemiński i Majewski. Nawiązała ona kontakt z organizacjami młodzieżowymi w Poznańskim, Galicji i z uczelniami Cesarstwa. Jednakże organizacja rozpadła się po kilku miesiącach. Natomiast powstały kółka młodzieżowe obejmujące także czeladź i uczniów rzemieślniczych.

Ożywienie polityczne ogarnęło mieszczaństwo, szlachtę, w mniejszej mierze chłopów. Część opowiadała się za reformami uzyskiwanymi od caratu, część marzyła o powstaniu zbrojnym. Patriotyczne nastroje wyładowywały się w manifestacjach.

W 1861 r. w społeczeństwie polskim zaznaczyły się trzy kierunki: umiarkowany skupiał zwolenników pracy organicznej. Byli oni zwolennikami wywierania nacisku na carat w celu uzyskiwania doraźnych ustępstw politycznych i ekonomicznych. Przedstawiciele tego kierunku wypowiadali się za czynszowaniem chłopów, a za swego przywódcę uważali Andrzeja Zamowskiego, prezesa Towarzystwa Rolniczego, rozwiązane przez władzę w 1861 r.

Drobna inteligencja, młodzież, część drobnej i średniej szlachty, ludzie wolnych zawodów, młodzież szkolna i rzemieślnicza tworzyli tzw. „partię ruchu” zwana także „czerwonymi”. Ich celem było przygotowanie powstania i proklamowanie walki zbrojnej.

Równocześnie wystąpił margrabia Aleksander Wielopolski z programem uzyskania autonomii dla Królestwa w zamian za uspokojenie nastrojów i niedopuszczenie do wybuchu zbrojnego. Program Wielopolskiego nie został zaakceptowany przez większość społeczeństwa.

Wielopolski uzyskał od Aleksandra II coraz nowe koncesje o charakterze oświatowym i samorządowym, ale dla swej polityki pozyskał tylko szczerze grono zwolenników (głównie aparat urzędniczy w tworzonych instytucjach).

Pod bezpośrednim wrażeniem manifestacji oraz zatargów w kościołach (interwencje wewnątrz świątyni) w październiku 1861 r. powstał w Warszawie Komitet zwany potocznie „Miejskim”, który miał kierować przygotowaniem do powstania. W skład Komitetu weszli: Apollo Korzeniowski, Ignacy Chmielewski, Leon Głowacki. Korzeniowski został aresztowany i zastąpił go Witold Marczewski.

Komitet uważał się za reprezentację krajową. Rozesłał emisariuszy na prowincje i przystąpił do montowania jednolitej organizacji spiskowej.

W tymże czasie doszło do zawiązania organizacji tajnej wśród oficerów armii carskiej stacjonowanej w Królestwie, na Litwie i Ukrainie. Organizacja skupiała oficerów młodszych — Polaków, Rosjan i Ukraińców, a powstała z inicjatywy petersburskiego kółka Zygmunta Sierakowskiego. Organizacja oficerska utrzymywała kontakty zarówno z rosyjską rewolucyjną „Ziemią i Wolą” jak i z kółkami obozu czerwonych w Warszawie.

Kółko Sierakowskiego postanowiło w miarę możliwości lokować swych członków na terenie Królestwa, Litwy i Ukrainy. W grudniu 1861 r. ukończył Akademię Sztabu Generalnego porucznik Jarosław Dąbrowski, który jako celujący słuchacz otrzymał awans na sztabkapitana i możliwość wyboru jednostki. Zgodnie z sugestią kółka wybrał Królestwo i został mianowany kwartalnym 4 dywizji piechoty (dowództwo znajdowało się w Warszawie).

Po przybyciu do Warszawy Dąbrowski nadal prowadził podwójne życie konspiratora-rewolucjonisty i oficera-służbisty. Włączył się on do prac organizacji cywilnej czerwonych i w szybkim czasie objął funkcje naczelnika miasta

Warszawy. Równocześnie wchodził w skład rosyjskiej organizacji oficerskiej, a po aresztowaniu przewodniczącego porucznika Wasyla Kaplińskiego zajął jego miejsce i zapewnił ściśle współdziałanie organizacji w armii carskiej z obojczym ruchem narodowowyzwoleńczym.

Jako naczelnik miasta doprowadził Dąbrowski do scalenia kół spiskowych w Warszawie i udoskonalił system „dziesiątek” i „setek” spiskowych. Miasto zostało podzielone na 5 dywizjów, których naczelnicy podlegali bezpośrednio Dąbrowskiemu. Używał on w życiu konspiracyjnym pseudonimu „Łokietek” z powodu niskiego wzrostu. W maju lub czerwcu 1862 r. Komitet Miejski przybrał nazwę Komitetu Centralnego Narodowego.

Oprócz spraw ogólnorganizacyjnych Dąbrowski wziął na siebie przygotowywanie kadry wojskowej. Tworzył tzw. „kółka dziesiątkowe”, które miały stanowić zarys armii rewolucyjnej. W tym celu kółka otrzymywały regulaminy wojskowe, okazowe egzemplarze broni typów używanych w armii regularnej oraz broni myśliwskiej. Co pewien czas członkowie kół zbierali

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

## „Łokietek”

(w rocznicę powstania styczniowego)

się w lasach na tzw. „rewie” i przeprowadzali pod kierownictwem instruktorów ćwiczenia wojskowe.

Dąbrowski uważał, że należy działać szybko, gdyż carat nasilił represje przeciwko wystąpieniom patriotycznym. Mnożyły się aresztowania, a równocześnie wzmagaly się tendencje do ugody i przeciwdziałania akcji czerwonych.

Dąbrowski w opracowanym planie uwzględnił wspólne wystąpienie cywilnych kół bojowych oraz grupy oficerów spiskowców. Ci ostatni mieli nadzieję przełamania na stronie powstania pewnej liczby żołnierzy i podoficerów.

W maju 1862 r. na nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Miejskiego „Łokietek” przedstawił plan powstania. Kółka wojskowe, w liczbie około 2500 bojowców uzbrojonych w broń krótką, miały zebrać się wokół Cytadeli. Oficerowie, członkowie kół rewolucyjnych, oprócz pełniących służbę wewnątrz mieli także znaleźć się w pobliżu. Zadaniem sprzyśniętych spośród załogi Cytadeli było otwarcie bramy i zdezorganizowanie działań w momencie wrywania się powstańców wewnątrz twierdzy.

Powstańcy, przy pomocy oficerów i podoficerów należących do sprzyśnięcia, mieli rozbroić załogę, opanować magazyny, zająć stanowiska bojowe w samej Cytadeli i w jej pobliżu. W tymże czasie inne grupy rewolucjonistów powinny być w różnych punktach miasta dokonane zamachów na wyższych oficerów, opanować siedzibę policji i biciem w dzwony zaalarmować ludność Warszawy.

Ponieważ garnizon Warszawy w tym czasie (latem) był skoncentrowany w obwodzie powązkowskim, oficerowie i podoficerowie należący do spisku mieli otoczyć namioty dowódców i aresztować ich, a żołnierzy wezwać do połączenia się z rewolucją. Gdyby plan opanowania obozu powązkowskiego nie powiódł się, to i tak zgromadzone tam oddziały nie miałyby zdolności ofensywnej, a wobec opanowania miasta i cytadeli raczej podjęłyby marsz odwrotny.

Równocześnie z zajęciem Cytadeli i działaniami w obwodzie powązkowskim inne grupy bojowe podjęłyby działania przeciwko Modlinowi. Oficerowie należący do organizacji rewolucyjnej mieli wpuścić spiskowców do twierdzy i opierając się na części załogi opanować tak ważny punkt strategiczny, jakim była twierdza modlińska.

Plan Dąbrowskiego chociaż szaleńczo śmiały, stawiający wszystko na jedną kartę, w razie powodzenia oddawał w ręce powstańców stolicę kraju i ufortyfikowany Modlin, jednoczył polskie powstanie z rosyjskim ruchem rewolucyjnym.

Dąbrowski akcentował, że nie można grać na zwłokę, gdyż dowództwo rosyjskie, podejrzewając istnienie organizacji rewolucyjnej, zamierza wymienić jednostki wojskowe, a tym sa-

mych pozbawić czerwonych sprzymierzeńca.

Członkowie Komitetu uznali za konieczne odłożyć dyskusję i sprawdzić w jakim stopniu dobiegła do ustąpienia dyskusja. Przedstawiciele do wyjazdu do Cytadeli z Komitetu Chmieleńskiego, uważanego za skrajnego radykała zastąpił go Agaton Giller — zwolennik pozyskania dla ruchu także kół umiarkowanych. Z szybkiego powstania zrezygnowano w imię lenszego przygotowania kraju.

A tymczasem nastąpiły dyslokacje jednostek i pojedynczych oficerów podejrzanych o sympatie dla „polskiego spisku”. Nastąpiły aresztowania, zaś trzech uczestników uważanych za „przywódców”: Jana Arnholdta (Lotysz), Piotra Sliwickiego (Ukrainiec) i Franciszka Roszkowskiego (Polak) skazano na śmierć. Najbliższy współpracownik Dąbrowskiego ppor. Andrzej Potiebnia (Ukrainiec) zdołał ukryć się. Organizacja oficerska została rozbita. Przyszły nowe jednostki z głębi Rosji, a ich lojalności carat był pewny.

Dąbrowski oraz Potiebnia próbowali odbudo-

wać organizację w szeregach wojska, ale praca ta wymagała czasu. Potiebnia dokonał zamachu na namiestnika Królestwa, generała Aleksandra Lüdasa i ranił go ciężko, co czym zdołał ukryć się przy pomocy polskich spiskowców.

Od maja 1862 roku carat coraz silniej współpracował z margrabia Wielopolskim udzielając mu szeregu koncesji w zakresie tworzenia tzw. Zarządu Cywilnego Królestwa. Niezbyt liczni zwolennicy polityki „społecznego pokoju” nie wpłynęli jednak na zmianę nastrojów społecznych, które nadal były niepodległościowe i propowstańcze.

Dla poruszenia opinii publicznej Dąbrowski zorganizował 3 lipca nieudany zamach na margrabiego Wielopolskiego, a 7 i 14 sierpnia, również bez powodzenia, zamachy na namiestnika, wielkiego księcia Konstantego. Zamachy pociągnęły za sobą fale represji.

„Łokietek” utrzymywał kontakty ze swymi kuzynkami Piotrowskimi, członkiniami tajnej organizacji. Uwagę policji zwrócił fakt odwiedzenia ich mieszkania przez oficera, którego tożsamość ustalono z łatwością. W sierpniu zeznania obciążające Dąbrowskiego złożył Ryll aresztowany za zamach na Wielopolskiego. 14 sierpnia 1862 r. „Łokietek” został zatrzymany i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

Aresztowanie Dąbrowskiego dla organizacji czerwonych było poważnym ciosem. Zygmunt Padlewski, również członek petersburskiego kółka oficerów Polaków, pomimo poświęcenia i bezgranicznej odwagi osobistej, nie mógł wyrównać straty na stanowisku kierownika Komitetu Wojskowego.

Naręczona Dąbrowskiego Pelagia Zgliczyńska uzyskała możliwość wizyt więziennych. Choć odcięty od rozwoju wydarzeń przez nią przesyłała rady i wskazówki dla Komitetu Centralnego. Zakładała aby nie zamieniano powstania w wojnę, lecz by starano się mu nadać charakter rewolucyjny, by ściśle współpracowano z rosyjskim ruchem rewolucyjnym i za pośrednictwem „Ziemi i Woli” rozszerzono powstanie na ziemie rdzennej Rosji.

Postawiony przed sądem polowym Dąbrowski bronił się sam. Nie potrafił udowodnić mu przynależności i działalności w organizacjach rewolucyjnych. Oskarżenie uznano za nieudowodnione, lecz pomimo tego nie zwolniono go z więzienia.

W międzyczasie 22 stycznia 1863 r. nastąpił wybuch powstania, spowodowanego branką, czyli przymusowym wcielaniem do wojska młodych mężczyzn, którzy stanowiąli się obozu czerwonych.

W pierwszych tygodniach 1863 roku Dąbrowski wraz z Mikołajem Epsteinem próbował ucieczki, która została udaremniiona. W kwietniu podejmując się ponownie przygotowania do wydobycia się z Cytadeli, i tym razem bez powodzenia.

Władze śledcze, chociaż nie posiadały dowodów, były przekonane, że Dąbrowski odgrywał czołową rolę w życiu konspiracyjnej Warszawy. Zeznania Miładowskiego, aresztowanego na Litwie, dotyczyły działalności Dąbrowskiego w Petersburgu w kółku Sierakowskiego. Stanowiły one podstawę do nowego procesu i wyroku skazującego na karę śmierci, zamieniona na 15 lat więzienia.

W kwietniu 1864 r. na podstawie specjalnego zezwolenia władz posłubił „Łokietek” naręczoną Pelagie Zgliczyńskiej, wiarą współpracowniczkę prac konspiracyjnych. Uroczystość ślubna odbyła się w celi więziennej. Niedługo potem Pelagia Zgliczyńska została postawiona w stan oskarżenia i na mocy wyroku zesłana na osiedlenie do Ardatowa.

Pod koniec 1864 r., kiedy powstanie już dogorywało został Dąbrowski przewieziony do więzienia etapowego w Moskwie. Rozpoczęła się nowy etap jego życia już poza granicami Królestwa.

2 grudnia 1864 r. w przebranym kobiecym ubraniu udał się zbliżyć do więzienia. Ukrywał się przy pomocy swych rosyjskich przyjaciół w Moskwie, później w Petersburgu. Oficer Oziernow na prośbę Jarosiawa, wykrył jego żonę z Ardatowa i dowiódł ją do Petersburga, gdzie Dąbrowski mieszkał mając papiery na nazwisko von Richtera. Na podstawie fałszywych paszportów małżonkowie Dąbrowscy opuścili Rosję.

Rozpoczął się nowy etap w życiu Dąbrowskiego zakończony 23 maja 1873 r. bohaterską śmiercią w walkach barykadowych Komuny Paryskiej, a nocą z 23 na 24 maja odbył się pogrzeb generała wojsk Komuny Jarosiawa Dąbrowskiego, zarazem ostatniego jej naczelnego wodza.

Zyciorys Dąbrowskiego — „Łokietka” może stanowić tabulę sensacyjno-patriotycznego filmu. (Nb. film taki powstał — przyp. red.) Choć z pełnym oddaniem się przygotowywał powstanie narodowowyzwoleńcze, nie mógł w nim wziąć udziału. Jednakże jego zasługą było tworzenie kadry żołnierskiej powstania. Według planu „Łokietka” formowano żołnierskie dziesiątki i setki, przyszkolane w czasie „rewii”, wg jego wskazówek magazynowano broń na dzień wystąpienia. Jako członek Komitetu Narodowego wprowadził daleko idące zasady konspiracyjne, które obowiązywały także w czasie powstania.

Petersburskie Kółko Oficerów Polaków dało powstaniu szereg bohaterskich, zdolnych dowódców tej miary jak Zygmunt Sierakowski, Zygmunt Podlewski, Michał Kruk-Heydenreich, Waleri Wróblewski. Zabrakło wśród nich, przebywającego w więzieniu Łokietka — Dąbrowskiego, który przygotowywał powstanie jako walkę za wolność naszą i waszą wspólnie z rewolucyjnymi konspiratorami rosyjskiej „Ziemi i Woli”.



Gen. Jarosław Dąbrowski — szytych z 1860 r.

## Nie odmawiano pomocy...

W Małej Encyklopedii, pod hasłem „Mianowski”, czytamy: „Mianowski Józef (1804—79), lekarz, prof. fizjologii Akad. Medyko-Chirurgicznej w Wilnie, potem w Petersburgu; 1862—69 rektor Warsz. Szkoły Głównej; od jego imienia — Kasa im. J. Mianowskiego”. Ta sama encyklopedia pod hasłem „Kasa” podaje: „Kasa im. J. Mianowskiego, instytucja nauk, zał. 1881 w Warszawie dla uczczenia pamięci J. Mianowskiego; inicjowała i finansowała działalność różnych placówek badawczych oraz wydawanie wielu prac nauk; 1951 agencja Kasy przeleżał Tow. Naukowe Warszawskie, a następnie PAN”.

Mamy w Łodzi, na Bałutach, ulice im. Józefa Mianowskiego. Snać wielkich zasług dla polskiej nauki był to człowiek, skoro w tak piękny sposób uczczono jego imię — powołaniem, pod nazwą „Kasy” instytucji naukowej, której celem było — cytując z czterdziestego drugiego rocznego sprawozdania Kasy — „dopieranie polskiej twórczości naukowej, przez wydawanie dzieł, przez udzielanie zasiłków instytucjom naukowym i uczyńnym na ich badania. Działalność swa Kasa rozciąga na całą Rzeczpospolitą i na polskie placówki naukowe za granicą”. Instytucja, która przetrwała dwie wojny światowe i żyła lat siedemdziesiąt — pięć lat krócej niż jej Patron.

Kryzys 1923 roku, o którym wspomina Włodzimierz Krzemiński („Odgłosy”, nr 30/84 r.), ilustrując danymi z „Dziennika Zarządu m. Łodzi”, nie oszczędził także Kasy im. Mianowskiego. Mam oto w ręku wydane drukiem sprawozdanie z działalności Kasy za rok 1923, rok największej w naszych dziejach inflacji. We wstępie sprawozdanie stwierdza, że był to rok (mimo kryzysu) „dużej wydajności wydawniczej”, mimo że „praca odbywała się w trudnych warunkach, wśród ciągłych zabiegów o nie-

zbędne środki materialne, w walce z niesłychaną ciasnotą pomieszczeń, zabijającą w zarodku śmielsze zamierzenia i projekty niezbędnych ulepszeń”. Komitet Kasy, w składzie którego znajdujemy takie nazwiska, jak Tadeusz Kotarbiński, Józef Ujejski, Karol Lutostański i in. musiał „znaczna część swych sił poświęcić przełamaniu trudności materialnych i lokalowych”.

Oznaczało to po prostu, iż postanowiono odwołać się do ofiarności społeczeństwa. I społeczeństwo, mimo szalejącego kryzysu nie zawiodło. Majątek Kasy zasiliły ofiary wniesione przez setki powiatowe, przez magistraty miast, grona nauczycielskie, firmy handlowe i przemysłowe, stowarzyszenia, banki, a także przez osoby prywatne. Z satysfakcją odnotować można, że wśród ofiarodawców nie zabrakło także instytucji z Łodzi i Ziemi Łódzkiej. I tak: sejmik łódzki ofiarował 150 tys. marek, sejmik Brzezin taką samą kwotę, Wieluń 100 tys., Sieradz 50 tys. marek. Magistrat m. Łodzi, który borykał się z trudnościami w udzieleniu pomocy najuboższemu mieszkańcom miasta i który na własny koszt musiał sprawić pogrzeb blisko tysiącemu zmarłym, też „wysupiał” dwa miliony marek na fundusz Kasy Mianowskiego, zaś grono pracowników wydziału prawnego magistratu — 100 tysięcy. Tyleż, tj. 100 tys. marek ofiarowała Elektrownia Łódzka, 150 tys. ofiarowało Towarzystwo Telefonów w Łodzi. Natomiast Łódzkie Koleje Dojazdowe (czyli po prostu tramwaje, a także firma Scheibler i Grohman przekazały po 5 milionów marek. Kółko Ziemianek w Łęczycy przekazało 100 tysięcy i taka sama kwotę przekazał bezimienny ofiarodawca za pośrednictwem „Kurier Łódzki”. Grono nauczycielskie Realnego Gimnazjum pp. Macińskiej i Petkowskiej zebrało 100 tysięcy, zaś grona nauczycielskie z gimnazjów piotrkowskich — im. Bolesława Chrobrego 5.182.205 marek, a z gimnazjum filologicznego — 4.624.000 marek. Z pewnością nazwiska łodzian można znaleźć i w wykazie ofiarodawców indywidualnych, jak np. Aleksy Rzewski — 8 mln. marek.

Kasa im. Józefa Mianowskiego posiadała także dom wypoczynkowy w Świdwie koło Warszawy. W 1923 roku korzystało z niego 60 pracowników naukowych, przy czym „wielu kilkakrotnie”.

Na zakończenie ciekawostka także zaczerpnięta ze sprawozdania Kasy. Otóż Kasa na mocy testamentu „zmarłego w 1904 r. inżyniera Witolda Zglenickiego nabyła prawo do dochodów z

połowy działki naftowej w miejscowości Chilla koło Baku”, a także innej działki naftowej. Rewolucja Październikowa w Rosji, a następnie stan wojny w jakim znalazła się Polska i Związek Radziecki, pozbawiły Kasę dochodów uzyskiwanych z eksploatacji położonych koło Baku działek. Sprawa ta była m.in. podnoszona na konferencji pokolowej w Rydze, a także była przedmiotem wielu zabiegów ze strony Kasy. W konsekwencji, rząd Polski wystosował w sierpniu 1923 r. aide-memoire do rządu Związku Radzieckiego, w którym wysuwa propozycje załatwienia sprawy następująco:

1) Zyski zrealizowane od listopada r. 1917 do momentu nacjonalizacji terenów naftowych i przez Kasę nie otrzymane, mają być zwrócone Kasie...

2) Działka nr 8 ma być oddana Kasie w charakterze nowej koncesji, lub instytucja eksploatująca działkę ma być zobowiązana do oddawania Kasie 25 proc. produktów in natura, względnie wartości ich w złocie...

3) Działka nr 29 ma być oddana Kasie w charakterze nowej koncesji, względnie instytucja eksploatująca ma być zobowiązana do oddania Kasie 5 proc. produktów in natura, względnie wartości ich w złocie.

Rząd Radziecki odpowiedział na powyższe notą z dnia 14.XII. 1923 r.: „Biorąc pod uwagę wyrażone przez Rząd Polski życzenia oraz z uwagi na specjalne interesy Kasy im. Mianowskiego... Rząd Związkowy wyraża zgodę wzięcia pod rozwagę najbardziej wskazanej formy uregulowania pretensji tego stowarzyszenia. Jednak Rząd Związkowy uważa za potrzebne podkreślić, że zgoda ta ma charakter zupełnie wyjątkowy i nie może posłużyć za precedens dla jakiegokolwiek innych pretensji prywatnych do Federacji Zakaukaskiej”.

Jak widać prestiż i ranga Kasy im. J. Mianowskiego była niemała także na forum międzynarodowym. Prestiżowi temu nie ujmował fakt przyjmowania ofiar w postaci „20 kr. tubinu” lub „3 kur i 1 koguta”.

PIOTR SIKORSKI

**S**am przyznaje, że właściwie niczym szczególnym się nie wyróżnia, że jest do pewnego stopnia typowym przedstawicielem swego pokolenia, środowiska... Ot, taki sobie przeciętny student Politechniki Łódzkiej — ani dużo gorszy, ani lepszy od innych. No, może trochę bardziej zaradny, obrotny, sprytniejszy — ale też bez przesady. Po prostu stara się mieć cały czas oczy i uszy otwarte, bacznie obserwować i słuchać, co się wokół dzieje i — przystosowywać do ulegającej ciągłym zmianom sytuacji w kraju. Nic więcej — mówi.

A czy to źle? Czy to źle, że młody człowiek ma własne zdanie, jest przedsiębiorczy, chce żyć lepiej, dostatniej niż jego rodzice, dziadowie? — pyta. Świat nieustannie idzie do przodu, rozwija się. To, co wystarczało kiedyś, dziś już nie wystarcza. Każdy chce mieć lepiej. To chyba normalne, prawda? Więc dlaczego on miałby nie chcieć? Dlaczego miałby się dobrowolnie wyrzekać swoich marzeń?

Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają. To prawda. Ale jak żyć bez pieniędzy? Jak być szczęśliwym, mając tylko tyle, co na jedzenie, marne jedzenie? Zresztą — czy on chce być milionerem? Czy tylko na samych pieniądzech mu zależy? Czy przesłoniły mu już wszystko inne? Bynajmniej. Ci młodzi ludzie, którzy teraz przekraczają próg dojrzałości, robią maturę, zdają na studia (albo częściej nie zdają), znacznie częściej widzą tylko forsy. On jeszcze miał jakieś ambicje. Widział inne wartości — mówi. Kiedy w 1978 roku kończył technikum, dyplom wyższej uczelni dawał poczucie nobilitacji społecznej. Teraz już raczej nie. Teraz dla młodych liczy się przede wszystkim forsa.

Na pewno nie chodziło Mateuszowi jedynie o te trzy literki przed nazwiskiem. Ostatecznie mógłby się bez nich obyć. Ojciec i matka nie mają. Z dalszej rodziny też mało kto, więc nikt go właściwie nie naciskał, nie stawiał żadnych warunków, nie zmuszał na siłę. Nawet koleżdy ze szkoły, z podwórka nie rwali się specjalnie do dalszej nauki. Z maturalskiej klasy Mateusza zdawało ich na studia, jeśli dobrze pamięta, około dziesięciorga. Studiują troje, może czworo. Jedna z dziewczyn chyba już ukończyła, ale nie wie dobrze, bo dawno się nie widzieli. Była pilna, pracowita... On — mniej. Wolał raczej boisko, niż książki. Ale złym uczniem przecież nie był. Na świadectwie dojrzałości miał tylko trzy tróje.

Kierunek studiów nie odgrywał większej roli. Mateusz nie myślał o żadnym konkretnym zawodzie. Był przez osiem godzin dziennie nie robił ciągle tego samego, nie stał latami przy maszynie i wykonywał dokładnie tych samych ruchów. Poza tym — wojsko. Wyraźnie nie palił się do wdziania munduru na dwa długie lata. Dlatego też najlepiej było zdawać tam, gdzie nie było zbyt dużej konkurencji.

Dostał się dopiero przy drugim podejściu. Za pierwszym razem rozłożył się na fizyce. Porażkę przyjął spokojnie. Poszedł do pracy na siedem miesięcy i — na kurs przygotowawczy w Związku Nauczycielstwa Polskiego. I tak jakos zdał.

Pierwszy rok — wspomina — to była szkółka. sprawdzanie obecności, zeszytów, prace domowe... Zdecydowanie czuł się tym rozczarowany. Myślał, że studia to studia. Nie wszyscy muszą je skończyć. Po co więc straszyć, że jak się student nie nauczy albo nie przyjdzie na wykład... Każdy sam powinien to wiedzieć. Z jednej strony mówiono mu, że jest już dorosły, a z drugiej — traktowano jak dziecko, małe, bezmyślne i nieodpowiedzialne dziecko. Zadziwiająca niekonsekwencja!

Ale taka szkółka była też jednocześnie pierwszą prawdziwą szkołą życia. Może nie najlepszą z możliwych, ale jednak. Nowe środowisko, nowe obowiązki, nowe problemy... A do tego jeszcze nowy styl bycia: trochę poważny, trochę na luzie. Pół na pół.

Życie towarzyskie skupiało się głównie w akademikach. To ich mieszkańcy nadawali mu ton. Mateusz trzymał się trochę na uboczu. I to nie tylko dlatego, że był miastowy, ale — że miał dziewczynę, która studiowała na uniwersytecie i częściej przebywała w towarzystwie jej znajomych. Prowadzili filozoficzne rozmowy, bawili się na prywatkach, dużo chodzili do teatru.

Do SZSP zapisał się bez większego przekonania. Mieli zajęcia z ekonomii politycznej z takim asystentem, który wychwalał tę organizację pod niebiosa. Dawał przy tym do zrozumienia, że lepiej dla nich będzie, jeśli się zapiszą. Student Mateusz również! No, to się zapisał. Ale żeby sam czuł wewnętrzną potrzebę. Nie, nie czuł takiej potrzeby. Na działalność społeczną nie miał czasu, polityką na ogół nie interesował się.

Ale przyszło gorące lato 1980 roku, a wraz z nim — druga poważna lekcja życia. W sierpniu pojechał Mateusz z dziewczyną pod namiot do Gdyni. Żadne z nich nie przypuszczało, że coś się wtedy zacznie i że — właśnie tam.

Pod stożkiem nie chodzili, bo i po co. Bez nich gapiów i tak już wystarczało. A żeby dowiedzieć się... Przecież wszyscy na Wybrzeżu tylko o tym wtedy mówili. Wystarczyło nawet włączyć radio na ukafie i posłuchać lokalnej radiostacji. Podczas gdy w Warszawie mówiono ciągle o jakichś przerwach w pracy i przejściowych trudnościach, serwując napastliwe komentarze, Gdańsk informował już rzetelnie o strajkach, a potem transmitowano także przebieg rozmów w Stoczni imienia Lenina. Mateuszowi dało to dużo do myślenia, zmieniło pogląd na wiele spraw, na niektóre wręcz — otworzyło oczy. To było ważne w jego życiu doświadczenie. Błędem byłoby je lekceważyć.

A potem, w styczniu zastrajkowali studenci. I znów Mateusz znalazł się w samym centrum, bo przecież zaczęło się od Łodzi.

O strajku na Politechnice dowiedział się w dzień jego proklamowania. Na wszystkich wydziałach zorganizowano specjalne zebrania, na których przyszedł przywódca poinformował kolegów o celach i zapytał o zdanie. Inicjatywa wyszła oczywiście z akademików. Większość była za strajkiem, więc zastrajkowali. Mateusz również, chociaż wcześniej w żadną działalność polityczną nie był zaangażowany. Postulaty sformułowane przez bardziej wyrobionych politycznie trafiły mu do przekonania. Miał co prawda, pewne zastrzeżenia odnośnie żądania uwolnienia braci Kowalczyków, ale reszta... Jak prawie wszyscy był w sumie za.

Największe nadzieje wiązał Mateusz ze zmianami w zasadach funkcjonowania uczelni. Żądanie dokonania takich zmian wydawało mu się w tym wszystkim najważniejsze. Żeby studia stały się nareszcie prawdziwymi studiami. Nie seryjną produkcją niedouczonej magisterki, ale — wię-

ksza możliwość rozwijania indywidualnych zainteresowań, węższa specjalizacja, wyższy poziom. Nie, żeby było łatwiej, ale — skuteczniej i odpowiedzialniej.

Tak myślał wtedy Mateusz. Tak myślało wiele jego koleżanek i kolegów, którzy cztery tygodnie okupowali budynki politechniki. Wbrew temu, co mówiono nieraz na zewnątrz, te cztery tygodnie dobrowolnego zamknięcia nie były wcale udaną zabawą, draką wywołaną dla samej draki — żeby było weselej, żeby coś się działo. Może na samym początku i to też jedynie dla niektórych. Ale ci się szybko wykruszyli, wrócili do domów. Reszta strajkujących, a wśród nich i Mateusz, choć miała tego strajkowania serdecznie dosyć, potraktowała sprawę jak najważniejszą. Zostali do końca, gdyż naprawdę wierzyli, że jest o co walczyć i że po zwycięstwie będzie lepiej. To pozwalało im wytrwać. Bo wcale nie było łatwo.

Czołowe zderzenie z tworzącą się historią we wszystkim wyszło jednak na dobre. Studia wymagają systematyczności, skupienia, wewnętrznej dyscypliny. Powstała zaległości zawsze od-

dwadzieścia. Można też zacząć wybierać prowadzących zajęcia, bo kiedy się wisi między latami, dziekański plan zajęć traci właściwie sens. Student po lub na urlopie ma swój własny, indywidualny plan — taki, jaki jemu pasuje. Oczywiście, jeżeli umie o to zadbać, jeżeli mu się chce.

Nie ma więc tego ziego... — mówi Mateusz. Ale mówi tylko za siebie. Bo gdy jedni skorzystają, dobierając sobie takich wykładowców, którzy potrafią nauczyć, mają autorytet i dar przekazywania wiedzy, inni pójdą po prostu na łatwinę. Czyli również: na dwoje babka wróżyła... Mądry może dużo zyskać, głupi — jeszcze więcej stracić.

Po drugie — do czego się tak spieszyć? Do państwowej posady za grosze? To dobre, ale dla naiwnych, idealistów, nieudaczników. I Mateusz wie o tym dobrze. Jego starszy kolega, który skończył ten sam wydział, wszystko mu dokładnie opowiedział. A było tak:

Chłopak jest zdolny, ambitny, pracowity. Studentem był dobrym, lepszym niż Mateusz, a może jeszcze lepszym. No, zaległo mu. Myślał,

PAWEŁ TOMASZEWSKI

## Skrzywiona perspektywa

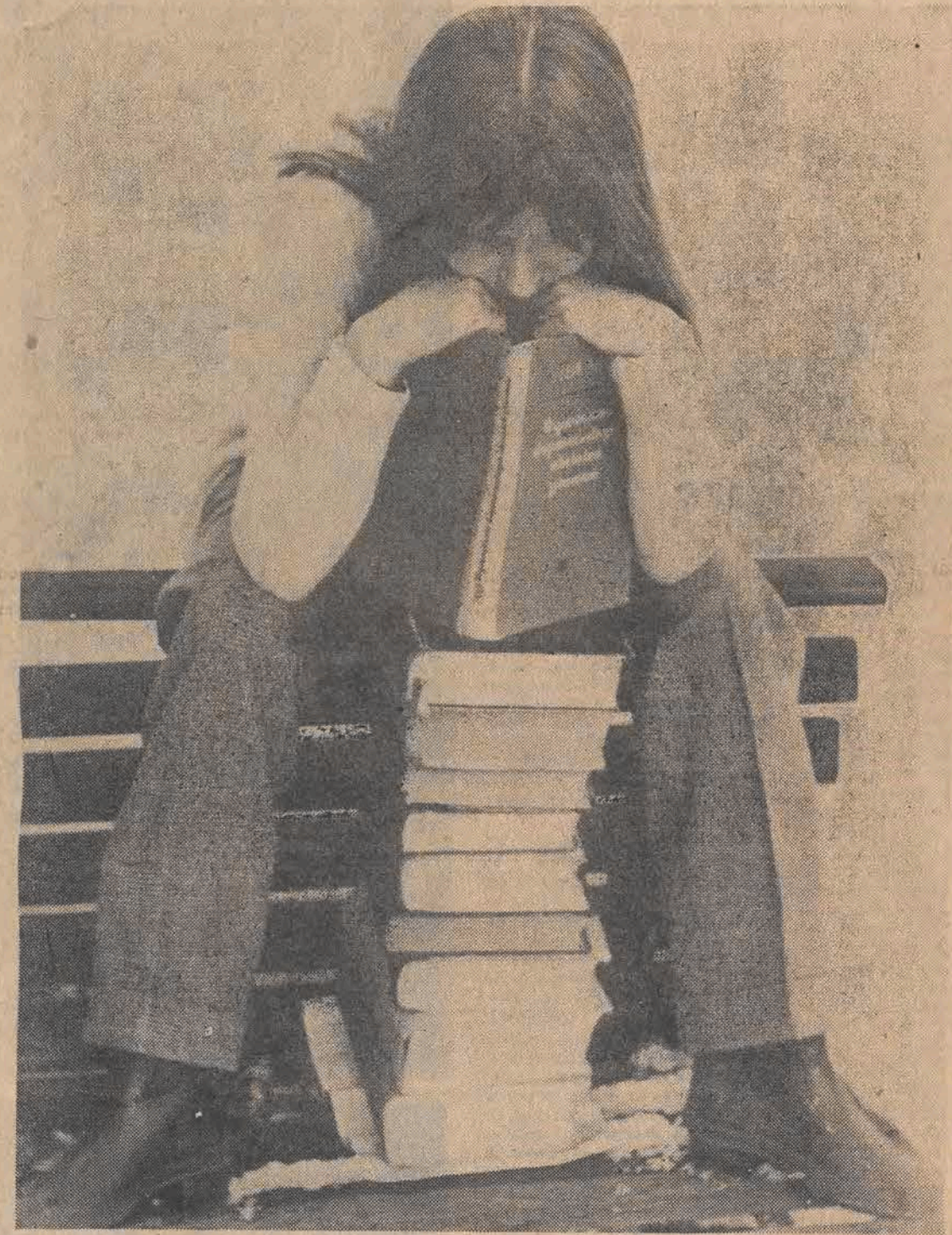


Foto: Andrzej W. Pietrzyk

rabia się większym nakładem. A sily człowieka są ograniczone. Niezależnie od jego woli i najlepszych nawet chęci. Posypały się więc po strajku dziekańskie urlopy.

Mateusz też miał braki. Czegoś tam nie zdążył pchnąć w terminie. Wypadł z rytmu. Czuł, że ma w głowie sieczkę. Urlop miał mu pozwolić pozbiierać się po strajkowym wstrząsie, załczyć i zdać to, z czym zalegał. Był mu naprawdę potrzebny. Ale na Politechnice urlop dziekański nie oznacza bezczynnego siedzenia w domu. W czasie jego trwania trzeba powtórnie chodzić na zajęcia z tych przedmiotów, które ma się do tyłu. Równocześnie można awansem robić niektóre przedmioty z wyższego roku.

Mateusz powtarzał drugi rok. Zaczął też coś z trzeciego. Ale znowu nie za bardzo mu wyszło i — znów urlop. Tym razem — losowy. Ciągłe wisiał z jednym egzaminem — korbiasym, że szkoda gadać. Zdał go dopiero w lutym osiemdziesiątego czwartego. Dziekanat dał wpis na trzeci rok. Mateusz zaczął tymczasem awansem robić trochę czwartego. Zawisał między jednym a drugim. Teraz ciągnie oba po kawkałku. Niestety, znowu polał dwa egzaminy. Jeżeli nie dostanie warunkowej rejestracji, czeka go trzeci urlop albo — koniec marzeń o dyplomie.

Teoretycznie Mateuszowi powinno spieszyć się do tego dyplomu. Teoretycznie... Nie spieszy mu się jednak. A przyczyn jest co najmniej kilka.

Po pierwsze — nareszcie można postudiuować. Spokojnie, na luzie. Mied nie po czterdziestu godzin zajęć tygodniowo, ale — powiedzmy —

siąc. Mniej więcej tyle, ile zarabiałby zaraz po studiach. Czy warto zatem się spieszyć? Wszak dyplom nie poprawi jego sytuacji materialnej. Nie zagwarantuje lejszej, dostatniejszej egzystencji.

Dwa lata temu Mateusz ożenił się. Właściwie nie musiał, mogli jeszcze poczekać, ale... Nie bez powodu mówi się, że w naszych czasach różnica między narzeczeństwem a małżeństwem jest stosunkowo żadna. Zalegalizowali więc jedynie to, co i tak już było, tyle że oprócz dni zaczęli też spędzać ze sobą i nocą.

Po ślubie Mateusz przeniósł się do żony. Teściowie oddali im jeden pokój, wzięli na swój garnuszek. Rodzice Mateusza zobowiązali się dawać im trzy tysiące na miesiąc, ale szybko się z tego wycofali. Emerytury mają nie za wysokie. Poza tym, uważają, studia trzeba kończyć w terminie, a jak nie — radzi sobie synu sam.

No, i Mateusz sobie poradzi. Bez trudu. Jeszcze w latach siedemdziesiątych kupił za samodzielnie zarobione pieniądze radio, magnetofon, gramofon, wzmacniacz, kolumny. Najlepsze jakie wtedy były w sklepach. Bo jeszcze były. A dał za to wszystko około czterdzięciu. Po dwóch latach, kiedy sklepy nagle opustoszały, sprzedał spokojnie cały swój sprzęt za dwie setki, za dwieście tysięcy złotych polskich, chociaż był używany. Po prostu ludzie nie chcieli trzymać pieniędzy. Złotówka leciała przecież na ieb, na szyję.

Mateusz doskonale wyczuł koniunkturę. Mając sporo gotówki, dalej kupować i sprzedawać, kupować i sprzedawać... Sprzęt hi-fi cieszył się niesiablynym powodzeniem jako dobra lokata kapitału. Mateusz mówi, że robił to bez większego wysiłku, jakby od niechcenia, za to ze sporym zyskiem. Mniej więcej takim, żeby starczyło na życie. W granicach rozsądku i bezpieczeństwa. Oczywiście — spekulacja, ale — dodaje — umiarkowana. Państwo też kazalo płacić ludziom coraz więcej.

Z czasem przeszedł na handel zagraniczny. Wyjechał na wycieczkę to tu, to tam. Interes jeszcze lepszy, bo wszystko, no, prawie wszystko legalnie, a tymczasem oficjalne ceny sprzętu hi-fi znacznie już zaczęły przewyższać jego rzeczywistą wartość, a jego jakość coraz większe budzi zastrzeżenia. Magnetofon czy lepszy radiodiodniak stał się artykułem luksusowym. Grono potencjalnych nabywców kurczyło się z dnia na dzień. Należało więc w porę zmienić branżę. Mateusz zrobił to bardziej z konieczności, niż chęci większego zysku. Bo gdzie mu tam do innych „zawodowych turystów”. On jest przy nich pionkiem, amatorem, nie liczącym się detalistą, któremu — o grozole — chce się jeszcze coś zwiedzać. Nawet czujni celnicy machają na niego ręką. Przecież wiedzą, że każdy z wyjeżdżających handluje, a wyjątki potwierdzają jedynie regule.

Mateusz zdaje sobie sprawę, że tak być nie powinno. Jest zbyt inteligentny, żeby tego nie przyznać. Z drugiej jednak strony — dobrze poznał już życie i zrozumiał, co się w nim naprawdę liczy. Przede wszystkim — forsa! Niezależnie od czasu, kultury, ustroju... I nikt go nie przekona, że jest inaczej. Własne doświadczenia są najbardziej przekonujące. Społeczeństwo złożone z samych altruistów to tylko pobożne życzenie. W dodatku bez większych szans realizacji teraz i w przyszłości. Niestety. C'est la vie.

A widoki na przyszłość rzeczywiście nie są ciekawe. No, bo weźmy chociażby takiego Mateusza. Od dwóch lat mieszka z żoną w małym pokoiku. Drugi pokój zajmują teściowie, trzeci — siostra żony z mężem i dzieckiem. Siedem osób na trzy pokoje, jedną kuchnię, jedną łazienkę... Kocioł!

Od pięciu lat jest Mateusz członkiem spółdzielni mieszkaniowej. Za dziesięć dostaną z żoną samodzielne mieszkanie. Za piętnaście będą w nim jako tako urzędni. Uczczą to szampałem na jego czterdzieste urodziny. Wątpliwe, czy będą w tym dniu zadowoleni ze swego życia, uśmiechnięci...

Jest jeszcze druga możliwość: ciocia. Mateusz zameldował się u niej zapobiegawczo parę lat temu. Opiekuje się staruszką, troszczy o nią, dogląda i życzy jej jak najlepiej, ale... Gdy zgaśnie — zamieszka z żoną w jej mieszkaniu. W pokoju z kuchnią w starym budownictwie. Ale czy i wtedy poczują się wreszcie szczęśliwi?

Najlepiej, gdyby wyszło z tą małą spółdzielnią mieszkaniową, do której również jest Mateusz zapisany. Mieliby wówczas swój własny domek. Pierwszych dwudziestu członków dostało już działki i ruszyło z budową. Własnymi siłami, za własne pieniądze. Dwa, trzy lata wyteżonej pracy całej rodziny po parę godzin dziennie i co najmniej trzysta, czterysta tysięcy na początek, zanim bank przyzna kredyt. Tylko skąd młody człowiek, student, ma wziąć tyle for y? Sam tego uczciwie nie zarobi. Nie ma szans. Innymi słowy — też niezbyt optymistyczna perspektywa. A kto wie, co się jeszcze do tego czasu może w kraju zmienić. Wyjdą jakieś nowe przepisy... Nie raz przecież już tak było. Mateusz do naiwnych nie należy.

Na razie żyje więc jak się da. Trochę studiuje, trochę handluje. Rozprowadza zagraniczne towary, pośredniczy. I to jednak niedługo się skończy, bo właśnie! — nowe przepisy... Znowu przyjdzie zmienić chyba branżę. Gdyby udało mu się dostać godziwą pracę na pół etatu... Tak, prawdopodobnie by się zdecydował. Ale i zarobek musiałby być godziwy. To nieodzowny warunek. Wtedy nie musiałby już handlować, mówi.

A dyplom? Kiedy go wreszcie dostanie, ma nadzieję albo pracować prywatnie, albo... wstąpić do milicji. Jeżeli wszystko będzie tak, jak teraz. Ale tak prawdę powiedziawszy, póki on nie ma się do czego spieszyć. Większość koleżanek i kolegów Mateusza z uczelni jest na lub po co najmniej jednym urlopie. Myślą podobnie jak on, podobnie mają problemy, podobnie starają się je rozwiązywać. Takie czasy, mówią. Był kształtuje świadomość. Powiedział to już Karol Marks.

P.S. Na konferencji prasowej przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki prof. Benon Miśkiewicz stwierdził między innymi: „Jeżeli ministerstwo poczyni odpowiednie kroki aby przeciwdziałać nieuzasadnionemu przedłużaniu studiów przez studentów. Młodzi powinni kończyć studia w terminie! Ale dlaczego nie kończy?”

## Dokończenie ze strony 1

stąpiło jeszcze do pracy. Sa rozluźnieni, żartują. Kierownik przygotowuje wnioski na prémie, bo przecież skończył się rok. I właśnie w takiej chwili wybuch alarm. Pali się. Być może jest to zwykły zbieg okoliczności. Daje jednak sporo do myślenia.

Jako pierwsi ogień zauważyli trzech pracownicy, którzy mieli pobrać meble z drugiego piętra dla jednego ze sklepów. Próbowali gasić. Nie udało się. Kierownik magazynu Tadeusz Hazelmajer usłyszał krzyki, kiedy szedł z kwitami od samochodu stojącego przy rampie do kantorka. Natychmiast polecił starszemu magazynierowi Eugeniuszowi Jankowskiemu ewakuować ludzi, sam zaś pobiegł na drugie piętro. Dostał się do połowy magazynu. Dalsza droga przegradzała już ściana czarnego, gęstego i okropnie śmierdzącego dymu. Nie było

w kranach, klozetach, a także w hydrantach przeciwpożarowych wokół pionacego magazynu. Jeden z nich zamarł. Drugi, sprawny, czekał nie wiedząc czemu ponad godzinę na uruchomienie. Strażacy od razu przywołali następne jednostki. W kulminacyjnym momencie było ich 36 i 6 specjalistycznych wozów technicznych. Wode dowoziły także cysterny Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania oraz samochody ZOMO. W pewnym momencie akcji milicjanci uruchomili także swoje działka kierując silne strumienie wody o ciśnieniu 170 atmosfer w stronę płomieni.

„Kiedy dojechałem do miejsca akcji gaśniczej, byłem przerażony — powiedział komendant Wojewódzkiej Straży Pożarnej płk. Stanisław Wozniak — W pierwszej chwili myślałem, że straty mogą sięgnąć pół miliarda złotych. Taka suma przytacza swoim narozem. W chwili, gdy oceniliśmy, razem z kierownictwem przedsiębiorstwa, że w płonącej części budynku były magazyno-

kwadratowych ułatwił dostęp powietrza do pionacej kondygnacji co sprawiło, że żywioł rozprzestrzeniał się coraz szybciej. O 15.00 we wszystkich oknach kondygnacji widać było płomienie.

Wody stałe brakowało. Do czasu zbudowania linii wodnej, od basenu znajdującego się na terenie spółdzielni Inwalidów im. M. Buczka akcja gaśnicza była kilkakrotnie przerywana. Płomienie i kleby czarnego dymu buchały wtedy wysoko ponad dach. Woda z armatek nie docierała do wnętrza, gdzie szalał największy ogień. Przeskakiwały spietzone materace. Władom było, że to piętro musi splonąć doszczętnie.

Cały wysiłek strażaków został skierowany na nie dopuszczenie ognia na niższe kondygnacje, co się w pełni udało. Chociaż był jeden groźny moment, kiedy przez szyb wentylacyjną spadła na parter pionaca żagiew. Zapaliły się meble magazynowane przez sklep przy ulicy Łanowej. Na szczęście, to ognisko udało się szybko zlokalizować. Gdyby było

# Pożar na Brukowej

widąc źródła ognia. Samodzielna akcja gaśnicza nie miała żadnego sensu. Polecił więc swemu zastępcy Ryszardowi Altwasserowi udać się na portiernię i sprawdzić czy została już powiadomiona straż. Na wszelki wypadek będąc jeszcze na drugim piętrze zbil szybkie sygnalizatora alarmowego i nacisnął guzik. Do czasu przyjazdu straży zdążył jeszcze głównym wyłącznikiem odciąć dopływ prądu do całego budynku. Kazał także odieźć samochodom stojącym przy rampie.

W tym czasie w portierni dyżur pełniły dwie osoby. Pare minut po trzynastej zapaliły się światelka sygnalizatora alarmowego. Czujniki zadziałały bez zarzutu. Nowy system ostrzegawczy Telsar został zainstalowany w połowie 84 roku. Kosztował 3,5 miliona złotych. Dzięki własnemu zasilaniu z akumulatorów pracuje nawet wtedy, gdy w budynku zabraknie prądu. Zgodnie z instrukcją obsługi portier ma obowiązek sprawdzić czy nie jest to alarm fałszywy. Naciśnięto jeden wyłącznik, ale światelko nie zgasło. Drugi — też nie. Wtedy do portierni dobiegł Altwasser i kazał zawiadomić straż. Helena M. podniosła słuchawkę beznosnego telefonu do straży.

— Pali się ulica Brukowa — powiedziała.  
— Który budynek?  
— Meble.  
— Co się pali?  
— Wszystko się pali.  
— Jaka jest przyczyna pożaru? — strażak do drugiej stronie linii zadawał rutynowe pytania.

— Wybuchła butla z gazem. Te przyczyny powtórzyła później część srodków masowego przekazu. Jak się no czasie okazało, nie było w magazynie żadnej butli. Pani Helena M. przyznała się, że wymyśliła ją, ponieważ sadiła, że w ten sposób przyspieszy przyjazd strażaków. Nie było to potrzebne. Pierwsze wozy gaśnicze zjawiły się niemal natychmiast z najbliższej komendy rejonowej z ulicy Pojezińskiej znajdującej się o kilkadziesiąt metrów od magazynu.

Po okrzykach Jankowskiego — pali się, uciekać! — wszyscy zaczęli wybiegać na zewnątrz. Po kilku chwilach odmeldowali się przy pawilonie Koszowej. Na szczęście nikogo nie brakowało. Niemal jednocześnie przyjechały trzy samochody z wodą i jeden samochód-drabina. Strażacy przywieźli ze sobą 11 tys. litrów wody i 1100 kg środka pianotwórczego. Zainstalowali trzy prądy gaśnicze, jak się to fachowo mówi, o łącznej wydajności 600 l wody na minutę. Oprócz tego podłączono działko o wydajności 1200 l/min, którym operował strażak na drabinie. Po 5 minutach po raz pierwszy w tej akcji zabrakło wody do gaszenia.

24 grudnia kierownictwo „Domaru” zameldowało strażakom, że wskutek awarii rurociągu odłączona zostaje woda do całego budynku. Brakowało jej

wnętrze meble o wartości od 15 do 30 mln. złotych, muszę panu powiedzieć, że kamień spadł mi z serca. Ta wiadomość dostownie pomogła mi w kierowaniu akcją”.

Na drugim piętrze magazynu zwożono najczęściej lekkie meble, krzesła, fotele, materace z pianki poliuretanowej. Było tam kilka bardzo drożych kompletów wypoczynkowych obitych prawdziwą skórą, kilkanaście segmentów, sypialni, szafek. Materiał niezwykle łatwopalny i trudny do gaszenia. Szczególnie materace z pianki, które pala się w bardzo wysokiej temperaturze dając dużo czarnego, szkodliwego dymu. Przewodzenie akcji od środka nie było w takich warunkach możliwe. Strażacy nie wytrzymali potwornego żaru. Poza tym budynek groził zawaleniem. Na jednej ze szczytowych ścian pojawiły się bowiem niebezpieczne rysy i wybrzuszenia. Po kilku próbach wycofano strażaków z pionacego piętra.

Zastępca dyrektora „Domaru” Wacław Kowalski podpisując korespondencje w chwili kiedy dowiedział się o katastrofie w przedsiębiorstwie. Jadąc na miejsce razem z dyr. naczelnym Jerzym Rokoszewskim już ze skrzyżowania al. Wióknarzy i Lutomierskiej widzieli potężne kleby dymu. Rokoszewski wtedy powiedział „Nie mamy po co tam jechać. Kamień na kamieniu chyba nie został”. Na miejscu obaj mieli lzy w oczach. „Zdawaliśmy sobie sprawę jakle mogą być straty. Co to znaczy dla przedsiębiorstwa i dla społeczeństwa, w sytuacji gdy większość mebli zostaje sprzedana w dwie godziny po dostawie do sklepu”.

Pożar był dla wszystkich wielkim zaskoczeniem. Magazyn uchodził za jeden z najlepiej strzeżonych obiektów tego typu w kraju. Pod koniec 1984 otrzymał nawet pierwszą nagrodę w miejskim konkursie przeciwpożarowym. Pracownicy w ciągu roku byli trzy razy szkoleni w zakresie przestrzegania przepisów p.poż. Na miejscu znajdowało się 49 jednostek gaśniczych podręcznych, i 6 hydrantek, czyli więcej niż przewidują przepisy. Urządzenia te były stale kontrolowane. 23 grudnia, czyli 8 dni przed pożarem, kpt. Jasiński ze straży przeprowadził kontrolę zabezpieczenia przeciwpożarowego obiektu i nie miał żadnych uwag. Na terenie panował wzorowy porządek, co potwierdziła strażacy biorący udział w akcji. Miejsca do palenia palenisk były wydzielone i oznaczone. Zawsze stała tam skrzynia z piaskiem. Na pełnym etacie zatrudniony jest konserwator urządzeń gaśniczych. Skąd więc pożar?

A jednak. Ogień rozprzestrzeniał się niezwykle szybko. Kiedy przyjechały pierwsze wozy strażackie, płonął już cały szczyt budynku. Między 14.30 a 15 zawała się boczna ściana i część stropu. Powstał otwór o powierzchni ponad 200 metrów

inaczej, prawdopodobnie z magazynu nie zostałoby nic.

Po kilku godzinach akcji strażacy byli całkowicie zmęczeni i zleknieni. Na dworze w czwartek panował dość duży mróz. Zmiany załóg nastąpiły dopiero po godzinie 21.00.

Swąd spalenizny, ciągle buchające płomienie, nieprzerwane wycie strażackich syren, spadający mrok sprawiły na setkach gapiów przygnębiające wrażenie. W pewnym momencie nastąpiła awaria głównej linii wodnej. Jakas cysterna pełna wody przejeżdżając przez bramę przywioła poprowadzony tamtędy wał, który natychmiast pekił. 6 tys. litrów wody na minuty podawanych przez pompe Rozenbauer zaczęło wylewać się na dziedzińiec i natychmiast zamarać.

W odległości 12 metrów od pionacego budynku stał drugi magazyn, też napełniony meblami o wartości blisko 100 milionów złotych. Wiał niekorzystny wiatr. Akcje utrudniały wagony stojące na bocznicach między budynkami. Wypchnęli je stamtąd pracownicy magazynu. Recznie.

Wszyscy spodziewali się najgorszego, gdy zarysowała się druga ściana. Podjęto orobę gaszenia za pomocą piany. Dochodziła tylko do pierwszego piętra. — Podejdźcie bliżej — krzyknął ktoś. — Nie bądź taki, kurwa, mądry — usłyszał w odpowiedzi. Po godzinie 17 żywioł udało się jednak opanować. Dym zmienił kolor, z czarnego na jasnoszary, lecz jezory ognia pokazywały się jeszcze przez całą noc. Jako jeden z pierwszych do pożaru przyjechał kapitan Kaźmierczak z komendy rejonowej straży na Bałutach, skończył prace w piątek wieczorem. Kierownik magazynu Hazelmajer też był orobę całą noc na miejscu mimo że w domu czekała chora żona. Tak samo dyrektorzy „Domaru” i wszyscy pracownicy magazynów. Niektórzy z nich rezygnowali z czasu wolnego i przyjeżdżali z domów na wieść o nieszczęściu.

Ofiarność wszystkich uczestników akcji trudno opisać.

Przyczyny pożaru, przebieg akcji gaśniczej, straty, badają specjalne komisje. Pozostaje kilka pytań, na które, moim zdaniem, należy znaleźć odpowiedź. Czy w porę została zawiadomiona straż? Kiedy przyjechały pierwsze jednostki ogień ogarnął już poważna część magazynu. Dlaczego strażacy nie podłączyli swoich węży do hydrantu przeciwpożarowego, znajdującego się na terenie przyległym do magazynu. Zrobiono to dopiero ponad godzinę po rozpoczęciu akcji?

Czy wtedy akcja miałaby inny przebieg? O wynikach prac komisji poinformujemy czytelników.

MAREK MAMOS



Foto: ANDRZEJ WACH

# Najważniejsze, że nie było ofiar w ludziach

Rozmowa z Komendantem Wojewódzkim Straży Pożarnych, pułkownikiem pożarnictwa, inżynierem STANISŁAWEM WOŹNIAKIEM

Takie wydarzenia jak niedawny pożar na Brukowej wywołują zwiększone zainteresowanie społeczeństwa działalnością straży pożarnej. Stąd moja prośba o dzisiejszą rozmowę. Pomówmy zatem o straży pożarnej — zaczniemy od pożaru na Brukowej. Co dziś można powiedzieć o przyczynach pożaru i przebiegu akcji gasniczej?

— Rzeczywiście, pożar magazynów mebli przy ulicy Brukowej wzbudził duże zainteresowanie. Nie ma się co dziwić — meble są artykułem deficytowym, częściowo reglamentowanym (kredyty dla młodych małżeństw) i każdy ich ubytek przynosi nie tylko straty gospodarcze, ale także, w pewnym sensie, szkody społeczne.

Był to pożar duży i trudny w likwidacji. Ogarnął górne piętro trzykondygnacyjnego budynku o powierzchni prawie jednej trzeciej hektara. Zmagazynowano tam głównie zestawy wypoczynkowe. Materace wypełnione pianką poliuretanową to materiał wysoce palny, który wytwarza — paląc się — gazy toksyczne. Płonnie w wysokiej temperaturze.

Według wstępnych ustaleń od chwili dostrzeżenia pożaru do zaalarmowania straży pożarnej upłynęło pół godziny — to bardzo dużo. W tym czasie trwały próby ugасzenia pożaru przez pracowników. Próby skazane na niepowodzenie, zwłaszcza że wewnętrzne krany przeciwpożarowe były nieczynne.

Pomieszczenia magazynowe wyposażone były w automatyczną sygnalizację alarmową dwójakiego rodzaju tj. reagującą na wysoką temperaturę i na dym. Niestety w tym, że pracownik pełniący dyżur w portierni, gdzie zainstalowana była centrala alarmowa nie umiał jej obsługiwać... Zareagował dopiero wtedy, kiedy ktoś wbiegł do portierni i krzyknął: „Wezwąć straż, pekała butla”.

Nie znamy jeszcze przyczyny bezpośredniej, trwa śledztwo prowadzone przez milicję z naszym udziałem. Ale ile już okoliczności sprzyjających rozprzestrzenianiu się ognia, a to jeszcze nie wszystko. Ściana osłonowa szczytu budynku była — jeszcze długo przed pożarem — w złym stanie technicznym, założono nawet plomby — takie szkiełka, których pęknięcie sygnalizuje odkształcenie się ściany. Niewiele było potrzeba, wysoka temperatura i ściany nie ma. W wyniku zawalenia się ściany nastąpił silny dopływ powietrza. Pech chciał, że tego dnia wiał zachodni wiatr — jak na zamówienie...

Dach pokryty był płytkami o niskiej wytrzymałości ogniowej. Wszystkie te okoliczności razem wzięte spowodowały wiadomy rezultat: górne, drugie piętro magazynu w ogień i trzeba wycofować załogi strażackie z płonącego piętra. Kontynuowanie akcji wewnątrz stwarzało zbyt duże zagrożenie dla ratowników.

Dalsza akcja prowadzona była za pomocą drabin mechanicznych i podnośników. A to już nie to samo co gaszenie wewnętrzne.

Na dodatek sieć hydrantów przy ulicy Brukowej charakteryzuje się ograniczonym ciśnieniem i nie zapewnia dostarczenia takiej ilości wody, jaka okazała się niezbędna do gaszenia tak dużego pożaru. W pierwszej fazie musieliśmy dowieźć wodę, jednocześnie budując własną magistralę o dużej średnicy weża.

Z pobliskich zbiorników pobieraliśmy wodę za pomocą dwóch pomp o wydajności 4200 litrów na minutę każda.

Cała uwaga skupiała się wtedy na następujących zadaniach:

- kontrolować i gasić strefę pożaru na ostatniej kondygnacji,
- bronić dwóch pozostałych kondygnacji, bo ogień, przez nieszczerne konstrukcje przerzucał się już na parter magazynu,
- bronić stojącego obok budynku,
- intensywnie chłodzić strop ostatniej kondygnacji płonącego budynku, aby nie dopuścić do zawalenia.

Jak pan widzi wiele przyczyn składa się na duży pożar. Kiedy istnieje jedna przyczyna, to mamy do czynienia z wypadkiem. Kiedy przyczyn jest wiele — jak w omawianej sprawie — to jest już katastrofa. Pożar przy Brukowej był katastrofą...

Co do przyczyny bezpośredniej, jak wspominałem, jest to przedmiot śledztwa o wyniku którego opinia publiczna zostanie poinformowana.

Jak pan pułkownik ocenia akcję? Czy można panu i wszystkim biorącym udział w akcji poratować?

— Jak oceniam akcję? Jak wcześniej wspominałem jako trudną, skomplikowaną i niebezpieczną, głównie dla ratowników. Zrobiono w tej akcji wszystko, co było możliwe. Uratowaliśmy ogromny majątek. A najważniejsze, że nie było ofiar w ludziach. Jeden strażak został ranny.

Uważam, że spełniliśmy swoje zadanie, choć nieraz, ze względu na niską temperaturę, zawodził sprzęt. Pracowaliśmy z wielkim zaangażowaniem i poświęceniem. Na krzewię: niebezpieczeństwa. Taki mamy zawód...

Prasa podała, że straty oceniono na 30 milionów złotych. Czy ten szacunek się zmienił?

— Podaliśmy prasie tę liczbę na zasadzie szacunku otrzymanego od przedsiębiorstwa Sądka, że w rzeczywistości straty są niższe. Wykazał to obliczenia, które prowadzi PZU i dyrekcja przedsiębiorstwa.

Panie komendancie, jak ocenia pan stan ochrony przeciwpożarowej na terenie całego województwa?

— Uważam, że zabezpieczenie sprzętowe, jakie posiadają straża, jest dobre, co nie oznacza, że jesteśmy całkowicie zadowoleni. W bieżącym roku nadejdą dalsze dostawy sprzętu, w tym drabina mechaniczna o wysokości 37 metrów.

W naszym województwie w stałym dyżurze znajduje się kilkadziesiąt sekcji gasniczych i specjalnych, nie licząc ochotniczych straży pożarnych. Przy okazji: w akcji na Brukowej brało udział 36 sekcji i stu dwudziestu strażaków.

Zakłady przemysłowe dysponują własną organizacją ochrony przeciwpożarowej tj. ochotniczymi strażami pożarnymi, pogotowiem „sał”, a większe nawet zawodowymi strażami pożarnymi.

Szeroka działalność profilaktyczna w dziedzinie ochrony przeciwpożarowej powinniśmy uprawiać wszyscy. W zakładzie pracy i we własnych mieszkaniach.

W tym roku, w ciągu zaledwie piętnastu dni, zginęło w Łodzi, we własnych mieszkaniach, 6 osób, w tym dwoje dzieci. Zginęło w piomieniach...

Na czym polega nowoczesność w pożarnictwie? Czy nasza straż jest nowoczesna?

— Na nowoczesność składają się dwa czynniki: nowoczesny, dobry sprzęt i ludzie. Może spokojnie stwierdzić, że mamy dobry sprzęt.

Gorzej z ludźmi. Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że nie jestem z nich zadowolony. Mam wielu młodych, dobrze przygotowanych strażaków, pasjonatów tego zawodu. Często w akcjach gasniczych trzeba powściągać ich zapał, iść „jak w ogień”. Mam wielu oficerów absolwentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej. Ale mamy tych ludzi za mało. Zarobki nie są u nas konkurencyjne, borykamy się z trudnościami w naborze. Uzupełniamy braki przy pomocy zastępczej służby wojskowej. Ma to ziele i dobre strony. Złe — bo przez dwa lata nie wyszkoli się strażaka. Dobre — bo po służbie idą do zakładów pracy przeszkoleni ludzie.

Wielu ludzi musi odejść przedwcześnie ze służby ze względu na stan zdrowia. Do najczęstszych chorób należą schorzenia układu krążenia i nerwice. Niebezpieczeństwo utraty życia i zdrowia, alarmy, gwałtowne zmiany temperatury nie sprzyjają zdrowiu i dobremu samopoczuciu. A przecież musimy mieć ludzi sprawnych...

Zatem, jeśli będzie mało pożarów, strażacy będą zdrowi?

Panie komendancie, proszę przyjąć życzenia zdrowia dla pana i wszystkich pana podwładnych!

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: ANDRZEJ KAROLCZAK

## Czyje meble spłonęły?

Pracownik w portierni nie miał obchodzić się z centralką systemów alarmowych... Nazywając rzecz po imieniu: sygnalizacja działała, a on nie rozumiał sygnału. Hydranty wewnętrzne nie działały, nie można zatem było rozpocząć skutecznej akcji gasniczej jeszcze przed przybyciem straży...

Pułkownik Woźniak używa słów wyważonych, nikogo nie oskarża — słusznym śledztwo w toku. Tym niemniej pewne rzeczy

czy można nazwać po imieniu już dziś. Pożar nie ma jednej przyczyny. To, że doszło do jego wybuchu jest efektem zwinionych bądź niezwinionych zaniedbań, może złej woli, może tylko lekkomyślności...

Spłonęły meble. Wartości — może trzydziestu milionów złotych, może nawet mniej. Strażacy, narażając życie oszklili co najmniej dwa razy tyle. Trzydzięci milionów złotych to niewiele. Niewiele w skali

obrotów przedsiębiorstwa, które nimi handluje. Istnieje jednak jeszcze inna skala wartości, którą można mierzyć straty w takim właśnie towarze. To skala indywidualna. Skala której podziałkę wyznacza wysokość premii kwartalnej, odłożonej na zakup wersalki czy fotela...

Dla przedsiębiorstwa te trzydzięci milionów są stratą „do odrobienia” — dla ludzi stojących nocą w kolejkach pod Domem — nie. To ich meble spłonęły na Brukowej...

A. K.

## Dokończenie ze strony 1

J.W.: Znaczący, ocenia się ilość „roboczo godzin” odbębnionych — nawet jałowo — a nie rezultaty? Jak w ogóle urzędnik może oceniać kwalifikacje projektanta i wypowiadać się o jego pracy — nie pojmuję. Jeśli pomysł jest dobry, sklep zarobił, ludzie się biją o towar, to chyba właśnie o to chodzi? A czy projektant wymyślił coś siedząc w domu z nogami na stole, czy za biurkiem w biurze, to nieważne.

A.M.: Poniekąd... Zresztą nie mamy tu na miejscu własnej pracowni projektowej. Cały budynek jest budowany z myślą o innym użytkowniku, to wcale nie miał być dom handlowy. O przyzwoitym zapleczu magazynowym, środkach wewnętrznej komunikacji itd. w ogóle nie można mówić. Więc projektantka musi pracować nad modelami we własnej pracowni, a tym

pracę, szukają naszych modeli, oferują tkaniny i towar gotowy. Już jest jakieś pole manewru, choć do ideału jeszcze daleko. Żeby wypuścić serię zaprojektowanej przez nas odzieży, musimy szukać producenta, czasem daleko poza Łodzią. Trafiamy też do szkół zawodowych, gdzie uczennice, pod naszą kontrolą szyją to, co chcemy i jak chcemy, min. szycie w znakomitej, samodzielnej szkole odzieżowej, należącej do Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Łodzi, także odzieżówka w Brzezinach bardzo nam pomaga i kilka innych.

W tym roku musimy wypracować 60 milionów planowanego zysku, z tego — za przynależne nam 40 procent — trzeba utrzymać w ruchu cały interes, utrzymać personel, budynek, dbać o estetykę, o warunki magazynowe i tysiąc innych spraw.

J.W.: Mnóstwo ludzi dowiaduje się o możliwości podjęcia pracy w „JUVENTUSIE”.

# Baśniowy sen „Juventusu”

samym nie ma jej „fizycznie” w pracy, co nie znaczy, że nie pracuje — tylko jak to wytumaczyć kontrolerom?

J.W.: To jakim cudem projektantka nie rzuciła jeszcze tej posady, tak wysoko płatnej?

A.M.: Może dlatego, że Anna Batory — projektantka ubiorów młodzieżowych w „JUVENTUSIE” — to moja własna córka? Może dlatego, że obie lubimy tę pracę i tak dobrze się rozumiemy? Jeszcze lubimy, ale jak długo?... Pracujemy wspólnie od powstania „JUVENTUSU”, za dwa lata chcielibyśmy, całym zespołem, zrobić coś ekstra, na nasze, dziesięciolecie. Nie akademie, tylko na przykład wypuścić serię kolekcji takich, że... siadacie narody. Może już z własnej tkaniny? Bo szykujemy firmową tkaninę „JUVENTUSU”... ale nie będą zdradzała tajemnic handlu.

J.W.: Czy duży dom handlowy to łatwy chleb?... zadaję głupie pytanie?

A.M.: A czy w naszych warunkach w ogóle można mówić o prawdziwym handlu? Pracuję w tej branży mnóstwo lat, większość przesiadziałam za biurkiem w administracji handlu i miałam już tego serdecznie dosyć. Setki przepisów, gąszcz zarządzeń, sprzeczne wymagania i wieczny brak towarów. Starczy. Najwyższy był czas bronić się przed porośnięciem mchem za biurkiem. Musiałam zacząć robić coś żywego, widzieć sprawdzalne efekty działania. Nie żałuję zamiany, choć chwilami powątpiewałam w sens tej szarpaniny. Pani wie, jak wyglądał rynek dwa-trzy lata temu. Brakowało surowca, wszędzie puste półki, a klient stał pod drzwiami i chciał coś kupić. Wtedy jeździło się do producentów, wydzierano z gardła tkaniny, towar. Walczyliśmy z pustką rynku i plakać się chciało. Co się tu oszukiwać, jeśli w tym czasie całym światem nie zamknęliśmy sklepu, to nie dlatego, że tak nam wszyscy chcieli dogodzić. Stara sprawa — kanałami półprywatnymi, dzięki wieloletnim kontaktom z producentami, znajomości ludzi, pomocy zwierzchności z „OTEXU”, udawano się i udaje zdobyć towar dla klienta. To najważniejsze w handlu, to mieć wyraźny plan. Najpierw trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie o jakiego klienta nam chodzi, potem — co my możemy mu zaoferować, dla kogo prowadzi się ten biznes. Prawdziwy handelek jest wtedy, kiedy klient nie kupuje byle czego, bo nie innego nie dostanie, tylko wie, czego szuka, a my potrafimy mu to zaoferować szybciej niż inni, nawet wyprzedzić potrzeby, podsunąć coś nowego. Tak powinno być, a jest, jak jest. Można powiedzieć, że już zbieramy owoce zapobiegliwości. Niektórzy producenci sami już przychodzą, nawiązują współ-

czyniami... ale szkoda rezygnować z maszki klienteli, tym bardziej, że dzisiejsza moda pozwala się wymieniać, na przykład dziewczyny noszą wielkie męskie marynary, wiele dodatków jest wspólnych.

Marzy mi się taki dom handlowy, gdzie młody człowiek nie tylko ubierze się od stóp do głów, ale jeszcze uzyska poradę jak wybrać, jak dostosować do indywidualnych potrzeb i wyglądu wskazania mody. Na piętrze — byłyby stoiska odzieżowe od bielizny — po piasek, cze, buty i wszelkie dodatki. Wszystko o krótkich, niepowtarzalnych seriach z pięknych tkanin, w najmodniejszych fasonach. Poza tym — ekspozycje szyciowców do sprzedaży nowych wzorów i kolekcji, serie informacyjne, pokazy rozmaitych kombinacji itd. Na dole zaś — kosmetyki plus fachowa pomoc kosmetyczek. Jaką wybrać fryzurę, by podkreślić walory i stuzować wady urody, jaki stosować makijaż, jakimi kosmetykami się pielęgnować. Ponadto porady

modystek — czy fason spodni będzie właściwy dla danej sylwetki, jak dobrać dodatki, co wybrać dla blondynki, w co ubrać brunetkę. Nie bać się tej kropelki szalenstwa, twórczego luzu, eksperymentu. Uciekać od paskudnego wzorca „bogatej kupcowej”, godnej, zamężnej i nudnej.

Można byłoby popробować realizacji marzeń, gdyby „JUVENTUS” dysponował własną pracownią projektową. Ze dwadzieścia wysoko kwalifikowanych szwaczek, szyjących modele naszych kolekcji; własne szablony, elastyczna, szybka reakcja na potrzeby rynku i wskazania mody. I jeśli tylko gdzieś u producenta jest luzniel w produkcji — natychmiast dostarczamy gotowe wzory i szablony, rusza większa seria. To jest to, czego nam bardzo potrzeba: projektanta odzieży nikt nie powinien rozliczać z osiedzianych godzin, ale płacić mu za dobre pomysły. „Wówczas rosną obroty sklepu, klient jest zadowolony... czy ja się aby nie zapędziłam za bardzo w baśnię?...

J.W.: Sama bym chciała dożyć takiej bajki. I każdy klient też.

A.M.: To już z całkiem prawdziwej przyszłości — szukujemy dla klientów kilka pomysłów. Kurtki już są — przeboj sprzedawany na pniu. Dalej — będą wielkie kamizelki z elanobawelny, odbite futerkiem. Takie do noszenia na wielkie marynary czy swetrzyzka, bardzo pomysłowy fason. Będzie kolekcja „studniówka” oraz kolekcja „deszczowa” — seria z tkaniny syntetycznej; płaszcz o kroju wielkiej peleryny, bluzka, kurtka, spodnie i torba. Styl sportowo-wakacyjny w wesołych kolorach.

Na wiosnę szykujemy kolekcję z elanobawelny, flaneli i płótna bawelinianego, którą już teraz polecam wszystkim dziewczynom. W jej skład wchodzi: sukienka, kostium (żakiet i spodnica), kurtka i spodnie w kilku fasonach, duże marynarki. Na deser zaś — szykujemy bawełkę szalenstwa dla tych, którzy lubią się ubierać awangardowo. Wesołe suknie, spodnice, marynary o niekonwencjonalnej linii, zamasyżte, zwariowane. To będzie na pewno, a przyszłość? Oby tylko zdrowia starczyło, bo o radość wykonywania lubianej roboty sami się już będziemy martwić.

J.W.: Czego klienci mają życzyć „JUVENTUSOWI” w nowym roku?

A.M.: Dostatków modnych tkanin, dobrych szwaczek i zadowolenia z zakupów.

J.W.: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: JOLANTA WRONKA

# Mówi Łódź poranna

Zaczynam się  
Wypływając ze srebrzystoszarzych  
Plamień nocy —  
Zwyczajnie — jak we wszystkich  
Wielkich miastach:  
Nie zaczynam się w centrum,  
Gdzie jeszcze śpią,  
Albo kładą się spać  
Ludzie nocnej zmiany — pocieli,  
Telegrafistki, które wróciły z dyżuru,  
Drukarze i dozorca,  
Weźni, wstawajmy —  
My — tkaczki i prządki,  
Otwieramy tajemnicę swej pracy, kunsztu,  
Nie czas nam stać przed lustrem:  
Próbujemy spieszyć  
Opuszczyć labirynty  
Z prześwietlonych snów,  
Z domów,  
Jak w ładowni gigantycznych łodzi  
Płynących w stronę porannego zmierzchu,  
Kiedy gwiazdy wyciągnięto już  
Ołowianą kreską —  
Na spotkanie świtom  
Nadchodzącym...  
Witają nas dymy niewielkich żagwi,  
Drżące dymki pogaszonych świec  
I dymy skłębione z szarych czasów,  
Z daleka — jak krematoria przeszłości.  
Widzicie oto nasze twarze  
W półmroku jesiennych ulic,  
Pod murami,  
Przy płotach, gdzie żyją  
Ogrodzonym życiem,  
Oddychają z trudem i ponurą  
Garbią się  
Podciągają pod siebie ramiona gałęzi,  
Tak potrzebne, bo ich przeznaczanie —  
Być tutaj...  
Zmęczone drzewa Bałut,  
Stoków i Widzaw,  
Zagładacie w twarze  
Naszych dziewcząt przy krosnach.  
Fuste są jeszcze w alejach  
Szare ławki,  
Ale myśli  
Tych co się tutaj wczoraj spotykali  
W osobliwym leżą świetle  
Połączone.  
Pierwsze sklepy już otwarto,  
Ruszowania krąży w niebie,  
Toczą się schody wieżowców...  
A w tym czasie z horyzontu —  
Dysk czerwony,  
Rozyrywa otoczkę mgieł  
I już poranne miasto mówi:  
— Tu łódzkie wiadomości dnia...  
A potem słowa też przejmują  
Warsztaty,  
Szyny  
I motory,  
I ręce robotników,  
Oczy...

Maksym Tank

# Szkarłatnej Łodzi

Łódzia, Łódka, Łódź!  
Widziałem ciebie zawsze  
Pod masztami  
Fabrycznych kominów,  
Pod rozwianymi  
witrażami  
dymów,  
W które nieustannie były  
Wielkie sztormy.  
Ale tyś płynęła  
Świtem stulecia  
Przez rafy barykad,  
Przez błyskawice salw  
I miraż utopij  
Do socjalizmu...  
Łódzia, Łódka, Łódź!  
Zaleczywszy  
Ślady zaborech kul  
I krwawące rany wojny,  
Walczyś z przeciwnością losu  
O szczęśliwe jutro,  
I dziś  
cała  
w chorągiewkach  
Płyniesz.  
A ja polskich przyjaciół witam  
Z nadzieją  
Na nowe spotkanie z tobą,  
Znaki ci dalekożdziłkiem amarantowym:  
Pomyślnych wiatrów,  
Łódzi szkarłatna, Łódka czerwoniakamienna!  
Moskwa, 25.IV.1984 r.

Josyp Struciuk

# O Łodzi pamięć

Na płaszczyznę nocy spada miasto,  
Blyszczącymi osami gwiazd wdziera się  
W neonowe larum wielkich reklam.  
Miasto, myślę o tobie i chcę by poranek  
Zastał mnie w tych ulicach,  
A twój zachodni wiatr przypomniał mi  
Melodie tysiąca lat,  
Które znał brzegów siedmiu strumieni  
Ściekają nad Wisłą i dalej...  
(...każdy twój kamień ukrył w sobie  
Skargę zaklętą pełną niepokoju:  
— Człowieku, czoło schył nade mną,  
Ja krew pamiętam z ran moich włókniarzy...)  
I błogosławie cie, miasto poetów,  
Bo tyś podpowiadała im nowe rytmy,  
A na ruchomych witrażach dni  
Ciągle zapalała słowa mądrzej polskiej mowy...

Przełożył: ROMAN GORZELSKI

Aktualna rzeczywistość, nawet ta najbardziej dramatyczna, wkracza do literatury pięknej niezwykle opornie — z różnych przyczyn, jak wiadomo, powodów. Wydarzenia początkowych lat osiemdziesiątych trafiły na karty powieści z dość zróżnicowanym powodzeniem: o sprawach bulwersujących społeczeństwo mówiono w nich często w sferze aluzji, nokretnej metafory, wykorzystując niektóre realia jako swoiste „ozdobniki” czy publicystyczne wtręty.

— Struś dzisiejszych czasów chowa głowę nie w piasek, ale do rozporka — prześmiewają się niektórzy pisujący o literaturze felietoniści, kpiąc z natrętnych rekwizytów erotycznych, jakich dziś pełno w książkach i gazetach (i gdzie

Podnoszone przezeń kwestie moralne nie noszą znamion abstrakcji, same zaś powieści nie składają ku parabolicznym uogólnieniom prawideł ludzkiego losu. Bilińskiego interesuje człowiek konkretny, określony czasem, miejscem, sytuacją. Może dlatego wzoruje swe postaci na realnie istniejących ludziach, co oczywiście przybiera formę mniej lub bardziej wyraźnego kamuflażu. W powieściach Wacława Bilińskiego toczy się swoista psychomachia, trwa spór o moralną odpowiedzialność za czyny własne i innych. Układ zdarzeń przedstawiających losy poszczególnych postaci tak jest konstruowany, by możliwie dokładnie pokazać dynamikę życia codziennego, by uchwycić całe bogactwo zjawisk i faktów, jakie składają się na

ca, wcale nie gorsza, jest wynagradzana gorzej niż tamtych? Takie pytania muszą uadac i każdy socjolog czy psycholog powie ci, że nie ma na nie odpowiedź!

„Wyjaśnienie” nie jest powieścią sensu stricte politycznego. Wacław Biliński nie byłby chyba sobą, gdyby spraw politycznych nie osadził w realiach obyczajowych i to niejednokrotnie bardzo pikantnych. Nie mówię tu tylko o wspomnianym powyżej przysłówkowym niemal „rozporoku”, chodzi raczej o mentalność społeczeństwa, przejawiająca się w różnych codziennych sytuacjach. Podstawowy motyw tej powieści: pisanie wyjaśnienia.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

# Wyjaśnienie?

Indziej też). Czy można w rzeczy samej polską literaturę współczesną przyrównywać do strusia? I tak, i nie. Tak, bo jest na ogół mało lotna i jeśli nawet znosi ją, to rzadko coś się z niej wykluwa. Nie, bo głowy tak zupełnie w piasek czy gdzie indziej nie chowa, to i owo dostrzeżać, ktoś wylubił sporo potrafi z niej wyzytać.

Istnieją przecież literackie próby chwytania życia na gorąco. Z perspektywy najniższej, plebejskiej — choć w zdefiniowanym artystycznie kształcie — ujął wydarzenia roku 1981 Piotr Müldner-Nieckowski w powieści „Spłacy w mieście” (1983). W niezbyt udanym stylu pokazana została codzienność owego roku w debiutanckich powieściach: Jacka Krakowskiego „Autopsja, czyli dziennik kryzysu” (1984) oraz Czesława Wolczyńskiego „Rozdarcie” (1984). W realiach stanu wojennego rozgrywała się powieść Marii Nuruwskiej „Kontredans” (1984) i Izabelli Bondar „Aria variata” (1984). Niestety, poza prozą Müldnera-Nieckowskiego mamy do czynienia z wyraźnym naskórkiem — może nie zawsze z winy autorów — oglądem rzeczywistości lat ostatnich.

Stosunkowo udana reakcja literacka na wydarzenia przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych okazuje się powieść Wacława Bilińskiego „Wyjaśnienie” (1984). Stanowi ona konsekwentne ogniwo w dotychczasowym dorobku piśmiennym Wacława Bilińskiego.

2

Biliński dał się poznać jako autor penetrujący współczesne postawy moralne zwłaszcza w środowiskach działaczy politycznych i gospodarczych, wysokich urzędników, naukowców i artystów (przynajmniej choćby „Wypadek”, „Ikony” czy „Widoki o zmierzchu”). Myślał przewodnią tej twórczości staje się wciąż ponawiana próba postawienia diagnozy dotyczącej natury ludzkiej, diagnozy dotyczącej całego społeczeństwa, w którym żyją i działają bohaterowie powieści. Nie chodzi przy tym o łatwe i efektywne uogólnienia, chodzi raczej o w miarę wnikliwe (w tym przynajmniej stopniu, na jaki pozwala utwór fabularny adresowany do szerokiego odbiorcy) przesiedlenie współczesnej sytuacji społecznej i obyczajowej, o krytyczny ogląd funkcjonowania instytucji społecznych, wreszcie o zorientowanie się w kierunku ogólnych dążeń. Zadanie niełatwe, zwłaszcza przy tym, że i czasami niełatwe, Biliński nie posiada przy tym ambicji socjologa, nie ma zamiaru proponować wyczerpujących diagnoz, raczej przygotowuje grunt do wnikliwego rozpoznania, chce przyrzec się społecznym i psychologicznym uwarunkowaniom szeroko rozumianej polskiej współczesności. Zasadniczy problem jego powieściopisarstwa tak można sformułować: — co w naszym życiu najważniejsze, ku czemu wiedzie nas bieg wydarzeń, czy jesteśmy w stanie nad nim zapanować? Nie daje jednak gotowej odpowiedzi, wymaga jej raczej od czytelnika.

przeszłość i terażniejszość bohaterów powieściowych. Są oni ludźmi pełnokrwistymi, odczuwającymi złożoność, różnorodność świata, chłonącymi zmysłowość otoczenia — jedni posuwają się w tym labiryntcie z gracją baletnicy, innych życie przytłacza i niekiedy niszczy.

Fakt, iż autorowi „Wyjaśnienia” udało się stosunkowo dużo powiedzieć o mechanizmach życia politycznego przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wynika z tej prostej przyczyny, że „Wyjaśnienie” zbliżone jest do powieści politycznej. Jego bohater to człowiek z elity władzy — najwinniejszy realizator, (a może i współkonstruktor) polityki „dynamicznego rozwoju” i spec od „manewrów gospodarczych”, bystry, wytrawny, doświadczony gracz. Subiektywnie jest to z pewnością człowiek uczciwy, zafascynowany możliwościami rozumu (jakże żudnego, jak się krótko miało okazać), pochłonięty idea dorównania Europie. Jest to człowiek inteligentny, słabego wszakże charakteru — dostawczy się raz w orbite dworskich układów nie potrafił sam się z nich wyzwolić. Dopiero burzliwy czas wyrzuca go za burtę.

Wtedy postanawia wyjaśnić wszystko: przedstawić obiektywne i subiektywne uwarunkowania sytuacji, w jakiej znalazła się Polska początku lat osiemdziesiątych. Zerwał wszelkie kontakty ze światem, odizolował się nawet od domowników, zamknął się w czterech ścianach i zamasyżuje piśmie owo nieszczesne wyjaśnienie, usiłując dać własną wersję polskiego kryzysu. Czynność ta okazuje się jednak pracą szwafową. Wyjaśnienie nigdy nie zostanie ukończone, nigdy nie ujrzy światła dziennego. Co bohater powieści napisze — to wyrzuca. Aż do samobójczej śmierci.

Jak pamiętamy zdarzały się w roku 1981 takie przypadki. Można w nich szukać bezpośredniej inspiracji tej powieści. Wskazywałoby na to również nazwisko bohatera. Klucz da się zresztą zastosować do większości postaci zaludniających „Wyjaśnienie”. Ale nie o to przecież w pierwszym rzędzie chodzi, idzie o pokazanie mechanizmów. Działania tych mechanizmów nie ogranicza Biliński do elity władzy. Mówi prosto i dosadnie — urodził się w Polsce to dopiero nieszczesnie, bo mamy paskudny charakter narodu: „Albo serwilizm, wiazdupstwo, czapkowanie. Albo warcholstwo, rabacja, rokosz”. W Polsce na ogół trudno znaleźć winnych, działa tu bowiem niezmienny historyczny schemat: rozbudzone nadzieje i zamiast ich urzeczywistnienia potężny krach. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej? Takich sarkastycznych pytań wiele znajdziemy w książce Bilińskiego. Pytań w zasadzie jest odpowiedź: bo po orostu adresowanych do czytelników. Podobnie jak bez odpowiedzi pozostaje „musi teoria „styku”: „Ludzie z Trójmiasta na co dzień widza robotnika skandynawskiego, eferenowskiego czy też z Beneluksu. Marynarza, stoczniońca, Styk. Dlatego, będą pytać, nasza pra-

którego nikt nigdy nie widział i którego nikt nigdy nie zobaczy, ratuje książkę Bilińskiego przed publicystycznym niebezpieczeństwem, jakim jest jednoznaczność ocen. Fakty są przecież powszechnie znane. A interpretacja? Spotykamy na przykład taka: „Polska kwadratura koła. Katastrofa. Kto za nią odpowiada? Rozmiary katastrofy. Odpowiedzialność jednostki? Czy grupy? Wszyscy w Polsce tylko o tym dyskutują. Różnią się tylko kunszt oratorski, kreacje aktorskie, szczerze czy nieszczerze deklaracje. Stocznia, Sejm, Sala w Białym Domu, Sala Kongresowa. Sympalnie małżeńskie, Konwersatoria: snobistyczne, reformistyczne czy po prostu kolejkowe. Miliony Polaków. Miliony w kółko powtarzanych tych samych pytań, tak jakby odpowiedź na nie mogła być i kamieniem filozoficznym, i gwarancją zmian na lepsze, i przyniosącym ulgę w cierpieniach panaceum”. Tak więc Wacław Biliński — zgodnie z prawidłami funkcjonowania literatury pięknej — nie mierza wcale do jednoznacznego wyjaśnienia polskiego kryzysu przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Stara się przede wszystkim pokazać, jak doń doszło, jak ów kryzys stał się po prostu możliwy.

Najważniejszą sprawą jest tu problem odpowiedzialności. Ponieważ nie mamy władzy w moźolnie przygotowywane wyjaśnienie, musimy zaufać relacji z drugiej ręki. Oto fragment relacji adwokata z ostatniej rozmowy z bohaterem powieści, przekazywanej jego żonką: „Rzecz się ma tak, że co prawda obnaża winy obiektywne i subiektywne na górze, a więc przede wszystkim naszego bezkrawego dyktatora. Jak go nazwał, potem premiera i całej Rady Ministrów, ich brak kompetencji, karygodne zaniedbania, afery i zwykłe już nadużycia, święstwa i świństwku, ale czyni to tylko mimochodem, jakby w drugim planie. Natomiast na takim tle to wyjaśnienie ukazuje nam pani meza jako oskarżonego numer jeden. Maż pani wszystko bierze na siebie! Stwierdza, że był głównym inżynierem systemu kredytów, zadłużen i powiazań eksportowo-importhowych. Uważa, że wykonując polecenia tamtych i odnosząc się do nich bezkrytycznie, zrujnował kraj. I że ponosi za to główną winę.” Takie stanowisko zostaje przyjęte przez otoczenie z niedowierzaniem jako rezultat mitologizacji i monomanii. Jak jest w istocie? Autor tego nie rozstrzyga, pozostawiając niejako decyzję czytelnikowi.

5

Konflikty, emocje i namietności znajdowały we wcześniejszych powieściach Wacława Bilińskiego częściowe usprawiedliwienie w warunkach, w jakich żyli powieściowi bohaterowie. Co nie znaczy, że akcentowane było prawo mimikry. Tym razem jest inaczej. Brak napisanego wyjaśnienia nie oznacza usprawiedliwienia. Bohater „Wyjaśnienia” sam wymierza sobie karę najwyższą — popełnia samobójstwo. I tragiczny ów gest musi zastąpić wyjaśnienie.

# Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

MEMENTO DLA KALENDARZA

Minął stary rok, jeszcze raz, drugi spoglądamy na nieaktualny już zeszloryczony kalendarz, przepisując zeń co najwyżej pro memoria adresy i telefony do nowego kalendarza, który podobnie jak wskazówki zegara wyznacza wciąż nowe terminy, przypomina o sprawach nie cierpiących zwłoki. Piszący te słowa zebrał dane dotyczące wydanych w Łodzi kalendarzy z lat 1869—1939 i doliczył się aż 92 tytułów, co nie znaczy bynajmniej o kompletności rejestru. O ułotności produkcji kalendarzowej pisze Feliks Świerczyński w wierszu „Kalendarze” (z rękopisu):

Gdy rok nowy, kalendarz stary, jak pacholik,  
Jak przedmiot niepotrzebny, idzie w ką,  
pod stolik,  
Lub go dają do kramu, lub rzucą na śmieć  
Albo się nim nareszcie zabawiają dzieci.  
Dosyć dla kalendarza zaszczytu i chwały,  
Ze zachowa znaczenie swoje przez rok cały.

CHRZĄSZCZ BRZMI W TRZCINIE...

Wielokrotnie już w „Bigosie” przypomniany ksiądz Wesolowski alias Maciej Mateusz Fryczkiewicz, szpitala św. Mikołaja na Wesolej proboszcz, Roku Pańskiego 1767 odnotował następującą fację:

Polak, zakonnik pojechał do Rzymu na mieszkanie, ciekawością zdjęty Włoch bardzo prosił, aby go nauczył języka polskiego, obiecując go wzajemnie po włosku nauczyć. Polak widząc, że trudna mowa polska, umówił się z nim, żeby on go pierwszej nauczył po włosku i stało się, że doskonale Polak pojął język włoski, ale żeby się importunii (biedy — przyp. AK) pozbył, zebrał trudne polskie następujące słowa: „przeszedł chrabąszcz orzech chrzan”. Uczy go tedy pierwszego słowa po sylabie „prze”, a Włoch mówi „psie”, markolno mu słuchać takiej wymowy. Wyraża druga sylabę „szedł”, a Włoch mówi „siel”. Idzie do drugiego słowa; Polak mówi „chra”, a Włoch kręci głową, krztusi się, a nie mogąc wymówić, rozgniewany rzekł po włosku: „nic dobrego ten język polski, i piersi, i język zesobalbym, a nieuczylbym się go nigdy”.

NA BURDEL

Tu najtaniej, bo kilku wyrzuciwszy grosz,  
Dostaniesz na rok bólu, za moment rozkosz.  
Walenty Gurski (1817)

KASPROWICZ ANALFABETA

W „Kurjerze Literacko-Naukowym” z 1936 r. (nr 41) znajduje się anegdota o Janie Kasprowiczu, naówczas esk-honoris Uniwersytetu we Lwowie i doktorze rektoris causa Uniwersytetu Warszawskiego:

Gdy pewnego dnia przybywszy ze swej Harrendy do Zakopanego, zaszedł na pocztę, zbliżył się do niego jakiś prostaczek góral i trzymając w ręku list dopiero co podjęty z poczty, poprosił pokornie o przeczytanie mu tegoż. Poeta, uczynny jak zawsze, wziął list do ręki, rozwinął, atoli kaligrafia była tak okropna, że trzeba było dobrą chwilę zastanowić się i skupić uwagę, by móc odczytać prawdziwe hieroglify. Góral czeka chwilę, potem zniecierpliwiony i zawiedziony wdziera list z ręki poety, mówiąc:

— A dyć mogliście panocku od razu pedzieć, że nie umiecie czytać, a nie zabierać czasu mnie i sobie.

PRAKTYCZNY WYKŁAD LOGIKI

— Dobrze jest żyć nad stan. Kto żyje nad stan, ten traci majątek — kto stracił swój majątek, ten staje się biednym — biedny musi pracować i oszczędzać — że zaś praca i oszczędność są dobrymi przymiotami i prowadzą do majątku — dobrze więc jest żyć nad stan.

— Dobrze są ploki. Kto rozumie ploki, ten jest żyły człowiek — zlego człowieka wszyscy unikają — kogo wszyscy unikają, ten stara się poprawić — a że chce poprawy jest godne pochwały — więc dobre są ploki.

— Dobrze, że są złodzieje. Gdyby złodziei nie było, to by ich policja nie chwytala — gdyby zaś ich nie chwytało, to by się za bardzo rozmnożyli — a że byłoby niedobrze, gdyby się złodzieje rozmnożyli — dobrze więc że są złodzieje.

— Dobrze, że maj jest zimny. Gdyby maj był ciepły i pogodny, chodzilibyśmy na majówki — na majówkach najłatwiej się przeziębic — z przeziębienia powstają choroby — choroby spowodowane są z sobą niepotrzebne koszta i wydatki — dobrze więc, że maj jest zimny.

Jak wynika z tego, co opublikowano w „Szeptaku” (1877, nr 18), maj był wówczas chłodny; miejmy nadzieję, że w tym roku będzie inaczej. Oby...

CZYTAJCIE PETRYCEGO

Sebastian Petrycy (1554—1626), filozof i lekarz pisał: „Zona według rozkazania meżowego, a nie według rozkazania meżowego, ma dom prowadzić”. Panie nasze nie czytają Petrycego, na co uskarżał się już Kazimierz Bartoszewicz w jednym z odcinków swego „Słownika diabelskiego”

Opracował: ANDRZEJ KEMPA



**D**o licznych i serdecznych gratulacji, składanych dziś na Pańskie rece, chciałbym dodać od siebie komplement, który proszę przyjąć bez męskiej próżności. Otóż jeśli na sali filharmonii w dniu jubileuszowego koncertu znalazł się ktoś, kto Pana dawno nie widział, tego z pewnością zaskoczyło, że zamiast przewidzianego jubilatą uśmiechu wbiegającego na estradę młodzieńcem kr. kiem mężczyzną w pełni sił. A przecież do tych czterdziestu lat koncertowania należy jeszcze ileś tam wiosem Panu doliczyć. Duże brawa!

— Dziękuję. Między nami, mężczyznami, komplementy są w cenie, ale wolałbym jednak, żeby mnie pan z okazji mojego jubileuszu nie postarzał. Ja doprawdy zacząłem grać w naszej orkiestrze bardzo młodo. Jeszcze przed rozpoczęciem wyższych studiów muzycznych przyjęty zostałem do orkiestry w drodze konkursu tuż po wyzoleniu i to od razu do pierwszych skrzypiec. Znalazłem się w tym nowo utworzonym zespole symfonicznym, wówczas przy Teatrze Powszechnym jako jeden z pierwszych muzyków, ale nie mogłem wstąpić jeszcze do związku zawodowego jako niepełnoletni. A zresztą, czy można sobie wyobrazić koncertmistrza bez żelaznej kondycji?

— Cofnijmy się jeszcze trochę w czasie. Kto Pana kształcił muzycznie?

— Uczyłem się w znakomitej szkole niezapomnianych Dobkiewiczów, prowadzących naukę również w latach okupacji, oczywiście konspiracyjnie. Przez jakiś czas nie było pewne czy nie zostanie pianista, wygrałem nawet konspiracyjny konkurs pianistyczny, ale przycięcie mnie do orkiestry zadecydowało ostatecznie o wyborze skrzypiec, uprawianych dotychczas równoległe, bo muzyka jako sztuka była dla mnie ważniejsza od muzycznej specjalizacji. Nawiasem mówiąc uważam to za niewybaczalne, że ci znakomici pedagodzy, tak zasłużeni dla kultury muzycznej Łodzi nie doczekali się tutaj upamiętnienia w postaci np. nazwania ulicy ich imieniem. Gry na skrzypcach uczyłem się najpierw u Alfreda Wilkomirskiego (ojca Kazimierza i Marii), następnie ukończyłem klasę skrzypiec u Ireny Dubiskiej, później otrzymałem ministerialne stypendium na aspiranturę w Moskwie, doskonaliłem też swoje umiejętności w Królewskiej Akademii w Brukseli.

— Ktoś komu nie dość bliskie są sprawy muzyki poważnej mógłby sobie pomyśleć tak. Zdobywał Pan wirtuozowskie ostrogi, a w efekcie związał się Pan na stałe z orkiestrą i to w zasadzie jedna, nie licząc przejściowych kontraktów z orkiestrą włoskimi...

— Wróć więc do tego, co już powiedziałem, że sposobem się do zawodu muzyka w ogóle, potem zorientowałem się na skrzypce, ale inna tym nie poprzestałem, ponieważ zdobywałem ponadto podstawy dyrygentury u Kazimierza Wilkomirskiego, żeby uzyskać jak najgruntniejsze kwalifikacje muzyczne, niezbędne do wykonywania odpowiedzialnej funkcji koncertmistrza, która mi przypadła też bardzo wczesnie, bo bez mała czterdziści lat temu. Uważam zresztą, że gra w orkiestrze, jak również w zespołach kameralnych, jest świetną szkołą dla młodych instrumentalistów, a dojrzałym muzykom umożliwiała utrzymywanie się w wysokiej muzycznej kondycji.

— Rozumiem, i wiem też, że w okresie tego całego czterdziestolecia występował Pan często i z powodzeniem jako solista i kameralista, wiadomo mi również, że od dawna uchodzi Pan za pierwszego wśród polskich koncertmistrzów, co słyszałem nieraz na własne uszy, min. od znakomitego dyrygenta Carlo Zecchiiego w czasie przeprowadzania z nim wywiadu. Ale chyba to znamienne, że choć dyrygentami biegają o to, by im Pan grał pierwsze skrzypce, to szersza publiczność koncertowa nie bardzo sobie zdaje sprawę z zadań koncertmistrza, może więc o tym parę słów.

— I ja nie chciałbym się nad tym tu rozwódzić, powiem tylko w skrócie i uproszczonym, że są to ważne zadania w procesie przygotowania orkiestry do koncertu, polegające na porozumieniu się z dyrygentem co do jego intencji interpretacyjnych, a następnie na opracowaniu smyczkowania i tzw. artykulacji ca-

łego kwintetu smyczkowego (pierwszych i drugich skrzypiec, altówek, wiolonczel i kontrabasów), co stanowi właśnie istotny element interpretacji dzieła.

— A potem przychodzi wykonanie, koncertmistrz pojawia się na estradzie jako ostatni z zespołu, tuż przed dyrygentem, następnie „podaje” orkiestrze strój, po czym siada przy swoim pierwszym pulpicie i gra przez cały czas razem z innymi, jemu też przypada wykonywanie skrzypcowych solówek. Po udanym koncercie dyrygent w podzięce potrząsa utrudzoną prawicą koncertmistrza.

— Owszem, zgadza się. Ale o tych solówkach trzeba jednak wiedzieć, że nie ustępują one nieraz technicznie najtrudniejszym partiom wirtuozowskim koncertów solowych i stanowią wielkie obciążenie dla koncertmistrza, który przecież przez cały czas koncertu ciężko haruje wraz z kolegami z orkiestry.

— Słyszałem o tym nieraz, że jeżeli koncertmistrz na tym bardzo zależy, to potrafi on „podciągnąć” orkiestrę ku zadowoleniu dyrygenta, z czego wynika, że może też być wprost przeciwnie...

## Być koncertmistrzem...

Z ZENONEM HODOREM o jego drodze artystycznej



— Jeśli się jest rzetelnym artystą, starając się człowiekiem zawsze wykonywać swoją pracę sumiennie i na miarę swoich możliwości, choć oczywiście od psychicznej kondycji koncertmistrza i jego kolegów sporo zależy. A jeśli już o tym mówimy, to wspomnę, że kiedyś wiedeńska filharmonia dawała koncerty, którymi mogli zadziwiać każdy, za odpowiednią opłatą. Jednemu z takich amatorów dyrygowania koncertmistrz miał powiedzieć po próbie: „Jeśli nam Pan nie zapłaci podwójnego honorarium, to zarzamy Panu tak — jak pan dyryguje”.

— Wróćmy jeszcze do tych pierwszych lat. Czy nie miał Pan chwil zwątpienia w trafność obranej drogi?

— W każdym razie od bardzo dawna nie mam. Powiedziałem, że pragnąłem zostać muzykiem, co nie przeszkadzało temu, że interesowałem się różnymi sprawami. Zaczęłem nawet studiować prawo, z czego wyniosłem przynajmniej jedną dla siebie korzyść, że — mając

za wykładowcę prof. Kotarbińskiego — zrozumiałem znaczenie jego moralnych nauk o „dobrej robocie”. Dla każdego artysty oznacza to konieczność gruntownego poznania tajników swojego „rzemiosła” i sumiennosc w wykonywaniu zadań. Żadna intuicja, żadne uczucie, choć są niezbędne, nie zastąpią znajomości rzemiosła i kontroli intelektu. A co do moich początków w zawodzie muzyka, to były one trudne o tyle, o ile sam czas powojenny był dla wszystkich niełatwy. Mnie jednak coś nieźle, dostaliśmy zaraz po wojnie wraz z Wandą Wilkomirską „chaiturę” w pierwszym po wojnie filmie polskim „Zakazane piosenki”. Ja podkładałem muzykę pod rolę studenta, a ponadto oboje dawaliśmy podkład pod „grany” przez Kurnakowicza i Łapińskiego duet Spohra, ustawiając dla kamery prowadzenie smyczków przez obu aktorów. Mnie z Łapińskim szło łatwiej, ponieważ miał jakieś pojęcie o grze na skrzypcach. Za pierwsze zarobione w ten sposób honorarium kupiłem sobie wysokiej klasy zegarek na rękę, min. po to, żeby naszym profesorem, który dojeżdżał ze zburzonej Warszawy i nie mieli nawet zegarka, móc w każdej chwili odpowiedzieć — która godzina. Byłem trochę z tego dumny, że zwracali się w tej sprawie od razu wprost do mnie.

— A jeśli sięgnie Pan pamięcią do pierwszego powojennego składu naszej orkiestry, to ilu osób mogłoby się Pan dziś doliczyć?

— Proszę sobie wyobrazić, że ani jednej, pozostałem sam na placu, co pobudza niekiedy do smutnej refleksji nad upływem czasu.

— To właściwie wielki evenement, że Pan nie tylko w ogóle gra w tej samej orkiestrze, ale już tyle lat pierwsze skrzypce. Widzę tu zresztą wokół Pana oczywiste oznaki tego, że nie tylko dotychczasowe zasługi, ale i obecna forma artystyczna są przez polski świat muzyczny doceniane. Teksty gratulacyjnych listów od Zygmunta Latoszewskiego, Kazimierza Wilkomirskiego, Kiejstusa Bacowicza, Jerzego Kallawicza i tylu innych, a także depesze od władz miejskich i uczelnianych też dowodnie o tym świadczą. Nie brak też słów uznania dla pańskiej działalności pedagogicznej i społecznej.

— Przez kilkanaście lat uczyłem jako docent w łódzkiej PWSM, byłem w latach powojennych jednym z organizatorów SPAM i jego długoletnim wiceprezesa, przeszedłem też Łódzkiemu Towarzystwu Muzycznemu. Godziłem z sobą te różne zadania i funkcje, choć nie miało w tych latach koncertowałem, dawałem niezapomniane dla mnie recitale radiowe, wspominam z sentymentem ówczesnego spike-ry, który przybył do Łodzi prosto z Lublina, zmarłego niedawno Igora Sikirzyckiego. Wspomnień uzbierało się sporo, zwłaszcza z powojennych początków życia muzycznego Łodzi.

— Wróćmy do jubileuszowego koncertu. Wszedł Pan wprawdzie na estradę nadzwyczaj dziarsko, ale jeśli dobrze zapamiętam, był Pan nieco spięty i trochę jakby błąd. Trema?

— Odczuwałem duże obciążenie psychiczne. Myślałem o tym, że mam przed sobą publiczność, dla której gram w orkiestrze już tyle lat, a wśród niej wielu przyjaciół, którzy dziś tu dla mnie przysli, siedzą koło mnie koledzy z orkiestry. Pomyślałem, że w dniu swojego święta nikomu z nich nie mogę przecież sprawić zawodu...

— No i nie sprawił Pan „Cztery pory roku” Vivaldiego, czyli cykl czterech koncertów skrzypcowych z orkiestrą godnie były jubileusz. Zechciałby Pan jeszcze odpowiedzieć, jakiej satysfakcji może Pan pragnąć, mając za sobą więcej lat pracy na tym stanowisku niż ktokolwiek w Polsce, jakie ma Pan zawodowe marzenia?

— Byłbym szczęśliwy, gdyby dane mi było zasiąść jeszcze za swoim pulpicem w nowej łódzkiej filharmonii, co być może jest realne, jeśli jej budowa nie potrwa jednak zbyt długo.

— Życze więc Panu wygrania tego wysiłku z czasem i dziękuję za cenne wypowiedzi. I gratuluję serdecznie Nagrody Miasta Łodzi.

Rozmawiał:  
JERZY KWIECIŃSKI

w polskim wydaniu absolutnie tego nie czyni. Pułkownik Wybicki nie ma autorytetu przywódcy, Boniek ogarnięty jest obsesją sadzania potencjalnych pracowników UB na jednej nodze, na odwróconym do góry nogami krześle. Mały lata z nożem i wymachuje nim jakby zamierzał szlachtować zwierzęta, a Spinoza tęsknie spogląda w okno. Chyba nie tak postępują terroryści, jeśli nawet są oni Polakami, a ich zakładnikami są ludzie tej samej narodowości.

Tak samo nie należy przypuszczać, aby w obliczu ewentualnej śmierci ktoś myślał o amarach, jak czyni to studentka przystawiająca się do Spinozy. A może ona jedna czuje, że ci polscy terroryści są po prostu śmieszni? Skomplikowanie losów osobistych pracowników ambasady (trójką miłośny sekretarz, dla którego szkoła życia był obóz koncentracyjny, rodzica się miłość pomiędzy Spinoza a studentka) nie wyszły na dobre filmowi. Wystarczy skupić się na układzie wynikającym z sytuacji zamknięcia grupy ludzi i potęgowaniu w nich uczucia zagrożenia śmiercią.

O wiele lepiej radzi sobie Kidawa z inscenizacją scen rozgrywających się na zewnątrz ambasady. Tutaj akcja wykazuje większy stopień prawdopodobieństwa. Zupełnie dobrze rozegrano scenę ścigania helikopterem pułkownika z dachu ambasady, czy wkrócenie do gmachu grupy specjalnie szkolonych oddziałów używanych do walki z terrorystami. Te nieliczne plusy nie są w stanie przesłonić licznych minusów, jakie są w „Ultimatum”.

Choć „Ultimatum” na ubiegłorocznym festiwalu w Karłowicach Warach uzyskało nagrodę Związku Czechosłowackich Artystów Dramatycznych za reżyserię, nie uważam, aby film ten należał do większych osiągnięć polskiej kinematografii, a wręcz przeciwnie! Całkowicie zgadzam się z opinią wyrażaną na festiwalu w Gdańsku, na którym stwierdzono, że jest to pozycja chybiona i nieudana.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

**W GRUDNIU** rozstrzygnięty został Ogólnopolski Konkurs Literacki na fraszkę. Konkurs został zorganizowany przez KMP „Władukt”, czasopismo satyryczne „Karuzela” oraz Młodzieżowe Centrum Kultury, w roku 25-lecia Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Pierwszą nagrodę jury pod przewodnictwem Bohdana Piątkowskiego przyznało Zbigniewowi Waydykowi z Białegostoku; II nagrodę otrzymał Waldemar Plawski z Warszawy; trzecią nagrodę uzyskał Jan Gross z Gorzowa Wielkopolskiego. Ponadto jury przyznało także sześć wyróżnień. Otrzymał je Zbigniew Waydyk, Waldemar Plawski, Ryszard Paszek, Ryszard Pasich, Włodzimierz Siciński i Jerzy Szulc.

**„WIECZORY AUTORÓW ŁÓDZKICH OFICYN WYDAWNICZCH”** to nowa, cykliczna impreza literacka w Łodzi, inaugurująca działalność Salonu Literackiego w Muzeum Literatury i Prasy, nowo powstającym oddziale Muzeum Historii Miasta Łodzi.

W ramach comiesięcznych spotkań w Palacu, przy ulicy Ogrodowej 15, poszczególni Wydawcy — Wydawnictwo Łódzkie, KAW, „Ossolineum”, PWN — prezentować będą autorów wydanych przez siebie książek. W trakcie imprezy, połączonej ze sprzedażą książek, można będzie uzyskać autograf autora.

Spotkaniem towarzyszyć będzie bogata oprawa artystyczna.

W pierwszym z tego cyklu spotkań, w czwartek dnia 24 stycznia 1985 roku, o godz. 17.30 wystąpi **WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI** i jego Wydawca — Wydawnictwo Łódzkie, które ostatnio opublikowało dwie jego książki: „Gdy pęka nie” i „Ogrody naszych matek”. W spotkaniu przewidziany jest udział Kwartetu Smyczkowego Akademii Muzycznej w składzie: Sławomir Górzyski — I skrzypce, Grażyna Wendland — II skrzypce, Jan Bieżyński — altówka i Piotr Krzemionka — wiolonczela. W programie koncertu: utwory Mozarta i Brahmsa.

Ponadto wystąpią artyści łódzkiej: Grażyna Walasek i Dariusz Siatkowski z montażem słowno-poetyckim w opracowaniu Marka Kołaczekowskiego.

**DZIELNICOWY** Dom Kultury Łódź-Bałuty przygotował bogatą ofertę imprez z okazji 40-lecia Wyzwolenia Łodzi. I tak: dnia 18.01.85 o godz. 12.00 w DK „Na Zubardzkiej” odbyła się pod tym hasłem uroczystość, w której programie było: — dokonanie pierwszego na Bałutach wpisu do Księgi Społecznego Czynu Pomocy Szkole następujących instytucji i osób: Zakładów „Artech”, DK „Na Zubardzkiej” oraz Mirosława Pekackiego — dyr. Zakładów „Artech”. Ta część uroczystości odbyła się pod auspicjami PRON-u.

Następnie — reprezentanci trzech bałuckich szkół podstawowych: 47, 56, 184 zmagali się o puchar dyrektora Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Bałuty w IV Miedzycy Turnieju Recytatorskim pn. 40-lecia Wyzwolenia Łodzi. Imprezę zakończył przedpremierowy spektakl pt. „Radogoszcz” w wykonaniu aktorów Teatru Studyjnego w Łodzi.

Natomiast dnia 21.01. br. o godz. 18.00 w DK „Lutnia” — ul. Lanowa 14 odbyła się uroczysta premiera tegoż spektaklu. Przedstawienie to jest wstrząsającym świadectwem z okresu II wojny światowej opartym na autentycznych zeznaniach byłych więźniów Radogoszcza.

**POWSTAŁA** „Wieczysta fundacja im. Zofii i Jana Karola Wende”, zwana również nagrodą Literacką Wende. Celem fundacji jest ustanowienie i przyznanie nagród dla wybitnych, wyróżniających się osiągnięciami literatów — powieściopisarzy, dramaturgów, poetów, krytyków — obywateli PRL. Jej działalnością kierować będzie zarząd, w skład którego wchodzi przedstawiciel Komisji Kultury Sejmu, ministra kultury i sztuki, Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Instytutu Badań Literackich PAN oraz fundator i osoby przez niego wyznaczone. Minister kultury i sztuki zatwierdził statut fundacji ustanowionej przez Jana Karola Wende, b. wicemarszałka sejmu PRL, b. sekretarza generalnego CKSD.

**19 STYCZNIA** w Domu Kultury Ludowej odbył się XVII Festiwal Teatrzyków Zuchowych.

**CZŁONKOWIE** Klubu Młodych Kolekcjonerów działającego przy Zespole Szkół Ekonomicznych nr 2 zorganizowali dla uczczenia 40 rocznicy wyzwolenia Łodzi spod okupacji hitlerowskiej wystawę unikatowych zdjęć i kart pocztowych, ukazujących historię miasta i życie jego mieszkańców. Na wystawie pokazano ponad 40 eksponatów, z których najstarsze sięgają nawet lat 80 ubiegłego stulecia. Jest to część bogatych zbiorów członka Łódzkiego Klubu Kolekcjonerów Hobbistów, Henryka Poselta.

## Terroryzm w polskim wydaniu

„Ultimatum”

Reżyseria: Janusz Kidawa

Scenariusz: Jerzy Janicki

W rolach głównych: Stanisław Michalski, Krzysztof Kiersznowski, Jan Jeruzal, Marek Wysocki i inni.

Wprawdzie w czołowie najnowszego filmu Janusza Kidawy pojawia się plansza informująca o tym, że akcja rozgrywa się w jednym z państw Europy Zachodniej, bez podania konkretnego miejsca, oraz że podobieństwo do występujących osób jest przypadkowe, to jednak widzowie zdają sobie sprawę, że przedstawione wydarzenia działają nie naprawdę. Miały one miejsce w dniach 6—9 września 1982 roku w Szwajcarii, w Bernie, kiedy to grupa terrorystów polskiej narodowości dokonała zbrojnego zamachu na naszą ambasadę.

Ten fakt stał się właśnie podstawą i punktem wyjścia do realizacji „Ultimatum”. Od razu należy stwierdzić, że samo to wydarzenie stanowiło wręcz idealny materiał na dobry film sensacyjny. W „Ultimatum” zupełnie nie wykorzystano tej możliwości i film taki nie powstał. Zaprzeczono scenariusz, który w tak dramatycznych okolicznościach napisał samo życie.

A zaczyna się nawet dość obiecująco. Oto autostrada jedzie zółty volkswagen, a w nim czterech mężczyzn. Są oni świadkami jednego z terrorystycznych zamachów, jakich wiele w krajach zachodnich, dla których to zjawisko urosło w ostatnich latach do ranci olbrzymiego problemu. Jeden z mężczyzn jest wyraźnie zszokowany zaobserwowanym zdarzeniem. Samochód przejeżdża przez zastawioną obławę, podczas której mężczyźni legitymują się polskimi paszportami i nagle w rekach mężczyzn pojawia się broń! Od tego momentu należałoby oczekiwać od filmu innych rozwiązań w popro-

wadzeniu fabuły. Zupełnie niepotrzebnie narracja zmierza w kierunku zaprezentowania w kilku epizodach przyszłych bohaterów dramatu (pracowników ambasady, czy postaci Mrozka, którego pojawianie się na ekranie absolutnie nie wnosi do samej dramaturgii), zamiast skupić się na terrorystach. Już właśnie w tym momencie istniała możliwość wytworzenia w świadomości odbiorcy odpowiednio stopniowanego napięcia. Można było to osiągnąć poprzez zaprezentowanie samych przygotowani do zamachu. Choć ambasada nie jest warowną twierdzą, to jednak dokonanie zamachu musi być poprzedzone odpowiednią obserwacją terenu, całą fazą przygotowań. Pokazanie tego na ekranie byłoby chyba o wiele bardziej interesujące niż sceny kupowania butów przez studentkę, która przyjechała do ojca, do ambasady. Właśnie brak odpowiedniej gradacji napięcia w budowaniu atmosfery zagrożenia ewentualną śmiercią, w wypadku niespełnienia przez rząd polski warunków ultimatum, stanowi najsłabszą stronę filmu.

Podobnie jak nie wykorzystano samej dramaturgii wynikającej z upływu czasu. W filmie Kidawy nie czuje się jego upływu i mających w wyniku tego następnych konsekwencji. Właśnie te tak predestynowane do wytworzenia napięcia elementy należało uwypuklić.

Następna słabością „Ultimatum” jest konstrukcja psychologiczna postaci, ich reakcji i zachowań. Film Kidawy można określić jako pewien rodzaj psychologicznego studium osób postawionych wobec ekstremalnej sytuacji. Jednak jest to studium wykazujące liczne uproszczenia. Obójtę, czy ktoś jest Polakiem, Włochem lub Niemcem, to jeśli decyduje się na dokonanie aktu terroryzmu, niewątpliwie będzie on postępowal w ten sposób, aby wzbudzić w zakładnikach strach i przerażenie. Tymczasem terroryzm

**P**o kilkuletnich występach na scenach operowych RFN powróciła do Polski para znakomych śpiewaków, solistów Teatru Wielkiego w Łodzi: ALICJA PAWLAK (mezzosopran) i ANDRZEJ MALINOWSKI (bas). Ze wspianą formą wokalną obojga artystów mieliśmy okazję zapoznać się już w ub. sezonie na łódzkiej scenie operowej: Alicja Pawlak wystąpiła w partiach Fryki w „Walkirii”, Marty w „Mefistofelesie”, Hildy w „Sonacie Belzebuba”, Andrzej Malinowski zaś tytułowego „Mefistofelesa”.

## Pupilka Moguncji...

### Rozmowa z ALICJĄ PAWLAK

Pani Alicjo, ile koleżanek z Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, w którym śpiewała pani 14 lat związało się z operą?

Niewiele, bo ze mną Izabella Nave i Halina Wojtowicz. Inne koleżanki ze „Śląska” śpiewają w chórach filharmonii i teatrów operowych.

Do „Śląska” chyba nicłatwo było się dostać, bo na jedno miejsce przypadało 100 osób?

Konkurencja była duża, startując do „Śląska” nie myślałam o operze, raczej o operetce. Na początku był ze mną problem: czy mam śpiewać czy tańczyć, bo widziałam mnie w obu grupach. Ostatecznie — śpiewałam i tańczyłam. Dziś wiem, że pracy w tym zespole zawdzięczam to, jaka jestem obecnie na operowej scenie.

A kiedy już wyszkołono panią w solfeżu, rytmice i nabrała pani scenicznego swobody, zdradziła pani „Śląsk”?

Była o to awantura, bo koniecznie chciałam mieć zaangażować Opera Bytomską, wybrałam Łódź ze względów rodzinnych. Ponadto był tu piękny, nowy teatr i młody zespół, to istotne sprawy przy angażu.

I rzeczywiście dano pani w Łodzi możliwość występiania się i satysfakcji z tego co robiła na scenie?

Tak. Ło śpiewałam tu bardzo dużo czołowych partii, w sumie ok. 20 i wszystkie pierwsze premiiery. Otrzymałam Złoty Krzyż Zasługi, zdobyłam swoją publiczność, która czekała na przedstawienia z moim udziałem, miałam dobre recenzje. Co prawda ze Śląskiem miałam możliwość zwiedzenia 34 krajów na 4 kontynentach, ale z łódzka opera byłam w Finlandii, Grecji, RFN, NRD i Jugosławii.

W wywiadzie dla „Kalejdoskopu” (1979 rok) powiedziała mi pani: „Ten zawód wymaga szczególnie wielu wyrzeczeń. Decydując się na jego wybór — trzeba być przygotowaną na jeszcze jedną, siłą rolę — niewolnika swego zawodu”. I była pani ta niewolnicą?

Byłam bo w przeciwnym wypadku, partie, które śpiewałam, nie byłyby tak dobrze odebrane przez publiczność i równie dobrze ocenione przez recenzentów.

Wrodzony temperament nie kusił pani, aby czasami robić odstępstwa od reguł półklasztoru i np. napić się czegoś zimnego, mocnego, zapalić papierosa, przetańczyć całą noc?

Śpiewak jest tylko człowiekiem, mimo reżimowego trybu życia, chce się być zwykłym śmiertelnikiem. Może zdarzyć wiele osób, ale pije zimne napoje, pali i nie pamiętam, czy do 20 papierosów dziennie, a jak jest specjalna okazja to nawiąże się alkoholu, a później tańczy całą noc.

Zdobyła pani uznanie w Łodzi, umożliwiła pozycję pierwszego mezzosopranu i niespodziewanie zdecydowała się na wyjazd za granicę?

Ale na krótko, bo tylko na 4 lata, myślałam zawsze byłam przy łódzkiej publiczności. Wyjechałam, bo chciałam się sprawdzić za granicą, potem byłoby już za późno.

I udało się ten sprawdzian w RFN?

Myślę że tak, bo byłam pupilka Moguncji, dyrektora teatru była ze mną zadowolona proponując mi przedłużenie kontraktu na następne dwa lata. Zwyciężyła tęsknota za krajem, własnym domem, łódzką publicznością. Wróciłam.

W jakich zachodniemieckich teatrach pani śpiewała?

Na etapie solistki pozostawałam w Teatrze Operowym w Moguncji, z występami gościnnymi w Luksemburgu, Frankfurtu, Brunzwicku, Darmstadt, Wiesbaden, Offenbach, Ulm i Bernie w Szwajcarii.

Jakie partie?

Zaspięwałam ich kilkanaście, m.in. Klitemnestrę w „Elektrze”, Herodiadę w „Salome”, Precjozille w „Mocy przeznaczenia”, Quickly w „Falstafie”, Judit w „Zamku Sinobrodęgo”, Juliette i Głos Matki w „Opowieściach Hoffmana”, Magdalene w „Śpiewakach norymberskich” i tytułowa „Carmen”.

Najważniejsze i najtrudniejsze z tych zadań?

Klitemnestrę w „Elektrze” Ryszarda Straussa, bo jest to kompozytor bardzo trudny do śpiewania, a ja lubię pokonywać trudności, mam wtedy większą satysfakcję, ponadto głos jest tam wykorzystany do maksimum, gdyż orkiestracja jest bardzo gęsta i sama partia stawia duże i trudne zadania aktorskie.

Największy sukces?

Wykonanie premiery „Elektry” w wielkiej niedyspozycji zdrowotnej i mimo wszystko był to ogromny sukces, zakończony 15-minutową owacją na stojąco. Sukcesem była również partia Judit w „Zamku Sinobrodęgo”, gdzie publiczność biła przez 20 minut brawa na stojąco, takiej owacji nie było w historii teatru w Moguncji — jak mi mówiono no występie.

Nie było niepowodzeń?

Nie było. Mnie były osoby, które chciałyby, aby Polka pośliznęła się, ale ja się nie dałam. Niemcy są różni, atmosfera do pracy była jednak znakomita, zespół solistów międzynarodowy, śpiewali koledzy z Jugosławii, Węgier, St. Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

A teraz najważniejsze pytanie — ile marek pani zarobiła?

Na pewno nie tyle, na ile ludzie mnie obliczają. W RFN są wysokie podatki, bardzo wysokie koszty utrzymania i mieszkania. Chcąc zachować twarz polskiej śpiewaczki, mieszkalam w takich warunkach jakich nie powinna się wstyżać polska artystka.

Płacono pani jak renowowanej śpiewaczce zagranicznej, czy też traktowano ją jak gościa z ubogiej Polski?

Miałam najwyższą gażę w Teatrze w Moguncji, wyższą niż niemieccy śpiewacy. Przyszłam

do tego teatru z bogatym repertuarem, a to się liczy.

Ten wspaniały wóz marki „Opel Manta” przed blokiem jest pani własnością?

Na taki wóz zarobiłam na gościnnych występach w Szwajcarii. Kosztował 13 tysięcy marek. Ale mieszkania jeszcze pani nie zmieniła?

Wystarczy mi czteropokojowe własnościowe, mam do niego sentyment.

Czym różni się praca śpiewaka operowego w RFN od pracy w Łodzi?

Przed wszystkim językiem, bo niemiecki jest bardzo niewygodny do śpiewania, bardzo twardy, fraza zawsze bywa poszarpana, bo końcówka słowa musi być wybita, nigdy nie osiągnie się tej ciężkiej kantyleny jak np. w języku włoskim. Jest za to wielka dyscyplina i absolutny porządek na próbach. W ciągu sezonu wystawia się 5 premier, a szósta przygotowuje się na nowy sezon. Śpiewak otrzymuje tyle prób muzycznych ile potrzebuje. To zasadnicza różnica.

Czy różnice są widoczne również w publiczności?

## Zdobyć łódzką publiczność od nowa...

### Z ALICJĄ PAWLAK I ANDRZEJEM MALINOWSKIM rozmawia BOHDAN GADOMSKI



Tak, bo publiczność polska jest bardzo chłonna, z większą fantazją, polotem. Uznaje wszystkich kompozytorów i każdego chce poznać, natomiast publiczność niemiecka ma swoich ulubieńców i wybranych twórców operowych, przede wszystkim Wagnera. I tak np. śpiewak mający w repertuarze Wagnera jest uważany za bardziej liczącego się. Polski odbiorca jest bardziej spontaniczny.

W RFN musiała pani ciężko pracować, czy też znalazło się trochę czasu na zajęcia pozateatralne?

Były miesiące, w których było dużo przedstawień, a zdarzały się także gdy śpiewałam tylko trzy przedstawienia. Wtedy zwiedzałam, Moguncja jest miastem Gutenberga, jednym z najstarszych miast niemieckich. Stale uczyłam się języka niemieckiego i wciąż kontaktowałam się z synem w kraju.

Zbierając te doświadczenia zawodowe?

Opracowałam partie, których w kraju pewnie bym nigdy nie zaśpiewała, a były to mocne partie mezzosopranowe, dzięki czemu mój głos powiększył się. Pracowałam z różnymi reżyserami: dobrymi i złyimi, z bardzo wymagającym dyrygentem. Wszystko w bardzo sympatycznym zespole, pozostawałam w RFN wielu przyjaciół, z którymi nadal utrzymuję kontakt. Przez moment nie dano mi odczuć, że jestem obca w tym kraju.

Wracając do Polski, miała pani chyba świadomość, że czas się zmienił i dla śpiewaków okres jest trudniejszy?

W ciągu tych 4 lat odwiedzałam Łódź kilkakrotnie i byłam zapoznana z naszymi kłopotami na bieżąco. Wracając byłam przygotowana, że będzie tu trudniej żyć, ale za to swojsko.

W Łodzi, po powrocie nie zaśpiewała pani jeszcze wielkiej partii i nie miała możliwości pokazania tego, czego nauczyła się za granicą?

Namiaszka była Fryka w „Walkirii”, ale jestem pełna nadziei, że dyrektor Sławomir Pietras znajdzie coś ciekawego dla mezzosopranów. W nowej premierze, która jest „Goplana”, zaśpiewam matkę.

## Pierwszy bas w Saarbrücken...

### Rozmowa z ANDRZEJEM MALINOWSKIM

Pani Andrzeju, wiem, że śpiewać zaczynał pan od naśladowania Bernarda Ładysza, a miało to miejsce w szkole średniej, podczas gdy inni koledzy marzyli zapewne o karierach wokalistów-gitarzystów młodzieżowych zespołów. Skąd więc takie nietypowe dla nastolatka zainteresowania?

Może dlatego, że po mutacji zmienił się mój sopran na bas, a najlepszym basem był Bernard Ładysz.

Co robił pan, żeby marzenia stały się realne? Śpiewałem w domu, co przeszkadzało sąsiadom. Pewnego dnia wybrałem się do domu kul-

Stanów Zjednoczonych, Bułgarii i Rumunii. Dlaczego Niemcy tak chętnie i często angażują do swych teatrów zagranicznych śpiewaków?

Bo czasami i Niemcy potrzebują śpiewaków, którzy oprócz głosu mają i duszę.

Puszczono tam pana od razu na „szeroką wodę”?

Tak, powierzano mi wszystkie duże partie, byłem pierwszym basem w Saarbrücken. Debiutowałem partią Sparafucilla w „Rigoletcie”, śpiewałem Mefistofelesa w „Fauście”, Zachariaśza w „Nabucco” i wiele innych.

Nie obawiał się pan, że te wielkie partie basowe śpiewa może za wcześnie?

Nie, bo do RFN przyjechałem z czteroletnim doświadczeniem na scenie łódzkiej opery i jeżeli zdecydowano się na mój angaż, to pewnie dlatego, że byłem młody na to stać.

Ile czasu zabierało panu śpiewanie w RFN?

Bywało różnie, śpiewałem 10 przedstawień w miesiącu, a czasami tylko dwa. Wiele czasu poświęciłem na naukę języka niemieckiego, bo przez pierwsze trzy miesiące pobytu w RFN posługiwałem się tylko językiem angielskim.

W RFN wymaga i oczekuje się od śpiewaków więcej niż w Polsce?

Na pewno więcej, przede wszystkim ołbrzymiej kondycji, bo wymaga tego śpiewanie 10 przedstawień w miesiącu, ponadto punktualności i absolutnego porządku w czasie prób, zarówno muzycznych jak i reżyserskich. Wtedy można oczekiwać, że ta ciężka praca da dobre efekty.

Ale za tą ciężką pracę płaci się tam duże pieniądze, ile dla pana?

Płaca tyle na ile śpiewak zasługuje, a mnie nie płacono mało.

Co ciekawego zobaczył i przeżył pan w RFN poza śpiewaniem i zarabianiem marek?

W TV zobaczyłem cały „Pieśń Nibelunga” Wagnera, co było dla mnie dużym przeżyciem artystycznym. W RFN żyje się na większym luzie, bez stresów, bez zwracania uwagi na to co złego powiedzą koledzy. Brano mnie tam za Szweda lub Niemca, z czego wcale nie byłem zadowolony.

Czym różniły się między sobą odwiedzane przez pana teatry operowe?

W tych teatrach różniła się tylko publiczność i koledzy z którymi śpiewałem. Najwięcej sympatii mam do południowych Niemiec: Saarbrücken, Darmstadt, Gelsenkirchen, Hagen, Monachium, Kassel, Ulm, Hanover, no i do Luksemburga i Bazylei.

Pewnego dnia zdecydował się pan na powrót do Polski?

Wydaje mi się, że pięć lat doświadczeń w RFN wystarczy, aby w pełni formy wokalne wrócić do kraju, gdzie się urodziłem i gdzie zaczynałem karierę śpiewacza.

Z jaką rzeczywistością spotkał się pan po powrocie do kraju?

Może trudna, ale sympatyczna, bo Polacy nie stracili humoru, czego nie da się powiedzieć o Niemcach. Ryba najlepiej czuje się w wodzie.

Dyrektor Sławomir Pietras nie od razu zdecydował się na pana angaż do Łodzi?

Dyrektor Pietras nie znał mnie i nie słyszał jak śpiewam.

Śpiewał więc pan na stołecznej scenie?

Tak ale niewiele, bo mnie nie dopuszczano, miałem za małą ilość prób i byłem obsadzany w nieodpowiednich dla mnie partiach. Ale czy La Scala mieszł się w Rzymie?

Powrócił pan do Łodzi, z jaką prognozą własną na śpiewanie wielkiego repertuaru basowego?

Jak na początek perspektywy są obiecujące, choćby śpiewany jeszcze gościnnie w ub. sezone tytułowy „Mefistofeles”, niebawem Stolnik w „Halce” i prawdopodobnie Leporello w „Don Giovannim”.

Jakim wydał się panu po 5-letniej nieobecności łódzki teatr?

Zmienił się tak jak każdy teatr się zmienia, z tego co widzę i słyszę, praca w nim napawa mnie optymizmem. Nie ma tu nieuzasadnionego gwiazdorstwa jakiego jest w Warszawie, a gwiazdorstwa nie znoszę. Teatr Wielki w Łodzi nie jest gorszy nawet od najlepszych teatrów RFN, w których są międzynarodowe obsady. Polskie inscenizacje uważam za bardziej interesujące od niemieckich.

Wrócił pan także na krajowy rynek koncertowy, do oratoryjnego repertuaru?

Tak, ale jeszcze nie mam żadnej propozycji.

Rodzina niemiecki jest już zamknięty w pana karierze?

Nie, będę utrzymywał kontakty i występował tam, ale tylko jako gość z Polski.

Co przed panem w Łodzi?

Odyskanie swojej publiczności, która miałem 6 lat temu. Teraz przechodzi do tego teatru inna publiczność i obawiam się, że oglądając „Mefistofelesa” bywa zaskoczona, że ktoś taki go śpiewa i zastanawia się — kto to jest. Nie wiem — czy starym sympatykom podobam się mniej lub bardziej. Jeżeli mniej, to muszę się zmobilizować do większej pracy.

Co jeszcze mobilizuje zepsutego zachodnim błędnym śpiewaka do pracy nad sobą?

W teatrze powinna być zdrowa konkurencja i w Łodzi jest kilku dobrych basów, ale podkreślam, ta konkurencja musi być zdrowa, wtedy mobilizuje do dalszej pracy nad sobą.

## W duecie...

Kiedy zobaczymy i usłyszymy Was obnie w duecie w tej samej operze?

Na razie śpiewamy w kwartecie w „Mefistofelesie”.

Czy miało to miejsce w RFN?

Nie, bo byliśmy w różnych teatrach.

Która z Was zarobiła w RFN więcej?

Alicja, o 14 marek i 52 fenigi.

Koledzy-śpiewacy mówią, że do RFN pojechałicie po marki?

To niech oni tam wyjadą, szczerze im tego życzymy.

Jakie są Wasze gaże w Łodzi?

Najwyższe w tabeli płac dla śpiewaków, czyli 12 tysięcy bez rekompensaty i nagród.

Kto sprawuje rolę dominującą w domu?

Oboje.

Która z Was ma większe poczucie humoru?

Mamy go chyba jednakowo dużo, w przeciwnym razie nie moglibyśmy pracować w teatrze.

## „Skandal w Leśmierzu”

W związku z treścią reportażu redaktora Edwarda Bryla nt. „Skandal w Leśmierzu — początek procesu” i „Ciąg dalszy „Skandalu w Leśmierzu” — dr Jerzy Krawczyk uniewinniony” publikowanych w Nr 42, 45 i 48 „Odgłosów” urzędnie przekazuje obywatelowi redaktorowi kilka nasuwających się uwag oraz stosownych informacji i sprostowań.

1. Podając w reportażach, bez zgody oskarżonego i zezwolenia sądu, pełne imię i nazwisko oskarżonego Jerzego Krawczyka redaktor E. Bryl uczynił to z obraza art. 13 ust. 2 i 3 ustawy z 26 stycznia 1984 r., prawo procesowe (Dz.U. Nr 5, poz. 24) czym dopuścił się występku z art. 49 tej ustawy ściganego z oskarżenia publicznego.

Błędny jest pogląd wyrażony w odpowiedzi obrońcom oskarżonego („Odgłosy” Nr 46), że ewentualne ujawnienie przestępstwa przez redaktora zwalnia go od obowiązku uzyskania zgody podejrzanego (oskarżonego) albo zezwolenia sądu na publikowanie nazwiska oskarżonego. Wymieniony przepis nie czyni w tym względzie żadnego wyjątku, w tym również dla osoby, która ujawnia okoliczności mające świadczyć o popełnieniu przestępstwa.

2. Sędziowie nie oczekują pochwał ze strony autorów reportażu, analizują natomiast zawsze uwagi i wysuwane wnioski pod kątem ewentualnej potrzeby wprowadzenia korekt w szczególności co do potrzeby pełniejszego uzasadnienia podstaw i przyczyn wydawanych rozstrzygnięć w sposób możliwie zrozumiały również dla obserwatorów procesu. Z drugiej strony oczekuje rzetelnego relacjonowania przebiegu rozprawy. Tymczasem autor reportażu pomija postawę świadka Wiesławy K., równoznaczną z odmową składania zeznań przed sądem. O czym świadczy zarówno dwukrotne nieusprawiedliwienie niestawiennictwa na rozprawach oraz długotrwałe milczenie na pytanie przewodniczącego rozprawy „co świadkowi wiadome jest w tej sprawie”, a następnie stwierdzenie, że nie wie o czym ma mówić, przytaczanie okoliczności sprzecznych z treścią zeznań złożonych w dochodzeniu, odwoływanie się do konieczności karmienia dziecka itp. Następnie relacje z przesłuchania ujął w formie sugerującej stosowanie drastycznych metod przesłuchania. Przypisanie się do nieznaności kanonów postępowania nie przyczyniło mu na podniesienie zastrzeżeń co do sposobu przesłuchania Wiesławy W., w sytuacji, gdy sam miał nie tylko prawo, ale przede wszystkim obowiązek pouczenia o sankcjach grożących za odmowę zeznań i dążyć do wyjaśnienia sprzeczności w treści zeznań tego świadka składanych w postępowaniu przygotowawczym i na rozprawie. Nie wspominał o dwukrotnym nieusprawiedliwionym niestawiennictwie św. Wiesławy K., nie chciał dostrzec, że zjawienie się na rozprawie z niemowlęciem na ręku było niczym innym jak swego rodzaju manifestacją obliczoną na zakłócenie niezbędnego spokoju na sali rozpraw. Tymczasem Wiesława K. w innym dniu mogła stawić się w sekretariacie Wydziału bez dziecka oświadczając, że pozostawiła je w domu pod opieką innej osoby.

3. O zasadności wydanego wyroku rozstrzygnięciem ostatecznie sąd odwoławczy w razie wniesienia rewizji przez prokuratora. W każdym wypadku sugestia w tytule reportażu łącząca również uniewinnienie ze słowem „skandal” nie ma nic wspólnego z instytucją rzeczowej relacji oraz z koniecznością zachowania minimum umiaru w formułowaniu krytycznych ocen.

4. Próby udostępniania przez redaktora E. Bryla otrzymanych od świadka Wiesławy K. listów w celu przypomnienia jej o czym ma zeznawać przed sądem oraz głośne komentowanie na sali treści wystąpienia obrońcy w tzw. głosach stron, to osobisty udział redaktora w niedopuszczalnym zakłócaniu przebiegu rozprawy.

Przekazując do wiadomości Obywatela Redaktora Naczelnego pewne stwierdzenia i odczucia odnośnie treści cyklu w/w reportażu, licząc na to, że zostaną właściwie ocenione, zrozumiane i wykorzystane w przyszłości w prezentowanej na łamach „Odgłosów” publicystyce na tematy społeczno-prawne.

Rzecznik Prasowy Sądu Wojewódzkiego w Łodzi  
dr STANISŁAW ZIMOCZ

Szanowny panie sędzio,

Ma pan niewątpliwie rację pisząc, że Edward Bryl, podając w pełnym brzmieniu nazwisko oskarżonego Jerzego Krawczyka, obraził przepisy prawa prasowego nie „procesowego” — jak był pan uprzejmy napisać? Świadomi treści i znaczenia tych przepisów nie dopuścilibyśmy w redakcji — podczas adiustacji i przygotowywania tekstu do druku — do tak rażącego naruszenia prawa, gdyby nie kilka okoliczności, które — w naszym mniemaniu — dostatecznie usprawiedliwiają to naruszenie prawa.

Edward Bryl pisał o lekarzu Jerzym Krawczyku zanim sprawa zajęła się organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Pisał w oparciu o wiadomości, które uzyskał podczas kilkuletniej, uporczywej penetracji tego szczególnego i obfitującego w drastyczne spiecia rewiru naszego życia publicznego, takim są stosunki między pacjentami a służbą zdrowia. Intencją tych tekstów nie było — przynajmniej w sposób bezpośredni — spowodowanie wszczęcia kroków prawem przewidzianych przez organy do tego powołane wobec Jerzego Krawczyka. Od początku zdecydowaliśmy wspólnie, że nazwisko lekarza będziemy podawać w pełnym brzmieniu, mając na względzie przede wszystkim niezbywalne prawo naszych czytelników do pełnego poinformowania ich o wszystkich okolicznościach sprawy przez nasz tygodnik podejmowanej. Na tym właśnie — naszym zdaniem — polega między innymi jawność życia publicznego.

W sprawie tej — na skutek publikacji Edwarda Bryla — doszło do wszczęcia postępowania karnego przeciwko Jerzemu Krawczykowi; odpowiedni organy dyscyplinarne służby zdrowia przeprowadziły też sobie właściwe postępowanie, o czym informowaliśmy czytelników. Uznaliśmy, że utajnianie już raz ujawnionego nazwiska oskarżonego byłoby jaskrawo sprzeczne z zdrowym rozsądkiem, obyczajami naszego zawodu i prawem opinii społecznej do pełnego informowania, chociaż formalnie byłoby zgodne z prawem prasowym.

Niewątpliwie należy w tym miejscu wyrazić głębokie ubolewanie z powodu naruszenia litery prawa, co skądinąd czynimy; tym niemniej wyrażamy przeświadczenie, że w tym konkretnym przypadku literalna interpretacja przepisu art. 13 prawa prasowego jest sprzeczna z duchem tego prawa i intencjami ustawodawcy. Dlatego zdecydowaliśmy się na naruszenie tego przepisu i jesteśmy gotowi ponieść wszelkie tegoż konsekwencje prawem przewidziane. Naszym błędem było, iż nie podaliśmy próby formalnego uzyskania zgody oskarżonego i sądu na ujawnienie nazwiska oskarżonego w pełnym brzmieniu.

Wobec pozostałych uwag pana sędziego być może zechce ustosunkować się autor publikacji Edward Bryl. Ze strony redakcji niezbędna jest tylko jeszcze jedna uwaga, dotycząca punktu trzeciego pańskiego listu.

Otóż sformułowanie „skandal w Leśmierzu” towarzyszy publikacji w tej sprawie od początku i jest rodzajem sygnału dla czytelników — zawsze podawane w cudzysłowie, jako tytuł pierwszej publikacji na ten temat. Zbieg sformułowań: Ciąg dalszy „Skandalu w Leśmierzu” — Jerzy Krawczyk uniewinniony — jest wynikiem zamierzonego zabiegu redakcyjnego, w celu zachowania ciągłości cyklu. Żadna miara słowo „skandal” nie odnosi się do faktu uniewinnienia Jerzego Krawczyka. Nasza o-

pinia o wyroku w tej sprawie jest bardziej umiarkowana, dostrzegamy jednak z tej ujawnieniem, gdyż nie znamy uzasadnienia wyroku ani ewentualnych zarzutów rewizyjnych. Obiecujemy wszakże, iż do sprawy wrócimy — domagała się tego nasi czytelnicy.

TOMASZ SAS

Nie potrafię zrozumieć co się stało, że uniewinniono dr Krawczyka. Czytałam przecież wszystkie reportaże E. Bryla i obciążające zeznania świadków. Nie jest możliwe, żeby ci wszyscy ludzie kłamali! Jaki by mieli cel? Dziwie się bardzo, że w telewizji pokazują się fragmenty wielu procesów, a tutaj nikt się nie pofatygował? Czyżby faktycznie postąpiono tak dlatego, że temu lekarzowi udowodniono jedynie, że wziął bezprawnie kilkanaście tysięcy złotych a nie więcej.

Jest przecież różnica pomiędzy krzywdą materialnie popełnioną przez pospolitego przestępcę a krzywdą, która wyrządza lekarz wymuszający pieniądze od chorego.

Smieszna jest sprawa uniewinnienia dlatego, że wziął za mało. Nie sądzę, aby cały przebieg procesu był traktowany przez E. Bryla jako tania sensacja. Chyba reportaż miał być ostrzeżeniem dla działających podobnie zreszta nie tylko lekarzy (dziś wielu wykorzystuje swoje stanowisko do spraw prywatnych — to już modny sposób na życie).

Artykuł umiał podkreślić istotne wartości, które feruje nasz ustroj, nasze państwo — pokazał, że nie wolno bezkarnie krzywdzić maluczkich. I cóż z tego wynika? Niczym jest krzywdą starej kobiety, która z renty musi opłacać wizyty lekarską — choć jej się prawie należy bezpłatna opieka. Niczym jest krzywdą wszystkich pacjentów naprawdę chorych, opuszczających każdy dzień zwolnienia.

Co zatem ma prawdziwą wartość? Czyżby pieniądze?

MARIA BLOCH — Łódź, Olimpijska 1

Z uwagą czytałam wszystkie reportaże dotyczące „Skandalu w Leśmierzu”. Jestem też rencistką i trudno mi wyobrazić sobie, abym mogła znaleźć się w sytuacji pacjentów dr Krawczyka. Pieniądzy jest przecież tak niewiele, a zdrowie coraz słabsze... Taka jest prawda o schyłku życia.

Dziwi się bardzo, że nie dano wiary zeznaniom świadków i uniewinniono lekarza, który tłumaczył się, że starzy ludzie kłami, wyludzali pieniądze od dzieci, twierdząc, że idą do niego z wizytą. Proszę mi uwierzyć — starzy, schorowani, stojący nad grobem rzadko kłami, a przed sądem to już na pewno nie. Zreszta jaki miałby cel? Mścić się? Na kim i za co? Oni po prostu uwierzyli, że sprawiedliwości stanie się zadość, bo ktoś tam dostrzegł i ujął się za ich krzywdą. Uwierzyli też i inni, którzy stawali zeznawcą. A co z tego wynika?

Jestem wstrząśnięta, nie mogę się pogodzić, że fakty przedstawione przez ludzi prostych, ubogich zostały zupełnie zlekceważone, a liczył się tylko głos oskarżonego.

Dziwi mnie też, że nie zasięgnięto opinii w poprzednim numerze pracy tego pana. Nie wzięto pod uwagę, że ów doktor został ukarany przez swoje władze, środowisko — przestał być kierownikiem i nie zezwoliło mu zajmować odpowiedzialnych stanowisk. Nie zrobiono tego bezpodstawnie, coś tam musiało się potwierdzić. Dlaczego więc prawo go uniewinniło, uczyniło absolutnie ze wszystkich zarzutów. Czyżby w naszym kraju były dwa prawa i ten sam czyn raz mógł być uznany za nieuczynny, niemoralny, a drugi raz za postępowanie zupełnie poprawne?

EUGENIA WŁODARSKA — Łódź, Długoskiego 19

## CHOCHLIK — ZMORA AUTORA

Proszę mnie niedawno przyjaciel, bym mu pracy oszczędzając mój własny artykuł do druku przysposobił. Wziąłem więc odbitek szczerką z ręki i uzbroiwszy się w ciepłość i długopis jałem niszczyć chochliki drukarskie. Ale chochlik, jak to chochlik, złośliwy jest i przekorny, nie próbował zatem i kontroli tak złośliwie się wymykał, że mimo kilkakrotnego czytania... trzeba było sporą erratę dołączyć do „sprawdzonego” tekstu.

Takem się załoterwał owa niedźwiedzia przysługą wyświadczoną Bogu ducha winnemu przyjacielowi, że postanowiłem wydobyc z naszej przeszłości literackiej lamentację różnych autorów na fatalną korektę ich dzieł, nie zaniedbując też uderzenia się we własną pierś, nie cudzą.

Ka. Maciej Dogiel (1715—1760), wydawca cenionego do dziś zbioru dokumentów „Codex diplomaticus Regni Poloniae et Regni Ducatus Lithuaniae”, chcąc sam zrobić korektę dzieła nie dostrzegł, że na kartę tytułowej zamiast „Codex diplomaticus” wydrukowano wielką literą „Potex diplomaticus”, co oznacza po prostu „zadek”.

Ignacy Krasicki w liście do Franciszka Ksawerego Dmochowskiego z 22 października 1800 r. skarżył się na lapsusy wprowadzone przez imię Michała Gróbla, księgarza Jego Królewskiej Mości, do pierwodruku „Monachomachii”, gdzie zamiast: „Kończy się kułem pobożna wizyta” wydrukowano: „Kończy się kosztem pobożna wizyta”, zaś w „Satyrze do króla” zamiast: „To niedobrze: krew pańska jest zaszczyt przed gminem”, drukarz poprawił: „Krew pruska jest zaszczyt przed gminem”.

Gdyby i w tej ramocie trafiły się jakieś omyłki drukarskie radziłbym przeczytać uwagi, jaką napisał Maciej Mateusz Fryczkiewicz, szpitala kościoła św. Mikołaja w Krakowie probošzer, Roku Pańskiego 1767: „Omyłki drukarskie poprawić. Okularnik jeden zebrał chleba. Spytano: „Czemu?”, odpowiedział: „Już teraz rzemień moje ustalo, bo więcej ludzi przez spary, niż przez okulary patrzy. Nie omyli się na cnoce, kto z miłości bliźniego jak przez spary patrzyć będzie na omyłki, jeżeli się znajdują w tej książce”.

Albowiem wszystkich bywała pilna poprawa, Niepotrzebna tu będzie Zoiłów zabawa.

Ale autor nigdy nie może wyżyć się troski o ostateczny kształt swego tekstu. Nawet taki erudyta, jakim był ksiądz Benedykt Chmielowski, takie oto postanie do czytelnika zamieścił na końcu wielkopomnego dzieła „Nowe Ateny, albo Akademia wszelkiej scyencyj peina, na różne tytuły, jak na classes podzielona, mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowania”: „Regestr y exkuza errorów drukarskich”:

Mędrzec to przynajmniej każdy, bez wszelkiego sporu, Że druk w labiryncie nie jest bez erroru; Węć poprawi Czytelnik to sam, to z rejestru, Nie podając Autora do censur sekwestru.

Ubezpieczony przed ewentualnymi zarzutami ze strony krytyki oddaje teraz głos Adamowi Mickiewiczowi. W liście do Czeczota, pisany w Kownie 23 marca 1823 r., poeta narzeka na odmiany, jakie wprowadził kopista do przygotowywanego właśnie do druku rękopisu II części „Dziadów”: „W formie ósmej jest: „weź Halinę pod rękę”. Niech diabeł weźmą tę Halinę! Było tam dziewczynę. Przepisywacz nie wyczytałszy, odmiemil. Ja przybierałem się poprawić, i widzę, że sam napisał. Jeśli można, popraw na miłość boską: dziewczynę lub pasterkę; co mnie tam za Halina?”

List ten znajduje się w „Nieznanych pismach Adama Mickiewicza (1817—1823) z Archiwum Filomatów” (Kraków 1910), wy-

danych przez Józefa Kallenbacha. Okazało się wkrótce, że sam Kallenbach również stał się ofiarą krytyki, bo w innym znów liście Mickiewicza, pisanym do Tomasza Zana około 18 maja 1820 r., a wydanym we wspomnianym tomie „Nieznanych pism Adama Mickiewicza” Kallenbach zamieścił taki oto dwuwiersz

Ach, kto by to mógł zgadnąć, kto nadal prznikać,  
Ze wkrótce całe Wilno będzie nos zatykać.

Podobno zecer składający ten dwuwiersz pomylił się, bo w istocie powyższy tekst miał brzmieć następująco:

Ach, kto by to mógł zgadnąć, kto nadal prznikać,  
Ze wkrótce całe Wilno będzie nas spotykać.

Stanisław Pigoń, ostatni wydawca i komentator korespondencji Mickiewicza, zawierzył Kallenbachowi, usupemniając mało czytelnym dwuwiersz uwagą Zana z innego zreszta źródła, a mianowicie z pamiętnika M. Czarnockiego: „Wszeteczne słowa obudziły w promienistych uczuciach ziej woni, dlatego na dwuznaczne rzeczy lub mowy nos zatykano”.

Pod koniec grudnia 1869 r. Cyprian Norwid pisał do księgarza-poety Henryka Merzbacha list, w którym żalił się na „drukarskie wykołębienia i pomyłki”, od których rola się świeżo wyda „Rzecz o wolności słowa”. Przy tej okazji przypomniał „halucynację zecera śpieszącego się na obiad”, którego zadaniem było złożenie wiersza:

Zrazu cię zapach porywa,  
A potem — smutki!

Pospiech zecera okazał się zabójczy dla wiersza, który wyszedł z druku w całkowicie odmiennej postaci:

Zrazów cię zapach porywa,  
A potem — wódki!

Wprawdzie pierwodruk listu Norwida został ogłoszony przez Miriamą (Przesmycką) dopiero w 1937 r., ale znany był wcześniej w środowisku literackim Warszawy dzięki przypisowi Miriamy w tomie A „Pism zebranych” Norwida (Warszawa — Kraków 1911, recte: 1912). Włączył też w 1914 r. Norwidową anegdotę do swej „Encyklopedii humoru i saryty polskiej” Antoni Orłowski (Królestwo).

Julian Tuwim, nieświeżym obajacy o poprawność drukowanych pod swoim nazwiskiem tekstów literackich, ubolewał, że na kartach „Pegaza dęba” znalazło się aż dwanaście błędów drukarskich. Maszynopis z erratą do „Pegaza” rozpoczął się od oświadczenia Tuwima (przypomnianego przez Juliusza W. Gomulickiego w redagowanych przez „Podróżach po Szpargali” w czwartą rocznicę śmierci poety): „Szczegółowy wykaz wszystkich błędów, byków, pomyłek, przeoczeń, dowodów ignorancji autora itd. ukaże się wkrótce w osobnym tomie tegoż formatu i objętości. Tymczasem proszę o zrobienie następujących poprawek”.

Gomulicki, podobnie jak niegdyś Tuwim, we wszystkich dostępnych sobie egzemplarzach książek dedykowanych przyjacielom własnoręcznie poprawia usterki druku. Dzięki temu w książce tegoż autora „Zygakiem” (Warszawa 1981) na s. 638 (w. 2 od dołu) innej wymowy nabiera porządek dzienny oficerów osadzonych w Oflagu IIDW Gross Born w kwietniowych dniach 1945 r.: „Jedni, szczególnie okutani w koca, drzemali, inni marli na jawie (...)”. Oczywiście ci inni marzyli na jawie, ale że dzień w opisie był chłodny, więc korektor, będąc realistą, a nie marzycielem, uznał, iż trzeba marznąć na jawie, a nie marzyć.

W moim edytorskim dorobku znalazły się Cypriana Norwida „Myśli o książce i o czytaniu” w wyborze i ze wstępem Juliusza W. Gomulickiego (Łódź 1982). I tego sympatycznego druczku nie ominęło przekleństwo chochlika, który „podrzucił” wydawcy przypis, wcale przez wydawcę nie zamierzony. Na efekt tego chochlikowego psikuska nie trzeba było długo czekać, bo już wkrótce piszący te słowa został obdarowany rękopiśmiennym wierszem piera J. W. Gomulickiego, który to wiersz ze skrucą własną i gwoli przestrodze innych edytorów przytaczam tutaj za wiedzą i zgodą Autora:

Kochany Dyrektorze,  
Zażość mi serce porze...  
Powód? Trujący gryzb,  
Co się nazywa „przyp.”,  
Włożony bez-atencji  
Już do pierwszej sekwencji  
I jednym pióra cugiem  
Podpisany: „Jot Wu Gie”.  
Jakby to nazwać, ech?  
Chyba — śmiertelny grzech!  
„Czy?” — pytasz Pan Dobrodzie,  
Nie mój, lecz majstrów z Łodzi!

Ale przy tych wszystkich lamentacjach własnych i cudzych nad przekornością chochlików drukarskich „dobrze jest mieć wgląd na autora, kiedy się czyta” (Norwid); warto czasem raczej przeczytać dzieło, zamiast rozpaczć nad usterkami druku.

ANDRZEJ KEMPA

## KILKA UWAG W SPRAWIE POLITYKI KULTURALNEJ

W numerze 1/1985 „Odgłosów” ukazała się pozycja Zbigniewa Antoszewskiego pt. „Czy zła była polityka kulturalna, czy jej realizacja?”. Autor wymienia nazwiska kilku wybitnych twórców, którzy zaraz po wolnie powrócili do Polski. Jeżeli chodzi o W. Broniewskiego, J. Tuwima, czy L. Schillera — to prawda. Ale A. Słonimski powrócił do kraju dopiero w 1951 roku. Natomiast Zofia Kossak-Szczucka w roku 1945 wyjechała z Polski i powróciła dopiero w 1957 roku, a jej powrót stanowił wówczas duże wydarzenie w Polsce popaździernikowej.

Tygodnik „Kultura” powstał z połączenia „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury” dopiero w 1963 roku, a nie w końcu lat pięćdziesiątych. To w 1937 roku zlikwidowano „Po prostu”, co należało zaznaczyć.

Dlatego pominięto wydarzenia lat 1964 i 1968 w kulturze i ich reperkusje?

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

OD REDAKCJI: Autor przebywa za granicą. Do uwag będziemy się mogli odnieść po powrocie.

## „PO DRUGIEJ STRONIE ŻYCIA...”

W związku z zamieszczonym wywiadem przeprowadzonym przez redaktora Bohdana Gadomskiego z Anną Gebicką na łamach „Odgłosów” z dnia 5.01.1985 roku, Dyrekcja Teatru Muzycznego w Łodzi pragnie sprostować wypowiedź p. Anny Gebickiej w sprawie rozwiązania umowy o pracę. Z przykrością stwierdziliśmy, że nie jest zgodne z prawdą iż umowa o pracę została rozwiązana po trzech miesiącach choroby p. Gebickiej. Informujemy, że p. Anna Gebicka wykorzystwała pełny okres zasiłku chorobowego, tj. 6 miesięcy (4.08.83—30.01.84). Po tym okresie Dyrekcja wystąpiła z wnioskiem o przedłużenie zasiłku chorobowego. Komisja lekarska nie wyraziła jednak zgody na przedłużenie zasiłku, uznała bowiem p. Gebicką niezdolną do pracy, przynajmniej jej i grupie inwalidztwa. Rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło w dniu 30.01.1984. Za niewykorzystany urlop wypoczynkowy za rok 1984 wypłacono ekwiwalent pieniężny.

Podanie do wiadomości nie sprawdzonych wypowiedzi gdzieś w dobre imię naszego Teatru.

Zwracamy się z uprzejmą prośbą o zamieszczenie sprostowania opisanej nieścisłości za co z góry serdecznie dziękujemy.

doc. RAIMUND AMBROZIAK  
dyrektor i kierownik artystyczny



Wśród otaczających kardynałów rozległ się pomruk aprobaty. Imię to było czymś nowym — pierwszym podwójnym imieniem w historii papieża. Zgodnie z tradycją każdy nowo wybrany papież ustalał swoje imię dając wskazówkę na temat swego przyszłego kursu. Tak więc „Pius” spotkałby się z aplauzem prawicy, gdyż widziałaby ona w tym zapowiedź powrotu do ery sprzed Drugiego Soboru Watykańskiego. Nie było natomiast jednoznacznie, jaki sygnał chciał dać Luciani wyborem swojego imienia. Z imieniem Jan Paweł każdy w swoich oczekiwaniach mógł łączyć to, czego sobie życzył.

Dlaczego Luciani, człowiek bez takich ambicji, przyjął ten urząd, który dla każdego innego oznaczałby spełnienie jego celu życiowego?

Odpowiedź, jak wiele innych rzeczy u tego prostego człowieka, jest skomplikowana. Analiza wydarzeń wskazuje na to, że został on zaskoczony szybkością i jednorodnością swego wyboru. Wielu moich partnerów rozmów wskazywało na ten właśnie aspekt. Najlepiej ujął to jeden z członków Kurii, którego z Lucianem łączyła długa, dwudziestoletnia przyjaźń:

„On cierpi z tego powodu. Gdyby nie został przytoczony tak duża większość, gdyby wszystko rozwijało się stopniowo i konklawe przedłużyło się o jeszcze jeden dzień, wówczas miałyby czas na skoncentrowanie się i powiedzenie „nie”. Gdyby podczas konklawe upewnił się, że nie jest odpowiednim człowiekiem do tego urzędu, z pewnością powiedziałby „nie”. Jest on jedną z najsilniejszych osobowości, jakie w ciągu 30 lat poznałem w Kurii”.

Istotnym czynnikiem jest także osobista skromność Lucianiego. Paradoksalnie może wydawać się łącznie przyjęcia tego najwyż-

W środku tłumy oczekiwał również sekretarz Lucianiego, Don Diego Lorenzi. Stał obok jakiegoś rodziny ze Szwecji, która pytała go, czym się zajmuje zawodowo. Odpowiedział: „Przybyłem na kilka dni do Rzymu. Pracuję w Wenecji”. Teraz z oczekiwaniami zwrócił się w stronę balkonów.

„Annuncio vobis gaudium magnum: Habemus Papam” (O, Głoszę wam wielką radość: mamy nowego papieża) — „Cardinale Albinum Luciani”.

Kiedy zabrzmiało słowo „Albinum”, młody Lorenzi odwrócił się do szwedzkiej rodziny. Lzy płynęły po jego twarzy. Uśmiechnął a potem powiedział z dumą: „Jestem sekretarzem nowo wybranego papieża”.

Nazwisko „Luciani” zaginęło prawie w owacjach tłumy. Kiedy Felici dodał: „...który przyjął imię Jana Pawła I”, reakcja była ogłuszająca. Wielu, być może większość, jeszcze nigdy o Lucianim nie słyszała, ale coś to znaczyło — imię nowego papieża. Owacja związana z osobą nowego papieża wybuchła dopiero później, kiedy Albino Luciani pojawił się przy balustradzie balkonów. Tym, co utrwala się w pamięci, jest jego uśmiech, wskazujący się głęboko w serca ludzi. Człowiek ten promieniował czymś, co wzbudzało uczucia radości i szczęścia. Będzie to radosny pontyfikat, niezależnie od tego co przyniesie. Po przynębiającym i paraliżującym pontyfikacie papieża Pawła VI był to kontrast, który nie mógł być bardziej jaskrawy. Kiedy nowy papież udzielił świątu błogosławieństwa „Urbi et Orbi” u wielu wywołało to uczucie podobne do tego, jakie odczuwa się w momencie, gdy po nie kończących się, ponurych dniach przez chmury przebiega pierwszy, jasny promień słońca.

„Moje rozumowanie było następujące: wyraźnym życzeniem papieża Jana XXIII było udzielenie mi święceń biskupich tu, w Bazylice św. Piotra. Potem, nie będąc tego godnym, poszedłem w jego ślady w katedrze św. Marka w Wenecji, która ciągle jeszcze oddecha duchem papieża Jana XXIII. Wspominają go gondolierzy, siostry, wszyscy. Z drugiej strony papież Paweł VI nie tylko mianował mnie kardynałem. Był on tym, który już kilka miesięcy wcześniej spowodował, że zacerwieniłem się po uszy, kiedy na wielkiej trybunie na Placu św. Marka przed 20.000 ludzi zdjął swój szal i owinał wokół moich ramion. Nigdy jeszcze nie zarumieniłem się tak na twarzy. Poza tym w ciągu 15 lat swojego pontyfikatu papież ten pokazał nie tylko mnie, lecz całemu światu, jak bardzo kochał Kościół, jak mu służył, jak pracował i cierpiał dla tego Kościoła Chrystusa. Dlatego wybrałem imię Jan Paweł I.

Pozwólcie się zapewnić: nie mam mądrości serca papieża Jana XXIII, jak i wykształcenia oraz kultury papieża Pawła VI. Mimo to zająłem teraz ich miejsce. Będę próbował służyć Kościołowi i mam nadzieję, że pomożecie mi w tym waszymi modlitwami”.

Tymi prostymi, powszednimi słowami (...) Jan Paweł I przedstawił się światu. Serdeczna, przyjazna reakcja tłumy zebranego na Placu św. Piotra była wiernym odbiciem wrażenia, jakie ten papież wywarł na świecie.

Watykanolodzy zastanawiali się, jakie ukryte wskazówki na temat polityki nowego papieża mogły tkwić w wybranym przez niego imieniu. Chciał być Janem czy Pawłem? Jednym z tych, do których zwrócono się z tym pytaniem, był kardynał Suenens. „Na swój osobisty sposób będzie on i jednym, i drugim. Swoją osobowością przypomina raczej Jana, ale z tym jest tak, jak z łączeniem wodoru z tlenem — otrzymuje się wodę: dwa różne elementy dają trzecią substancję”.

Imię Jan Paweł I wydawało się wskazywać na kontynuację. Dla znawców Watykanu małą wskazówką mogło być już to, że w odróżnieniu od dotychczasowej praktyki Luciani od samego początku nazywał się Janem Pawłem Pierwszym. Do tej pory numeracja pojawiała się dopiero przy drugim z kolei papieżu o tym samym imieniu. To, co oczekiwano i Kościół jako całość od tego papieża nie było po prostu nawiązaniem do jego obu bezpośrednich poprzedników. Było to coś nowego i osobliwego.

Pierwszego dnia nie wyjaśnił bliżej swoim słuchaczom, jak wyobraża sobie realizację marzenia o ubogim Kościele. W ciągu niewielu godzin rozpoczął jednak nastawianie zwrotnic, które miały zasadnicze znaczenie dla powodzenia jego zamierów.

Wieczorem, 27 sierpnia, w niedzielę, spożywał posiłek z kardynałem Jeanem Villotem i poprosił go o pełnienie funkcji watykańskiego sekretarza stanu przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Villot wyraził na to zgodę. Nowy papież zatwierdził także na stanowiskach pozostałych kardynałów Kurii, sprawujących w niej kierownicze funkcje. Dziwne byłoby bowiem, gdyby po tym, jak bez żadnej ambicji zostania papieżem udawał się na konklawe, już w kilka dni później zaprezentował nową, kościelną „ekipę rządową”.

Czołowe pismo gospodarcze Włoch, IL MONDO, opublikowało 31 sierpnia długi list otwarty do Albino Lucianiego zatytułowany „Wasza Świątobliwość, czy jest to sprawiedliwe?”. Zajmujący się polityką finansową dziennikarz tego pisma, Paolo Panerai podniósł wiele poważnych, ubranych w formę pytań, zarzutów pod adresem postępowania Watykanu w sprawach finansowych (...)

Panerai zajął się kontaktami Watykanu z Michele Sindoną. Pod pretekstem postawił Luigi Menniniego i Paula Marcinkusa z Banku Watykańskiego oraz ich kontakty z najbardziej czynnymi zonglerami finansowymi na świecie. Od Sindony bo bossów Continental Illinois Bank w Chicago (przez który, jak mogą to potwierdzić doradcy Waszej Świątobliwości, zarządza się wszystkimi inwestycjami Kościoła w Stanach Zjednoczonych) (...)

Panerai wezwał papieża do skończenia ze „spekulacjami w męnej wodzie” oraz do zatoszczenia się o „porządek i moralność” w działalności finansowej Stolicy Apostolskiej. Dla podbudowania zarzutów do listu była dołączona obszerna analiza polityki finansowej Kościoła, zatytułowana „Bogactwo Piotra”.

Ze strony Watykanu nie było żadnej reakcji oficjalnej; wewnątrz murów Państwa Watykańskiego publikacja wywarła jednak swój skutek — od milczącego zadowolenia tych, którzy i tak już zajmowali krytyczne stanowisko wobec działalności Banku Watykańskiego i APSA (Zarządu Majątku Stolicy Apostolskiej) po zdenerwowanie tych, którzy uważali, że kościelne spekulacje finansowe są zupełnie w porządku, dopóki przynoszą zyski.

W artykule zatytułowanym „Bogactwo i potęga Watykanu” ten sam temat poruszył dziennik LA STAMPA. Jego autor, Lamberto Furno ukazał finanse watykańskie w ogólnie bardziej przyjaznym świetle i jako nietrafne odrzucił niektóre zarzuty, jakie przez lata ponoszono w związku z rzekomo ogromnym majątkiem Watykanu. Wskazał jednak równocześnie na wiele nagłych problemów, którymi nowy papież musiał się zająć; należało na przykład dostarczyć dowodu na to, że — jak uważa Furno — zapoczątkowane przez papieża Jana i kontynuowane przez Pawła reformy zbliżyły Kościół do proklamowanego celu, jakim jest „Kościół ubogich”. W tym celu należy „opublikować bilans budżetu Watykanu” (...)

Nowy papież przeczytał oba artykuły z zainteresowaniem. Znalazł w nich potwierdzenie tego, że słuszne były przedsięwzięcia, jakie w tym momencie już podjął.

Albino Luciani jeszcze przed swoim wyborem na papieża znał wiele skarg na działalność finansową Watykanu. Już wówczas miał uczucie, że coś niezwykle złego i zepsutego musi tkwić w całej strukturze filozofii finansowej Watykanu. Wtedy był bezsilny. Tego wieczoru, 27 sierpnia 1978 r., podczas kolacji polecił zatwierdzonemu, właśnie na swoim stanowisku sekretarza stanu kardynałowi Villotowi natychmiastowe wszczęcie dochodzenia. Należy przedzielić całą sytuację finansową Kościoła i pod każdym względem poddać ją dogłębnej analizie. Żadna kongregacja, żaden sekretariat, żadna prefektura nie mogą być z tego wyłączone”, zarządził Luciani.

Dał Villotowi wyraźne do zrozumienia, że jego zainteresowanie dotyczy głównie działalności Istituto per le Opere Religiose lepiej znanego pod nazwą Banku Watykańskiego. Dochodzenie powinno być prowadzone dyskretnie, przebiegać szybko i mieć szeroki zasięg. Gdy tylko zostanie mu przedłożony raport, podejmie decyzję w sprawie niezbędnych przedsięwzięć.

Luciani był znany jako człowiek, który nie rzuca słów na wiatr (...)

Albino Luciani, który był zdecydowanie przekonany o tym, że Kościół rzymskokatolicki musi być Kościołem ubogich zapoczątkował więc badanie sytuacji majątkowej Watykanu. Zamierzał wszystko rozważyć, podjąć decyzję, a potem działać.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Vallopa „In God's Name”

# „W imieniu Boga” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

szego urzędu kościelnego ze skromnością, gotowością do wyrzeczeń i poświęceń. Nie jest to jednak tak nielogiczne, jak być może się wydaje. Przejęcie najwyższej władzy i odpowiedzialności może być rzeczywistym poświęceniem — jeżeli najwyższa władza i odpowiedzialność są ostatnimi rzeczami na świecie, jakich się sobie życzy.

Na konklawe panowała niezmacona radość, kiedy nowego papieża prowadzono do zakrycia. Ceremonii tej towarzyszyła jednak również konsternacja. Bracia Gammarelli, krawcy papiescy, w pośpiechu poszukiwali pasującej sutanny. Kardynałowie w radosnym nastroju palili swoje kartki do głosowania, dodając do ognia substancji chemicznej, wywołującej biały dym, na który oczekiwali świat zewnętrzny. Świat ten dostrzegali najpierw białe, a po kilku sekundach czarne kłęby dymu, wydobywające się z małego komina Kaplicy Sykstyńskiej. O godzinie 18.24 komin zaczął normalnie dymić. Teraz przez dłuższy czas wyrzucił on kłęby białego dymu w różnych pośrednich odcieniach. W środku bracia Gammarelli też nie mieli więcej szczęścia w poszukiwaniu pasującej sutanny. Wcześniej szyto przed konklawe trzy sutanny: małą, średnią i dużą. Tym razem mistrzowie na podstawie listy dwunastu papabili przygotowali cztery sutanny, wśród nich jedną szczególnie dużą. Drobną Luciani najwyraźniej nie znajdował się na tej liście. W końcu wyszedł on jednak z zakrycia, tonąc prawie w swojej nowej sutannie. Zajął miejsce na tronie przed ołtarzem i przyjął hołd od 110 kardynałów, z których każdy całował jego rękę, na co nowy papież za każdym razem odpowiadał serdecznym uściskiem.

Kardynał Suenens, jeden z inicjatorów jego wyboru, powiedział: „Ojcze Święty, dziękuję ci za twoje „tak”.

Luciani odpowiedział z szerokim uśmiechem na twarzy: „Być może byłoby lepiej, gdybym powiedział „nie”.

Odpowiedzialni za oficjalny sygnał z komina kardynałowie ciągle jeszcze wrzucali do pieca kartki do głosowania i substancje, która miała wytwarzać biały dym. W Radiu Watykańskim, które polegało na przekazywaniu informacji za pomocą tego sygnału, panowała bezradność. Zdecydowano się na bądź co bądź niepopolity meldunek: „Z całą pewnością możemy teraz powiedzieć, że dym nie jest ani czarny ani biały”.

Dziennikarze wybierali prywatny i służbowy numery telefonów braci Gammarelli, ale nie zastali nikogo. Firma pozostawała w zakryciu i poszukiwała kogoś, kogo mogłaby obarczyć odpowiedzialnością za niepowodzenie z sutanną.

Wydarzenia przekształcały się w operę komiczną, jaką mogą zainscenizować tylko Włosi.

Tymczasem kardynałowie zaintonowali w Kaplicy Sykstyńskiej Te Deum.

Na zewnątrz, na skraju Placu św. Piotra można było zaobserwować, jak jezuita Robert Tucci, dyrektor Radia Watykańskiego spieszył do brązowej bramy Pałacu Laterańskiego. Kapitan gwardii szwajcarskiej, którego zadaniem było oddanie honorów nowemu papieżowi, wypytywał jednego ze swoich stojących na warcie ludzi i dowiedział się od niego, że przez dłuższą chwilę słychać było w kaplicy oklaski. W tym momencie ku swemu zaskoczeniu kapitan usłyszał Te Deum. Mogło to oznaczać tylko jedno — był już nowy papież niezależnie od tego, kto. Problemem kapłana było tylko to, że gwardia honorowa nie stała jeszcze w pogotowiu do oddania honorów.

Zakładając, że te wszelkie odcienie szarości dymu sygnalizowały przesunięcie konklawe. Tłum zgromadzony na Placu Świętego Piotra w znacznym stopniu już rozszedł się, gdy z silnych głośników rozległ się głos: „Attenzione!” (uwaga!).

Ludzie zaczęli z powrotem napływać na plac. Spojrzenia skierowały się na balkon Bazyliki św. Piotra, którego wielkie drzwi powoli otwierały się. Na balkonie pojawiło się kilka postaci. Była godzina 19.19 od wyboru papieża upłynęło ponad godzinę. Przy balustradzie balkonów ukazał się kardynał Felici i tłum na placu uciekł.

Luciani bardzo szybko znikł z pola widzenia tłumów, ale potem ukazał się jeszcze raz. Kapitan gwardii szwajcarskiej zebrał swoją kompanię dokładnie w ostatniej chwili. Albino Luciani machał dłonią i uśmiechał się. Uśmiech ten ujął wszystkich zgromadzonych. Syn chłopca z górskiej wioski na północy Włoch, który jako młody chłopiec nie miał większego życzenia, niż być tylko parafialnym księdzem, stał teraz, wieczorem 28 sierpnia 1978 r. jako papież Jan Paweł I na balkonie Bazyliki św. Piotra.

Zgodnie z wolą Lucianiego konklawe obradowało dalej. Podczas kolacji udał się on znowu na swoje miejsce między kardynałami. Jedną ze swych pierwszych myśli poświęcił „starym” kardynałom, wykluczonym z udziału w konklawe, którzy zostali już telefonicznie poinformowani o wyniku wyborów. Zaprosił ich do udziału następnego ranka w mszy celebrowanej przez kardynałów, którzy uczestniczyli w konklawe.

Sekretariat stanu przygotował nowemu papieżowi tekst wystąpienia, które miało stanowić programowe spojrzenie na politykę Kościoła w najbliższej przyszłości. Luciani udał się z tym tekstem do swojej celi, by przeprocować to wystąpienie i konkretnymi zapowiedziami zastąpić niektóre mgliste, niejasne stwierdzenia na temat miłości, wojny i pokoju.

Przemawiał następnego ranka po mszy dziękczynnej. Oświadczył, że poświęca swój pontyfikat proklamacją Drugiego Soboru Watykańskiego. Zapewnił o uznaniu zasady kolegiałości, dzielenia władzy z biskupami. Oświadczył, że chce znowu przywrócić się wewnętrznej i dyscypliny Kościoła. W tym celu będzie się starał przede wszystkim o rewizję obu kodeksów Prawa Kanonicznego. Bez kompromisów w doktrynie katolickiej, ale także bez zwłoki powinny być kontynuowane dążenia do osiągnięcia jedności z innymi religiami chrześcijańskimi.

Główny ton wystąpienia zdradzał, że ten człowiek, który kiedyś w Wenecji sam scharakteryzował się jako „ubogi”, „przywzyczajony do małych rzeczy i spokoju”, miał anarchistyczne i rewolucyjne marzenia. To, co zapowiadał, było niczym innym, jak tylko zamiarem prowadzenia nowej misji w całym Kościele, i nie tylko w nim, lecz na całym świecie (...)

Trzymając w ręku tekst „Lumen gentium” (światło narodów), „Dogmatycznej Konstytucji” Drugiego Soboru Watykańskiego, Albino Luciani głosił swój zamiar doprowadzenia Kościoła z powrotem tam, gdzie należało: do rzeczywistości na świecie, do słów Jezusa Chrystusa: do skromności i uczciwości jego początków. Luciani trzymał się, by przy swoim powrocie na ziemię Chrystus zastał Kościół, który mógłby rozpoznać, Kościół wolny od interesów politycznych i od owej finansowo-kapitałistycznej mentalności, które jak trucizna przeniknęły od wewnątrz pierwotną misję Kościoła.

W południe nowy papież ukazał się na środkowym balkonie Bazyliki św. Piotra. Na placu kłębiło się 200.000 ludzi. Jednocześnie miliony telewizorów na całym świecie obserwowały jak wraz z hucznymi oklaskami uśmiech na jego twarzy stawał się coraz szerszy. Ukazał się właściwie po to, by odmówić modlitwy na Anioł Pański. Zdecydował się jednak uchylić jeszcze przedtem zebranej publiczności nieco rąbka tajemnicy na temat kulis tajnego konklawe. Kiedy uchylił oklaski i owacje, zaczął realizować to postanowienie, naruszając przy tym dwa przepisy panieskie: ostry nakaz zachowania tajemnicy wydany w odniesieniu do konklawe przez papieża Pawła VI oraz zwyczaj pluralis maiestatis, którym papież posługiwał się od prawie dwóch tysiącleci na znak ich prawa do suwerenności terytorialnej. Jan Paweł I uśmiechnął się do tłumy i zaczął mówić.

„Wczoraj” — po tym słowie nastąpiło prawie niedostrzegalne wstrząśnięcie ramion, jak gdyby chciał kontynuować: „...w drodze na konklawe wydarzyło mi się coś dziwnego”. Tłum załmał się wesoło, papież dostosował się do tej wesołości i zaczął od nowa. „Wczoraj rano udałem się do Kaplicy Sykstyńskiej, by w spokoju oddać mój głos. Nigdy nie marzyłem nawet o tym, co się wydarzyło. Kiedy zaczęło być dla mnie niebezpiecznie, dwa moi koledzy, siedzący obok, dodawali mi otuchy”.

Prostym, bezpretensjonalnym językiem powtórzył słowa Willebrandsa i Riberio. Potem wyjaśnił wiernym, dlaczego zdecydował się na imię Jan Paweł I.

# W kręgu fantastyki

Sekretarka wylokowała mnie na korytarz i jak worek kartofli rzuciła w kat, przy maskowej toalecie. Postanowiłem nie dać za wygraną. Zostałem znieważony i dyszałem zemstą. Podniosłem się z podłogi, strzepnałem z siebie kurz, poprawiłem na sobie ubranie i z zapalonym papierosem wmaszerowałem zrykami do sekretariatu. Nie było w nim nikogo, więc bezceremonialnie wtargnąłem do gabinetu Szefa. Zastaliśmy ich tam oboje. Na mój widok przerwali robotę.

— Inspektor z Centrali — przedstawiłem się.

Zojka zsuneła rękę z ramienia Szefa. Zeskoczyła z biurki i opuściła spódnicę. Figi ścisnęła w lewej ręce i usiłowała schować je za sobą.

— Widzę, że praca wre — stwierdziłem oschle.

Szefowi opadła szczeka. Odwrócił się do mnie plecami i zgłetywał dwie gorączkowo i niezdarne manipulował przy rozporku.

— Może kieliszek whisky, panie inspektorze? — zapytał przez ramie.

— Jestem zdeklarowanym abstynentem — oznajmiłem.

Na powrót stanął do mnie przodem, zapiął marynarkę i przyjął pozę wiernopoddanego.

— Ja też nie piję — zapewnił gorliwie. — Trzymam to dla gości. Delegacje zagraniczne, kooperanci i tak dalej... Cygarko, panie inspektorze?

Zgasłem niedopałek papierosa pośrodku biurki i prowokacyjnie rozmazałem tym niedopałkiem popiół po blacie.

— Jestem niepalący — rzekłem.

Popatrzył na mnie, na swoje biurko i znów na mnie. Potem zachichotał jak matolek, ale ten chichot szybko zamarł mu w gardle.

— Oczywiście, tak, oczywiście. Zojka, przynieś kawę panu inspektorowi.

Ująłem go za kłapy marynarki i zająłem w te jego świńskie oczka.

— Posłuchaj, grubasie — powiedziałem. — Centrala chce wiedzieć, co się stało ze sprzętem audiowizualnym Instytutu. Chce mieć także dokładne rozliczenie kosztów budowy twojej willi, dacy i jachtu. Czy to jasne, eks-dyrektorze?

— Eee... eks? — wyjąkał. — Dlaczego eks? Wskaźniki naszego III... Instytutu...

— Co z tymi wskaźnikami?

— Wskaźniki wskazują wskazane wskazania! Aaaa... albo i lensze. Po wahadło neutronowe, wysłaliśmy najwybitniejszego eksperta w zakresie fizyki jądrowej!

Czknąłem pogardliwie. Szef zamilkł.

— Co tu się działo przed moim przyjściem? — spytałem.

— Gdzie?

— Tutaj.

— Tutaj?

— Tutaj.

— Ach, tutaj — Szef splótł dłoń pod rozdytym brzuchem. — No...

— No?

— Zaszła... tego, konieczność...

— Zaszła?

Potrząsnął lysym łbem.

— Nie, Zojka nie zachodzi. To znaczy... chciałem powiedzieć, że...

— Naprawdę nie zachodzi? — spytałem tonem bardziej przyjaznym.

Szef ożywił się nieco i nabrał śmiałości.

— Jeśli pan inspektor ma ochotę — rzekł porozumiewawczo — to ja zaraz... Zojka! — Znowu potrząsnął lysym łbem. — Nie, ona nie ma prawa zaść. Przecież to jest nasze ciało reprezentacyjne.

Przeżyłem krótką chwilę rozterki duchowej.

— Pozostaje tylko kwestia... no, umiejętności przygotowania zawodowego.

Uśmiechnął się całą twarzą. Nawet jakby trochę łysina.

— Każdego roku — zwierzył mi się — wysyłamy ją na wczasy do Danii albo Szwecji, żeby mogła spokojnie pogłębiać wiedzę fachową i podnosić kwalifikacje. Zojka!

Sekretarka weszła, kołyszając biodrami. Szef zbliżył się do niej.

— Pan inspektor — powiedział — ma zamiar zweryfikować twoją znajomość przedmiotu. Chciałby zobaczyć, jak dajesz... sobie radę w pracy.

Koniuszkiem języka Zojka przesunęła po górnej wardze.

— Zestawik standardowy czy reprezentacyjny? — zapytała rzeczowo, odpinając haftki.

Nie, to nazbyt trywialne. Zresztą Zojka zawsze była trywialna. Kazałem im się wyno-

sić do diabła. Sam także postanowiłem się stąd wynieść.

Zanim opuściłem gabinet Szefa, nalałem do butelki po „Jasiu Wedrowniczku” wody z koneyki stojącej na parapecie okiennym. Woda w koneyce była rdzawa, bo zawierała nawóz przeznaczony dla kwiatów doniczkowych. Następnie za pomocą pilniczki do paznokci odkreciłem tylną ścianę telewizora i dokonałem wewnątrz aparatu kilku uproszczeń technicznych. Uproszczenia były tego rodzaju, że po włączeniu telewizor powinien stanąć w płomieniach. W końcu włożyłem pod pachę właściwą teczkę i wytoczyłem się na korytarz.

W portierni odszukałem wzrokiem odpowiedni haczyk w gablotce, by powiesić na nim klucze od głównego wejścia do Instytutu, i kiedy dla utrzymania równowagi oparłem się o ścianę, odniosłem wrażenie, że na podłodze w kacie coś się poruszyło.

JACEK SAWASZKIEWICZ

## Wahadło

— Szczur — powiedziałem. — Przybysze z planety Kanibalia zapomnieli o szczurach.

To coś poruszyło się powtórnie. Podpełzło bliżej moich stóp.

Szczur albo kret. Krety żyją pod ziemią. Kanibalianie mogli o tym nie wiedzieć.

Pochyliłem się nad tym czymś, żeby się temu lepiej przyjrzeć. To coś porastało rzadkie szpakowate włosy ostrzyżone na jeża. Taka fryzura nosi jeden z wartowników Instytutu, którego nazywamy Dragalem. Nie był to wcale ani szczur, ani kret. Był to czubek głowy Dragala.

Rzuciłem w te głowę kluczem. Klucze brzęknęły i wpadły do jej środka. Leżały tam błyszczące, odbijając promienie słońca czerwieniącego na zachodzie. Krok po kroku wycofałem się z portierni na ulicę i pobieżyłem do samochodu.

W domu przyszło mi opamiętanie. Nakreśliłem budzik, wyregulowałem, cieżarki pradziadkowego zegara; w łazience rozpostarałem folie na dnie wanny. Od ułożenia folii zaley, jak przemawia woda kapiąca z nieszczelnej rurki przy bojlerze. Teraz przemawiała „kap-tak”.

Ugotowałem sobie kurczaka w rosole z marmarzem i jadłem go przysłuchując się do dźwiękom rozbrzmiewającym w mieszkaniu.

— Trdyk-dak — mówił pradziadkowy zegar.

— Dzyk-dzak — mówił budzik.

— Kap-tak — mówiły krople kapiącej wody.

A w moim pokoju rozlegało się brzęczenie. Poszedłem tam, żeby sprawdzić, co to tak brzęczy. Brzęczała mucha.

Mucha musiała wlecieć przez uchylone okno i teraz zaciekle atakowała szyby. Była duża i zielonkawa. Była pierwsza mucha, jaka widziałem od trzech dni.

Przyniosłem jej z kuchni talerzyk z posłodzoną wodą, w której zanurzyłem pasek bibuły — dla wygodę i bezpieczeństwa tego boskiego stworzenia.

— Będę cię nazywać Renata — powiedziałem.

Mucha zaatakowała szybę ze zdwojona siłą, jakby przeraziła ją to imię.

Skończyłem jeść kurczaka i wróciłem do muchy. Leżała po ramie okiennej. Na dworze zapadał zmierzch, pawilon handlowy u podnóża wieżowca z przeciwka pulsował szeregiem różnorodnych neonów. W odległym punktowcu uszkodzony automat to gasił, to zapalał światło na klatce schodowej.

Pozamykałem wszystkie okna w mieszkaniu, żeby mój nowy przyjaciel zdradziecko mnie nie opuścił, i położyłem się na tapczanie.

Wspominałem czubek głowy Dragala wystający z podłogi w portierni i doszedłem do wniosku, że to sprawa docentów z Instytutu. Ci faceci wymyślają rozmaite sprytne urządzenia. Mogli wymyślić takie, co wywołuje obrzydzenie w ludzkim umyśle, i teraz dokonują na mnie eksperymentów.

Nade mna stał Szef. Stał i patrzył na mnie z wyrzutem. Jego łysina lśniła w księżycowej poświacie.

— Ukradłeś — powiedział oskarżycielsko — Czekam na ciebie i czekam. Myślałem, że to obiektywne trudności, a ty się byczysz, złodzieju.

— O czym pan mówi? — zapytałem.

— O wahadle. Przywłaszczyłeś sobie mienie państwowe.

— Nie mam żadnego wahadła. Wymierzyl palec w pradziadkowy zegar. — A to?

Pan doktor Jonathan T. Smith zaprowadził ludzkosc na krwawa rozprawa z przybyszami z planety Kanibalia. Kanibalianie jako pierwsi uzyl broni jądrowej. Najdzielniej stawali szczury i krety.

Dyrektor techniczny Przedsiębiorstwa rozłożył ręce i powiedział:

— Pan się myli. My nie produkujemy wahadeł neutronowych od pięciu lat. Produkujemy teraz wyłącznie regulatory balansowe. Owszem, w dobie elektroniki nikt nie kupuje zegarków mechanicznych, ale przecież elektronika kiedyś się ludziom znudzi i wtedy my opanujemy rynek światowy.

Jego świńskie oczka spoglądały ku niebu. — Pradziadkowie! — prychnął. — Miastu potrzebne jest wahadło supernowoczesne, skonstruowane zgodnie z projektem wykonanym przez nasz Instytut. Zawiesimy je u szczytu okazalej wieży, którą wzniesiemy w centrum Miasta. Rozciągniemy ono kontrolę nad procesami egzystencjalnymi każdego człowieka, wyznaczając rytm snu, pracy i odpoczynku oraz narzucając tempo.

Zatrzymałem się pośrodku chodnika i schowałem kosmonauta do skrytki, po czym opuściłem boczne szyby, bo wewnątrz samochodu panowała nieznośna duchota. Kiedy znowu spojrziałem przed siebie, zobaczyłem meską głowę. Głowa wyrastała z krawężnika, u podnóża słupa, do którego przymocowana była tabliczka z dużą literą „P” i z mniejszym napisem „Taxi”.

— Docenci z Instytutu — powiedziałem niepewnie — znowu wzięli to swoje urządzenie.

Na pierwszym biegu podjechałem do tej głowy. Otworzyłem drzwiczki i wychylając się z samochodu obejrzałem ją uważnie. Była normalnych rozmiarów, wyglądała naturalnie — jakby należała do żywego mężczyzny, którego zakopano w ziemi aż do szyi. Mężczyzna rozglądał się na boki, prawdopodobnie za taksówką, i wyraźnie ignorował moją obecność.

Wysiadłem z wozu i przykucnąłem przy tym mężczyźnie. Miał gładko wygolone policzki, krzaczaste brwi, ciemnoniebieskie oczy, brzozy wokół ust i szpakowate baki. Mógł mieć nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Pilnie szukał wzrokiem taksówki i nadal zdawał się mnie nie widzieć, ale za to ja widziałem go teraz lepiej. Kontury jego głowy obrysowane były cienką wiązką opalizujących prążków, jak to bywa przy zbyt kontrastowym obrazie telewizyjnym.

— Wyreguluję ci swoje urządzenie, panowie docenci — powiedziałem półgłosem. — Odkryłem waszą mistyfikację.

W odpowiedzi docenci pokazali mi drugą głowę, tym razem kobiecą; świadczyły o tym tlenione włosy i makijaż wokół oczu. Dół twarzy kobiety i jej cała reszta zakrywał chodnik. Kontury tego, co wystawało ponad bity chodnika, również obrysowane były cienką wiązką opalizujących prążków.

Kobieta ustawiła się za mężczyzną. Ona także czekała na taksówkę, tyle że była bardziej niecierpliwa. Co rusz unosiła rękę i machała nią przed nosem. Mnie jakos nie dostrzegając, chociaż jej włosy niemal dotykały moich butów. Odsunąłem się na bok, notracając przy tym kos na śmieci. Starannie złożona na pół leżała przy nim gazeta: „Dziennik Miasta” z datą minionego środy. Gazeta była nieskazitelnie czysta, a kiedy ją rozpostarałem, poczułem zapach farby drukarskiej.

Zostawiłem ją w tym samym miejscu i tknięty nagle myślą podszedłem do stojącej na leżni ciężarówce wyładowanej suprema. Wspiąłem się do kabiny i przetarłem dłonią po siedzeniu kierowcy.

— Zapomnieliście o kurzu — powiedziałem w przestrzeń wierzac, że docenci z Instytutu dobrze mnie słyszą. — O czterodniowym kurzu, wy durnie!

Z wysokości kabiny ciężarówce — przykładem mężczyzny z postoiu taksówek — rozleżałem się dokoła. Było więcej tych głów po obu stronach ulicy. Niektóre wystawały z ziemi w całości, większość wystawała tylko częściowo. Innym wystawał tylko czubek. W jedną i w drugą stronę sunęły one ruchem falującym wzdłuż chodnika, trzymając się raczej jego brzozy, w pobliżu domów, niż środka.

— To halucynacja — powiedziałem pod adresem docentów. — Wiem, że to halucynacja.

Nie patrząc na boki udałem się prosto do fiata i zapuściłem silnik. Do „Amaltei” pojechałem jeżdżąc, z poszanowaniem przepisów ruchu drogowego. Zaparkowałem naprzeciwko rozbitych drzwi i z siatka na zakupy przeciąłem chodnik baczac, by nie nadepnąć na czwiasz głowę. Zaopatrzyłem się w puszkę z sokiem grejfrutowym, cytrynowym i pomidorowym oraz w jeden z bochenków chleba, które wciąż były chrupiące, aromatyczne i jeszcze ciepłe.

Opuszczając supersam wybrałem krótszą drogę — te przez wystawę. Ale ta droga już nie istniała. Okno wystawowe było całe. Musiałem go dotknąć, by się upewnić, że nie jest to przywidzenie.

Wyszedłem na zewnątrz przez rozbite drzwi.

Chodnik przed sklepem, gdzie jeszcze niedawno leżała kupa stuczki, świecił czystością. Chociaż między płytami trylinki tu i ówdzie pobłyskiwały drobne okruchy szkła. Nieco dalej znalazłem grudkę rozdeptanego kitu.

Ktoś wystawił te szyby i zrobił tutaj porządek. Jeśli docenci chcieli mnie o tym przekonać, to im się udało. Jeśli chcieli mi napanić strachu, to także im się udało. Czynn przedziwnym był dom.

A kiedy znalazłem się w swoim mieszkaniu na poddaszu, kiedy zamknąłem za sobą drzwi na klucz i kiedy opuściłem na podłogę kuchni grzechocząc w siatce puszkę z sokami, wtedy odkreciłem butelkę „Czystej żytniej” i po pół godzinie byłem już dokumentnie urnięty.

C.D.N.

# 1

## Nagle zastępstwo

(2)

## Ostatnie tango w Skiroławkach

Streszczenie poprzedniego odcinka:

Autor obala zmitologizowane poglądy o działalności cenzury w PRL. Następnie omawia etapy cenzury prasowej. Jest ona prewencyjna, na co składa się autocenzura, cenzura redakcyjna i cenzura instytucjonalna, tj. Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Przy okazji autor chwali się osobistymi znajomościami z pracownikami Urzędu. Podliza się im oraz składa życzenia noworoczne.

Następny etap to cenzura czytelnicza, społeczna. Ma ona charakter represyjny. Autor narzeka na czytelników. Następnie przytacza przykład: W tygodniku ukazał się rysunek zawierający w części tekstową „brzydkie słowo”. Autor chwali rysunek i szydzi w niewybredny sposób z tych czytelników, którzy poczuli się zczepnieni.

Red.

Wróćmy do pytania, które przytoczyłem na początku: — Czy cenzura „cisnie” ostatnio dziennikarzy?

Narazie się tym, co „raczej na NIE” po raz drugi, tym razem dużo poważniej. Ostatnie trzy lata to okres najbardziej niebezpiecznej cenzury w całej historii Polski Ludowej, a przynajmniej od czasów, kiedy zaczęłam czytać w gazetach cokolwiek więcej niż „Wicka i Wacka”. A zaczęłam dość dawno, niestety, bo około roku 1950.

Mam na myśli cenzurę szeroko pojętą, tj. i redakcyjną i instytucjonalną.

A „szalony” rok 1981? — Zapyta ktoś. Otóż, wbrew pozorom, wbrew wrażeniu, że „wtedy to się w tych gazetach działo a działo”, uważam że prasa tego okresu podlegała bardzo ściśle cenzurze choć nie była to cenzura GUKPWiW.

Po pierwsze, odwazne ataki na czołowe osobistości lat siedemdziesiątych odbyły się jesienią 1980, kiedy to osobistości wcale już nie były czołowe... To co o Gierku Jaruzelskim i innych pisano w całej, dostojnie całej prasie polskiej anno domini 1980, było już tylko kalka, było wtórne, było typowym skakaniem kozy na pochyle drzewo.

Po drugie, Na skutek polaryzacji środowiska dziennikarskiego, później również polaryzacji tytułów prasowych, wystąpiła silniejsza niż zwykle autocenzura. Dziennikarz, który programowo opowiadał się za nowymi związkami zawodowymi pilnował się, żeby brzo Boże nie złego nie napisać o „ruchu odnowy”. Jestem przekonany, że niejednokrotnie widział głupotę, krótkowzroczność i arogancję wrogość różnej maści odnowicieli, ale za pióro nie chwycił. Przecież wiadomo było że jego kolega „beton” nie omieszka skrytykować wszystkiego, co „nowe”...

Podobnie tzw. „konserwa”. Dziennikarz „antysolidarnościowy” spokojnie mógł sobie darować jakiegokolwiek pozytywny opinie o działalności nowego ruchu związkowego, choć przecież mógł mieć też niejednokrotnie powody do wyrażania takich opinii. Po co? „Tamci” i tak chwala ich pod niebiosa...

Podobnie z cenzurą redakcyjną. Tak jak tygodnik „Solidarność” przez cały okres swego istnienia nie napisał ani pół dobręgo słowa o Polsce Ludowej, tak np. tygodnik „Rzeczywistość” walił w „Solidarność” jak w beben.

Po trzecie, pojawiła się no-

wa cenzura instytucjonalna. Zmora dziennikarzy, którzy próbowali cokolwiek dowiedzieć się od działaczy ZZ „Solidarność” była „autoryzacja”. Celowo używam cudzysłowu, bowiem słowo to przez działaczy „Solidarności”, oznaczało zadanie przedstawiania do akceptacji całych tekstów, nie tylko dosłownych wypowiedzi.

Po czwarte wreszcie. Były gazety tego okresu pełne krytycznych tekstów, były pełne dyskusji o polityce społecznej i ekonomicznej, o reformie gospodarczej, czy o reformie prawa. To fakt. Faktem jest jednak, że te dyskusje wcale nie ogłoszono w sposób wojenny nie zostały „wyciszone”. Trwają, choć nie ma już w nich głosów niektórych. Nie dlatego, że cenzura ich nie dopuszcza. Dlatego, że ich nie ma wcale. Wielu z niedawnych dyskutantów nabrało wody w usta demonstracyjnie, w akompaniamencie jakichś żalobnych werbli. Ich sprawa...

W okresie ostatnich trzech lat opublikowano w prasie polskiej więcej krytycznych artykułów, niż w okresie całego dziesięciolecia 1970—80. Kto nie wierzy, niech przejrzy roczniki gazet. Oczywiście, tłumaczenie tego zjawiska tylko liberalizacją cenzury, jakąś łaskawością władzy, która wprawdzie krytyki nie lubi, ale rozumie że jest potrzebna, byłoby dużym uproszczeniem. Zjawisko jest szersze i w skromnym felietonie nie miejsce na jego wyjaśnianie.

Chce zatem wrócić do tonu bardziej figlarnego i zadać się cenzurą obywatelowa. Ta jest ostatnio liberalna nad wyraz! Te tabuny nagich dziewcząt na ostatnich stronach „Razem” to pikantne ilustracje Janusza Szymańskiego-Glancza do „Skiroławek” i „Rapiera Napoleona”, ta Kamasutra, najpierw w odcinkach a teraz wrecz w całości, te „Skiroławki” wreszcie, te naskudztwa w twórczości czołowego gorszydziela maluczkich, pana Olbromskiego!

A film? „Thais”. „Widziadło” i inne? Nie szkodzi, że knoty, nudne jak dyskoteka, ale jakie odwazne obywatelowo!

A wreszcie głośna projekcja „Ostatniego tanga w Paryżu”, zafundowana narodowi przez ostoję moralności, telewizję naszą kochaną! I, popatrzcie państwo, żadnego zroszenia wśród widzów! No, może trochę, w sprawie używania tłumaczyw reglamentowanych do celów pozakonsumentnych...

Do czego to dojdzie?

Wieszcie: — Dojdzie do produkcji gigantycznego superfilmu parapsychologicznego, pn. „Ostatnie tango w Skiroławkach”.

Amen.

ANDRZEJ KAROL

# 2

## Spojrzenie znad szachownicy

## 100 pytań

Leniwość jest jednak rzeczą straszną. W minionym tygodniu zrobiłem sobie wolne, zajmując się głównie podkładaniem do pieca, bo choć mieszkam w niezgorzonym metrażu, to za to bez centralnego. No i teraz nie wiem zupełnie, za co się wprzódy łapać.

„Przegląd Tygodniowy” opublikował na przykład listę „100 pytań o przyszłość”, chwila mi tak pieknie trudnych, że odpowiadając z jakim takim sensem na wszystkie można niejako mimochodem zrobić ze dwa, trzy doktoraty i zostać co najmniej ministrem. Co do mnie nie mam aż takich ambicji, próbując wszakże odpowiedzieć przynajmniej na co drugą zagadkę, musiałbym i tak morderować się dobry rok z okładem. Dlatego też „100 pytań” pozostawiamy głównie w tytule,

wrócę do nich, być może, ale wtedy dopiero, gdy mróz zelżeje.

2.

Na dziś mamy sprawy bezspornie pilniejsze. Co do cen, to korzystając z mojego obywatelskiego prawa bez wahania opowiadam się za wariantem III, jednak pod warunkiem, że z reglamentacji zostanie wyłączony również cukier.

Mogę dać słowo honoru, że nigdy nie przetwarzałem i nie zamierzam przetwarzać go na alkohol, którego ze względu na różne przypadłości zdrowotne praktycznie zresztą nie pijam. Pijam natomiast sporo herbaty, słodząc ją cynnicznymi niby jak padyszach, herbata zaś i cukier są siłą napędową mojej żurnalistyki. Żeby zarabiać, muszę pić herbatę, żeby pić, muszę zarabiać — no i tak w kółko. Herbata akurat jest, choć wyłącznie ta droga, woiam tedy „WIECIEJ CUKRU!” i to bez względu na konsekwencje.

A że konsekwencje będą, to całkiem możliwe. Ludzie, którzy optowali za niebotycznym podwyższeniem cen wódki w nadziei, że zmniejszy to spożycie alkoholu, nie powodując równoczesnego wzrostu bimbrornictwa, wpędzili nas prosto w paskudną pułapkę, a do tego są tak rozbrajająco naiwni, że powinni natychmiast zabrać się za bajkopisarstwo, rezygnując z jakiegokolwiek wpływu na rynek i gospodarkę.

Jeżeli nie zrezygnujemy bądźmy z nich nie zrezygnujemy, moja odpowiedź na 42 pytanie „Przeglądu Tygodniowego” — „Czy i kiedy reforma gospodarcza zahamuje niekontrolowany wzrost cen i płac?” — będzie brzmiąca zwięźle: NIGDY!

3.

Co prawda jest jeszcze jeden warunek, który ułatwiłby społeczną akceptację wariantu III (słowo „wariant” brzmi mi swojsko, używam go z lubością, ciekawe jednak, czy minister Krasieński umie grać w szachy i czy wie, że są warianty przegrywane już w punkcie wyjścia!)

Otóż jeżeli mamy więcej płacić, powinniśmy też — legalnie — móc więcej zarabiać. Jednak nie o tak sobie, dlatego tylko, że paletamy się po tej ziemi, a za realnie wykładanym użyteczną pracę. I tu dla odmiany pytam do ministra Niekarcza: skoro brakuje rąk do pracy, dlaczego wynagrodzenia pobierane od drugiego pracodawcy wciąż opodatkowane są wyraźnie wyżej, niż od pierwszego (co — dodajmy — nie ma nic wspólnego z podatkiem wyrównawczym)? Przecież zamiast zachęcać, zniechęca to do dorabiania, a co gorsza — zniechęca do wykonania pracy, która powinna być wykonana...

4.

Kończąc zdanie wielokropkiem, nie pytajnikiem, ponieważ i tak nigdy nie doczekam się odpowiedzi, co pozwala mi pogodnie przejść do następnego tematu.

Właściwie są takie tematy aż dwa, niestety w zalimitowanym (reglamentowanym?) miejscu się nie pomieszczą, trzeba tedy coś wybrać. Serce podpowiada, że najwyższy już czas upomnieć się od sympatycznej skądinąd i gościnnej redakcji „Odgłosów” o należną satysfakcję, pokrzywdzony i wdeptany w błoto długo czekałem bowiem na chwilę stosowną, aż wreszcie nadeszła. Mam teraz na udokumentowanie swojej racji nie gorszą dokumentację niż królowa Elżbieta przeciwko Marji Stuart i choć nikogo nie będziemy tu wskazywali palcem, ten ktoś i tak się domyśli, że o niego chodzi.

Ważniejsze — cierp serce — zdaje mi się jednak danie odporu Andrzejowi Karolowi który na tejsze przedostatniej stronie wystąpił czas jakiś temu z obłąkanym pomysłem importowania Japończyków. Chłopiec chciał właściwie dobrze, wyczytał bowiem, że wedle jasnovidów i astrologów Japonia jeszcze przed końcem tego stulecia zniknie z powierzchni ziemi, no i chciał w porę udzielić azylu przyszłym topielcom (dla siebie rezerwuje gejsze).

Owsem, cenę miłosierdzia, nie po to jednak zaniechaliśmy budowy drugiej Japonii, żeby przywleć do siebie te pierwsze. Przecież ten okropny naród pracuje jak głupi, z należnych 14 (czternastu) dni urlopu wykorzystując jakieś dziesięć i gotów paskudnie te obcyżaje zacząć zaprowadzać nad Wisłą. To co, będziemy specjalnie uruchamiać tramwaje, żeby jeden z drugim Japończyk mógł dojechać do pracy? Ludzie wyko-

nają tak zwane „odróbki” i fundują sobie kilkanaście dni wolnego ekstra, a Japończycy będą kołatać do zamkniętej fabrycznej bramy, nie dając się nawet wyspać portierowi!

Nie, kolego Andrzeju Karolu, czy jak wam tam, nie z nami te numery! Niech sobie Japończycy zasiedlają Grenlandię, albo w ogóle cokolwiek, na zbiorowy import stanowczo się jednak nie zgadzam. Na gejsze natomiast — owsem. Jako się rzekie mam spory metraż i mogę przytulić nawet ze trzy tskle bidulki.

JERZY P.

# 3

## Równo i niesprawiedliwie

Mamy nowy orzech do zgryzienia — podwyższenie cen. Na ogół wszyscy są zgodni co do tego, że ceny powinny być ruchome: jedna rośnie, a inne spadają, ale najlepiej, jak to się dzieje w innych krajach. U nas niech wszystko będzie nieruchome i stałe. Ale nie jest. Do tego mamy reglamentację.

Znow wszyscy na ogół są zgodni co do tego, że reglamentacja to zło konieczne, ale skoro już jest, to niech sobie jeszcze pobędzie. Zapewnia ona ludziom spokój, bo wiedza, że otrzymają to, co im się należy.

Reglamentacja jest nie tylko złem koniecznym, reglamentacja jest hamulcem postępu w gospodarce. Klient nie musi się starać, aby tyle zarobić, ile wynosi jego rzeczywiste potrzeby, bo i tak na nie się nie przyda. Producent nie musi niepokoić się o zbyt, bo popyt ma ściśle określony. Reszta, jeśli wytworzy, może spokojnie wyeksportować, ale zbytnio nie musi się starać, bo u nas nikt nie lubi eksportu. Kochamy raczej import.

Reglamentację trzeba jednak wreszcie kiedyś znieść. Im zrobimy to wcześniej, tym będzie lepiej. Trzeba więc opróżnić i strachliwych przekonać. Jak to zrobić? Uznano, że prosto — pokazać, ile kosztuje reglamentacja. Wysłuchałem więc w radiu audycję, w której usiłowano mnie przekonać, że reglamentacja to interes zły, bo droga nas kosztuje, a pożytek z tego mały. Ja jestem co do tego dawno przekonany, ale posłuchałem uważnie, co do mnie mówiono.

Rachunek był mniej więcej taki. Koszt jednej kartki wynosi 18 groszy. Trzeba je przemnożyć przez 37 milionów. Przemnożyłem. Wyszło 6 660 000 zł. Teraz to trzeba przemnożyć przez 12, bo tyle miesięcy jest w roku. Wyszło 79 920 000 tysięcy złotych. Tyle rocznie kosztują same kartki.

Kartkami zajmuje się około 25 tysięcy pracowników. Najniższe wynagrodzenie takiego pracownika wynosi 11,5 tysiąca złotych. Mnożyć już nie będę, bo znów wyjdą sumy, których w życiu nie zobacze i po co mi to. Ja i bez tego wiem, że reglamentacja jest hamulcem dla gospodarki i powinna być jak najszybciej zniesiona. Ale różni specjalści — powiadają — nie można, bo dezorganizuje się rynek! To niby przy kartkach ten rynek już jest. Dziwny to rynek.

Ileokroć zbliżają się święta na drogi wyjazdowe miast wyjeżdżają specjalne patrole MO, które interesują się nie tym, jak kierowcy jeżdżą, ale co mają w... bagażniku. Czego oni tam szukają? Mięsa oni szukają. Wtedy bowiem szerokim strumieniem płynię do miast pozakartkowe mięso. Skąd ono się bie-

rze, kiedy na kartki czasem brakuje? Jest to dla mnie tajemnica. Ale w końcu nie ja odpowiadam za rolnictwo i handlowe. Ja tylko dziwię się. I zadaję klopotliwe pytania. Za to na placu.

Nikt mi zresztą w radiu nie każe pomnożyć ilości samochodów przez liczbę mieszkańców, ilość kilogramów mięsa przez ilość kilometrów, przez milicjantów, przez średnią czegoś tam... Mniejsza z tym. I tak wszyscy wiedzą, że nie zawsze trzeba jechać na wieś po mięso i kiełbasę, że to mięso i kiełbasa same do miasta przyjeżdżają, tylko drożej kosztują. Czasem nawet w fabrycznej portierni coś takiego można kupić. Więc jak to jest naprawdę z cenami i kartkami?

W radiu reporter opowiedział, jak poszedł do fabryki i pytał, ile tam ludzi pracuje przy wydawaniu i kontrolowaniu kartek i czy nie byłoby pożyteczniej, gdyby skierowano ich do produkcji. Byłoby. Tylko, że dużo łatwiej jest obliczyć, ile kosztują nas rocznie kartki niż przewidzieć, czy Katarzyna B., która teraz zarabia 11,5 tysiąca miesięcznie zechce pójść pracować w fabryce i zarobić więcej, ale przejść do pracy produkcyjnej. Nie zdradzę tajemnicy, jeśli powiem, że praca ta nie jest u nas w zbyt dużym poważaniu, że zbyt ciągle ceniona jest źle opłacana praca urzędnicza. Swoisty snobizm? Być może, ale myślę, że przyczyną są inne i głębsze.

Jest wszelkie działania arytmetyczne są bardzo łatwe do przeprowadzenia na małym komputerku, to operacje z żywnymi ludźmi są wielokrotnie trudniejsze. Miałem już okazję czytać i słuchać, jak to będziemy ograniczali administrację i kierowali ludzi do produkcji. I co? I nic? Administracja nadal nam rośnie, a ludzi do produkcji brakuje. Czy teraz taka operacja uda się, jeśli odważymy się na likwidację reglamentacji? Przecież kiedyś to musi nastąpić. Boję się, że znów będzie to działanie łatwe w teorii, w założeniach, a trudne w praktyce. Liczbą ludzi można bowiem z łatwością operować na papierze. W życiu... Ale o tym już kilka razy przekonałem się.

Tak więc, jeśli chcemy wyjaśnić ludziom, że reglamentacja jest zła, szkodliwa, niesprawiedliwa, że równo to nie tylko niesprawiedliwie, ale też taki podział hamuje rozwój, ogranicza inicjatywę, pomysłowość, nie zmusza do twórczego wysiłku, jeśli chcemy to zrobić, to sięgajmy trochę głębiej, nie fascynujmy się wielkimi liczbami. Zastanówmy się, czy potrafimy właściwie wykorzystywać te armie ludzi, którzy teraz dzielą kartki. A jest to robota nie wymagająca wielkiego wysiłku intelektualnego.

ZENON POROWATY

# 4

## Sport

## Szmal i coś jeszcze

ności i wydawania tam z trudem tu zarobionych złotych. Na ogół po to, aby grać w zagranicznym klubie i zarabiać tam dolary, marki, franki, aby je później tu wydawać. Każde dziecko w Polsce wie, że nasze złotówki nie mają za granicą żadnego znaczenia i żadnej wartości, a ich szmal przeciwnie. W Polsce jest bardzo ceniony. Nie trzeba więc wielkiej przenikliwości, aby dojść do wniosku, że Józef Adamiec będzie chciał grać w jakimś zagranicznym klubie. W tym to celu przysłał do PZPN pismo, w którym poinformował, że przestaje być członkiem PZPN i rezygnuje z dalszej gry w poznańskim Lechu. W Poznaniu odczłuchnięto nawet z ufnością, ale jako że poznanicy są ludźmi solidnymi, wiceprezes Lecha, Hilary Nowak, oświadczył, że klub nie robiłby Józefowi Adamcowi trudności z chwilą wygaśnięcia kontraktu. Ale kontrakt jeszcze jest ważny.

PZPN ze swej strony zapowiedział ustami sekretarza generalnego Zbigniewa Kalińskiego, że „J. Adamiec nie otrzyma zwolnienia i zgody na występowanie poza granicami kraju”. Ale, czy zagraniczny klub by będąc się z tym liczył?

Co prawda, niektórym sportowcom wydaje się, że na Zachodzie mieszkają same bałwany, których „polski ewaniak” omota sobie z łatwością wokół małego pałca. Tak myślał między innymi kolarz przelajowy Mąkowski. Wyjechał do Szwajcarii, gdzie opowiadał bajeczkę o tym, jak to on był przesładowany w Polsce za przynależność do byłej „Solidarności”.

Ale szwajcarska policja nie uwierzyła i azylu nie dała. Nad kolarzem przelajowym Mąkowskim zawisła groźba pracy fizycznej, na którą zresztą na Zachodzie też trzeba mieć zezwolenie. W tej sytuacji kolarz przelajowy Mąkowski... wrócił do kraju. Akurat była amnestia. Winy mu przebaczone, a już w Piśmie Świętym napisano, że radość większa jest z jednego nawróconego niż ze stu sprawiedliwych i telewizja nadała nawet specjalny program pt. „Powrót syna marnotrawnego”. W programie tym kolarz przelajowy Mąkowski opowiedział widzom o swoich zamiarach i złych szwajcarskich policjantach, co wywołało oburzenie czytelnika „Przeglądu Sportowego” Mirosława Klingslanda z Huty Warszawa i innych czytelników też.

Władze sportowe kolarza Mąkowskiego dyskwalifikowały dożywotnio za wyczyn niemoralny i niepatriotyczny, a także za nadmierne umiowanie szmalu w walucie wymienialnej. Przez myśl im nie przeszło, że Mąkowski zrobi głupi kawał i... wróci do kraju jako syn marnotrawny. Teraz głowią się, jak wyjść z tej opresji z honorem, bo Mąkowski jest kolarzem dobrym, a takich w kraju znów wielu nie ma. Będą zawody i byłoby głupio, gdyby dobry kolarz oglądał je na telewizyjnym ekranie. Ale skoro sam Mąkowski honorem i innymi drobiazgami nie przejmował się, to nie zdziwi się, jeśli i PZKOl stanie na wysokości zadania i sprawy godności, honoru, moralności i temu podobne starocie spokojnie odłoży do lamusa. Bohaterowie stadionów, torów kolarskich i szos takimi drobiazgamami się nie przejmują. Najważniejszy jest szmal.

Dorota i Małgorzata Tlałkówny są dziś głośne, bo to Dorota Tlałkówna odniosła sukces, bo to ciągle zjeżdża się teraz z góry i zbiera punkty do Pucharu Świata. A kóżby nie chciał, aby polskie narciarki taki puchar przywoziły do Zakopanego. Robi się z nimi wywiady, robi się im zdjęcia i wszystko jest w porządku. Zasiadają sobie na popularność, choć nie zawsze im się wiedzie na górskim stoku. Jak to w sporcie.

Ktoregoś ranka wysłuchałam radiowej rozmowy z Zakopanego z siostrami Tlałkównami. Mówią o nich, że mają dużo pieniędzy i to w „zielonych”. One zaprzeczają. Nic podobnego. Któraś z siostr mówi, że mają stypendium, które płaci im „zdaje się” — to jest już cytuję — GKKFIS. A mnie przy odbiorniku robi się głupio. To one nawet nie wiedzą, kto im płaci? I za co?

Pieniądz jest ważny. Bez pieniędzy coraz trudniej żyć. Każdy chciałby mieć ich coraz więcej. Ale więcej za coś, za pracę. I są ludzie, którzy wiedzą, że nie tylko pieniądze liczą się w życiu. Ważny jest szmal, ale i coś jeszcze. I to coś czasem jest ważniejsze od szmalu.

BOGDA MADEJ

Po krótkim odpoczynku nieznanymi kochankowie znowu przystąpili do dzieła. Gdzieś tam za sąsiedniej ścianą dochodziły Korsykę odgłosy miłosnego znoju — rytmiczne trzeszczenie łożka, jęki kobiety i ciężkie posapywanie strudzonego osobnika.

Zachichotała. Mają zdrowie, jak babcie kocham! Przeciągnęła rękami po udach. Pokusa dojrzała wolno, lecz nie ubiegając. Gdyby tak wrócić na chwilę pod koidrę... Tak tylko... na chwilę.

— Kochasz mnie? — dopytywała niewidoczna dama.

— Yes — wychrypiał męski głos z takim zaiste wysiłkiem, jakby dźwigał na plecach słońca średniej wielkości.

— Yes, yes! — przedrzeźniała piskliwie dama, która była widocznie istotą wrażliwą i nie wystarczały jej same tylko rozkosze cielesne. — Bardzo?

— Bardzo.

— I zawsze będziesz mnie kochał?

— Zawsze.

— Swoją drogą, jeszcze pół godziny temu byłeś wylewniejszy.

— Zmęczyłem się, Rózyzko.

— Czym?

— Tym.

— Cyrus może robić to okragły dzień — oświadczyła z dumą kobieta. — Raz za razem, zupełnie jak Chińczyk.

— Jest ode mnie młodszy — powiedział spokojnie mężczyzna. Nie charczał już, nie chrypsał; zrzucił już widocznie z pleców słońca średniej wielkości. — Miałś kiedyś Chińczyka?

— Nooo, nie...

— A Murzyna?

— Każda Amerykanka miała kiedyś Murzyna. Jeśli spotkasz taką, która powie ci, że nie, posłaj ją do wszystkich diabłów. Zapalisz?

— Chętnie.

— I na pewno chętnie wypijesz?

— Tak. Ale poczekaj chwilę. Puść nożkę, wilgotna wieiórko.

— O! Widzę, że budzi się w tobie chłop. Co — jak co, ale ten twój ptaszek jest naprawdę wspaniały. Boll!

— Moja maleńka!

— Kochasz mnie?

— Bardzo.

— Jak bardzo?

— Bardzo, bardzo.

Gwiazdor przewrócił się z westchnieniem na drugi bok. Czysta i niewinna twarz czterdziestoletniego dziecka odbijała czyste i niewinne marzenia sennie — może wcielił się teraz w dzielnego szeryfa, może jako dzielny, amerykański kapitan walczył z wrogiem w bagnach japońskiej dżungli, może był szlachetnym kochankiem, który rezygnuje z żony przyjaciela i strzela sobie z rozpacz w łeb?

Biedny, wspaniały Robert! Tak brawurowy i porywający na ekranie, i tak zagubiony w życiu. Wiedziała, że będzie cierpiał. Wiedziała również, że to cierpienie będzie szczerze. Jakże dziwne są losy człowieka. Król traci nieraz odwagę

przed uliczną, a pierwszy lepszy sutener wyciąga bezczelnie rękę po rodzoną wnuczkę prezydenta. Ten mały Polak jest doprawdy imponujący. Zaczął od zera i rzucił świat na kolana z taką łatwością, jakby pomagał mu moce piekielne. Korsyka doceniła stopień trudności. Aktorka jest piękna i robi światową karierę. Aktor jest brzydki, ale złapał jakiś ciekawy tik i robi światową karierę. Piosenkarz, który przeszedł w młodości ostry zapalenie gardła albo piosenkarz, która w wieku trzydziestu lat miała, mówiąc brutalnie, raka krtani trafił (on i ona) na pierwsze miejsce w radiowej liście przebojów tylko dlatego, że dotknęło ich szczęście — nieszczęście i że natura skaleczyła im głos przydając mu oryginalnego brzmienia. Tam jednak, gdzie sztuka sprzęgnięta jest z intelektem, przypadek — tiki, uroda, kalestwo — odgrywa tylko poślednią rolę. Liczy się natomiast talent, wiedza, żelazna wola i tak zwana siła przebiecia.

Spij, mój piękny, szlachetny kowboju! Uniosła do góry i położyła na kolanie opaloną stopę. Opuszek kciuka prawej dłoni doszukał się zębka klamarki i złoty, misternie tkany łańcuszek padł na dywan. Podniosła go i podeszła do aktora. Zegarek na lewej ręce śpiącego wskazywał piątą z minutami. Prawa ręka osunęła się poza krawędź łożka i ciążyła bezwładnie ku ziemi. Opróżniona jasnymi włoskami kiść była wrzuszająco bezbronna. Korsyka przepasała ją łańcuszkiem, zapięła klamerkę i pocałowała ostrożnie aktora w policzek.

— Nie szukaj mnie, kowboju. — szepnęła. — Nie cierp. Bądź dzielny, wspaniały, dumny i szlachetny, i niech twoja fontanna przyniesie ci dużo szczęścia wtedy, kiedy twój wiek pochyli się w dolinę mroku.

Ruszyła do drzwi i zamknęła je za sobą cichutko. Przeszła obok zasnętego portiera przez hotelowe podwoje. Zawróciła.

— Monsieur?

— Qui?

— Może mnie pan poczęstować papierosem?

— Pałę tylko caporale, madame. Nie za mocne dla pani?

— Nie. To jest właśnie coś, czego mi trzeba.

Podał jej ognia. Opromieniła go swoim księżącym uśmiechem. Podeszła do samochodu. Otworzyła bagażnik, wyciągnęła skórzany nesesser i rzuciła go na przednie, prawe siedzenie. Wzięła benzynę w pierwszej napotkanej stacji, a potem, oddalając się z wolna od wybrzeża, jechała drogą, która wiodła przez lasy piniowe.

Było dopiero pół do szóstej. Niedziela. Ruch na drodze nie dawał się jeszcze we znaki. Warto żyć! Zboczyła w cieniści, leśny dukt. Otworzyła nesesser i wysiadła z samochodu. Zdjąwszy z siebie majtki i welnianą, lejącą się między udami spodniczkę, cisnęła je w

zarośla. Włożyła nowe majtki i miękkie welurowe spodnie. Wróciła do kierownicy. Nim zapaliła silnik, spojrzała na swoje odbicie w lusterku. Powiedziała głośno: — Jesteś kurwą.

Trzydzieści kilometrów dalej, przed wjazdem na autostradę paryską, wyrzuciła przez okno sandalki i męską, wiśniową koszulę o podkaszanych rękawach. Nie wyłączając silnika, przystanęła na poboczu drogi. Włożyła parę białych, nowych tenisówek i białą bluzkę, pod którą grały jej wydatne, nie skropowane biustonoszem piersi.

Uczesała się i podgięła włosy aksamiłną przepaską. Powiedziała: — Teraz już nie jesteś kurwą. Teraz jesteś znowu uczciwą, czystą dziewczyną, która ma za sobą wszystkie brudy życia.

Na autostradzie włączyła radio. Dwie infantylne siostrzyczki z Wysp Kanaryjskich śpiewały wzdłużnie o tym, jak bardzo chciałyby zatańczyć z pewnym panem Boogie-Woogie. Korsyka nuciła z nimi do wrotu. Była lekko senna, ale szczęśliwa. Czekając ją około dwadzieścia kilometrów drogi, wiedziała jednak, że upora się z tym. Kawa. Filiżanka dobrej, mocnej kawy z ekspresu!

— Yes, sir. I can boogie...

Siostrzyczki wzięły ostatni akord tak zmysłowo i słodko, jakby nieznanymi, dobiegającymi pięćdziesiątki turysta z Wysp Brytyjskich przytułił je wrzeszcząc, obie naraz, do piersi, a one wyczuły po obydwu stronach jego marynarki dwa sówiciele wypchane portfele.

Radio mruzczało. Siódma. Po sygnale czasu miły, męski głos zaczął gaworzyć beztrudno o pogodzie. Nie będzie deszczu, nie będzie chmur, temperatura skoczy do dwudziestu sześciu stopni Celsjusza. Przechodząc do wiadomości dziennika miły męski głos nabrał raptem akcentów ponurych. Bo też co się na tym drańskim świecie dzieje?! Terrorysty baskijscy zaatakowali w jakimś barze w Bilbao dwóch Guardias Civiles. Wybuchła bomba na madryckim dworcu kolejowym Carabanchel. Trzej bojówkarze palestyńscy wkroczyli do szkoły podstawowej na terytorium Izraela grożąc, że wysadzą się z dziećmi i nauczycielami w powietrze, w odpowiedzi na co czołgi z sześcioramienną gwiazdą zwinowały przygraniczne regiony Libanu taranując domy i strzelając do ludności cywilnej. W Iranie powieszono kilku handlarzy narkotyków, odsysając z nich przedtem, wedle Agencji Reutera, krew, na której brak u skarżących się teherańskie szpitale. Polski reżyser zamieszany w aferę z trzynastoletnią Amerykanką i realizujący obecnie w Brafanii najdroższy zapewne film w dziejach kinematografii francuskiej, którego koszt sięga już dwudziestu milionów dolarów, a końca ciągle nie widać — poniósł

wczoraj kłeskę na konferencji prasowej w Cannes, gdzie został wysłany i żelony przez amerykańskich dziennikarzy. Z ostatniej chwili: również w Cannes we wczesnych godzinach porannych został ciężko pobity i odwieziony do szpitala pan Matthew S., sekretarz osobisty wybitnego twórcy filmowego, który reprezentuje we Francji kinematografię amerykańską. Fakt miał miejsce w pobliżu hotelu Carlton, tuż po przyjęciu, w którym wzięli udział goście festiwalu: producenci, reżyserzy, aktorzy i akredytowani dziennikarze. Wedle naucek świadków, napadu dokonali czterej młodzi, zmotoryzowani Korsykańczycy, działający prawdopodobnie w celach rabunkowych. Wszyscy czterej zdołali zbiec. Szczegółowy wypadek bada miejscowa policja. Lekarz oświadczył, iż życiu pana Matthew, obywatela brytyjskiego, nie zagraża niebezpieczeństwo, aczkolwiek doznał on licznych obrażeń. Jego twarz została zmasakrowana kastetami. Stwierdzono także wstrząśnienie mózgu i podwójne złamanie szczęki.

Korsyka włączyła radio. Nie była już śpiąca. Powiedziała ze zgrozą: — Chryste! Przesadziłicie trochę, chłopaki.

— Owszem, masz! Poza to, że nikogo tam nie było. — I zwracając się z płaczem do studentów i wykładowcy, zaczęła jęczeć: — Już nie chodzi mi o tę obrączkę, ale to jest gotowe nieszczęście dla meża, dla mnie, dla dziecka, dla całej rodziny. Boże! co ja teraz zrobię!? Co ja teraz biedna zrobię!?

Jedni pocieszali ją i uspokajali, inni doradzali, aby wezwać policję, jeszcze inni chcieli zrewidować Korsykanke na gorąco.

Caroline oświadczyła sucho: — Nie będzie żadnej rewizji.

— Bedzie!

— Odczepcie się!

— Ty zbrodziejko!

Ktoś sięgnął po jej torebkę. Splunęła mu w twarz. No i zamiast ćwiczeń z zakresu prawa rzymskiego wybuchła heca przypominająca do złudzenia mecz rugby — dwudziestu kilku zawodników obojga płci zwarło się w serdecznym miśnię, aby przechwycić niewidoczną piłkę, którą w tym wypadku była zniszczona, biedna torebka Korsykaniki.

Przeszukawszy ją, konwent studentów stwierdził, iż nie ma w niej nic, co choćby trochę przypominało złoto.

Znany z bezczelności chłopak zaproponował: — Trzeba ściągnąć jej stanik.

Inny dodał: — Radzę od razu poszukać w majtkach.

— A może poszukalibyśmy najpierw w łazience? — zaproponowała Jacqueline.

— Zartujesz sobie — powiedziała ciężarna studentka.

— A to niby czemu? Chodź, chodź! Chodźcie wszyscy! Pan też, panie profesorze.

Profesor dostał wypieków. Był człowiekiem stosunkowo młodym, bardzo nieśmiałym i nie miał zwyczaju zaglądać do damskich ustępów. Tak czy

ustępu. Opuszczając toaletę, zauważyła, że przed umywalką czesze się w lustrze drobna, czarna studentka korsykańska, nie lubiana specjalnie przez koleżanki i kolegów z uwagi na swój skryty charakter, a i pewnie na fakt, iż jako dziewczyna uboga dorabiała wieczorami zmywaniem talerzy w arabskiej garkuchni.

Ciężarna studentka dopiero pół godziny później zauważyła brak obrączki. Tak to zwykle jest, kiedy ktoś wchodzi do łazienki umyć ręce i zdejmując z nich cokolwiek dla wygody. Odkłada to coś (zegarek, bransoletkę, pierścionek) na bok, absolutnie przekonany, iż nie ma mowy, aby o tym zapomnieli i niestety, w większości wypadków zapomina, podnosząc potem straszny wrzask i uprzedmiotowi sobie okoliczności, wytyka kogós palcem:

— To onal!

— Kto?

— Caroline. Była wtedy w łazience.

— Nie mam twojej obrączki!

— powiedziała godnie Korsykanika.

— Owszem, masz! Poza to, że nikogo tam nie było. — I zwracając się z płaczem do studentów i wykładowcy, zaczęła jęczeć: — Już nie chodzi mi o tę obrączkę, ale to jest gotowe nieszczęście dla meża, dla mnie, dla dziecka, dla całej rodziny. Boże! co ja teraz zrobię!? Co ja teraz biedna zrobię!?

Jedni pocieszali ją i uspokajali, inni doradzali, aby wezwać policję, jeszcze inni chcieli zrewidować Korsykanke na gorąco.

Caroline oświadczyła sucho: — Nie będzie żadnej rewizji.

— Bedzie!

— Odczepcie się!

— Ty zbrodziejko!

Ktoś sięgnął po jej torebkę. Splunęła mu w twarz. No i zamiast ćwiczeń z zakresu prawa rzymskiego wybuchła heca przypominająca do złudzenia mecz rugby — dwudziestu kilku zawodników obojga płci zwarło się w serdecznym miśnię, aby przechwycić niewidoczną piłkę, którą w tym wypadku była zniszczona, biedna torebka Korsykaniki.

Przeszukawszy ją, konwent studentów stwierdził, iż nie ma w niej nic, co choćby trochę przypominało złoto.

Znany z bezczelności chłopak zaproponował: — Trzeba ściągnąć jej stanik.

Inny dodał: — Radzę od razu poszukać w majtkach.

— A może poszukalibyśmy najpierw w łazience? — zaproponowała Jacqueline.

— Zartujesz sobie — powiedziała ciężarna studentka.

— A to niby czemu? Chodź, chodź! Chodźcie wszyscy! Pan też, panie profesorze.

Profesor dostał wypieków. Był człowiekiem stosunkowo młodym, bardzo nieśmiałym i nie miał zwyczaju zaglądać do damskich ustępów. Tak czy

owak potrzebny był jakiś wiarygodny świadek, a kto może być lepszym świadkiem, niż specjalista od prawa rzymskiego.

Jacqueline odniosła tego dnia duży sukces. Obrączka spłynęła po prostu z mydłami poza krawędź umywalki. Tłum młodych dziewcząt i chłopców z panem profesorem na czele opuścił w milczeniu kobiety przybytek. Jacqueline nie komentowała wydarzenia, ciężarna meżatka dostała ponownie młodości, a czarna Korsykanika nie pokazywała się przez tydzień na wykładach. Potem wszystko wróciło do normy.

14 czerwca, w dniu swoich urodzin, Jacqueline urządziła rok w rok za zgodą rodziców huczne przyjęcie, które rozpoczęły się zwykle o godzinie szóstej wieczorem i trwały do bladego świtu. Aby nie krepować młodych, mecenas Moizon opuszczał wówczas wraz z żoną Paryż spędzając noc w jednym z podmiejskich hoteli lub składając wizytę owdowiałemu ojcu w Lille, a jego paryski, wielopokojowy, urządzony ze smakiem dom w 10<sup>o</sup> Arrondissement brały we wiadanie tabuny przyjaciół Jacqueline. Liczba gości oscylowała w granicach setki, z tym, że jedni przychodzili, inni wychodzili, towarzystwo mieszało się, kłębilo, kółkowało, wrzeszczały trąbki, zawodziły saksofony, nie brakło także muzyki mechanicznej; krótko mówiąc: czyste żywioł, nad którym miało jednak pieczę dwóch wynajętych przez mecenasa policjantów w cywilu.

Otóż nie zważając na to, czy spodoba się ten gest jej paryskim przyjaciołom, Jacqueline zapraszała na swoje urodzinowe przyjęcie Korsykanów i Korsykaniki. Niewiele, ot, tyłu, ılı ich miała na roku — czasami wpadło czterech, czasami pięciu, niektórzy, jak na przykład Caroline, byli bardzo biedni, inni zaś bardzo bogaci. W tym drugim wypadku plotka niesła, iż ich ojcowie mieli powiązania ze światem przestępczym.

Przyjazna z natury i pozbawiona jakiegokolwiek uprzedzeń Jacqueline nie unikała Korsykanów na ulicy, chętnie przesiadywała z nimi w kawiarniach Dzielnicy Łacińskiej, uważała, że nie ma w tym nic złego, jeśli któryś odwiedzi ją z uczelni do domu swoim samochodem, a ona zrewanżuje mu się przy najbliższej okazji.

Słyszała oczywiście o czymś takim, jak Unia Korsykańska, która wedle znawców przedmiotu jest organizacją silniejszą i okrutniejszą nawet od sycylijskiej mafii, nie wierzyła w to jednakże, podobnie jak większość Amerykanów nie wierzy, że istnieje w Stanach Zjednoczonych coś takiego, jak podziemny, kierowany z żelazną precyzją rząd Cosa Nostra.

Owszem, świat wierzy w bandytów, terrorystów i gangsterów, odrzuca jednak z uporem myśl o tym, że ci terrorysty, bandyci i gangsterzy mają swojego podziemnego prezydenta, swojego podziemnego premiera i swoich podziemnych ministrów. To już byłoby doprawdy zbyt straszne!

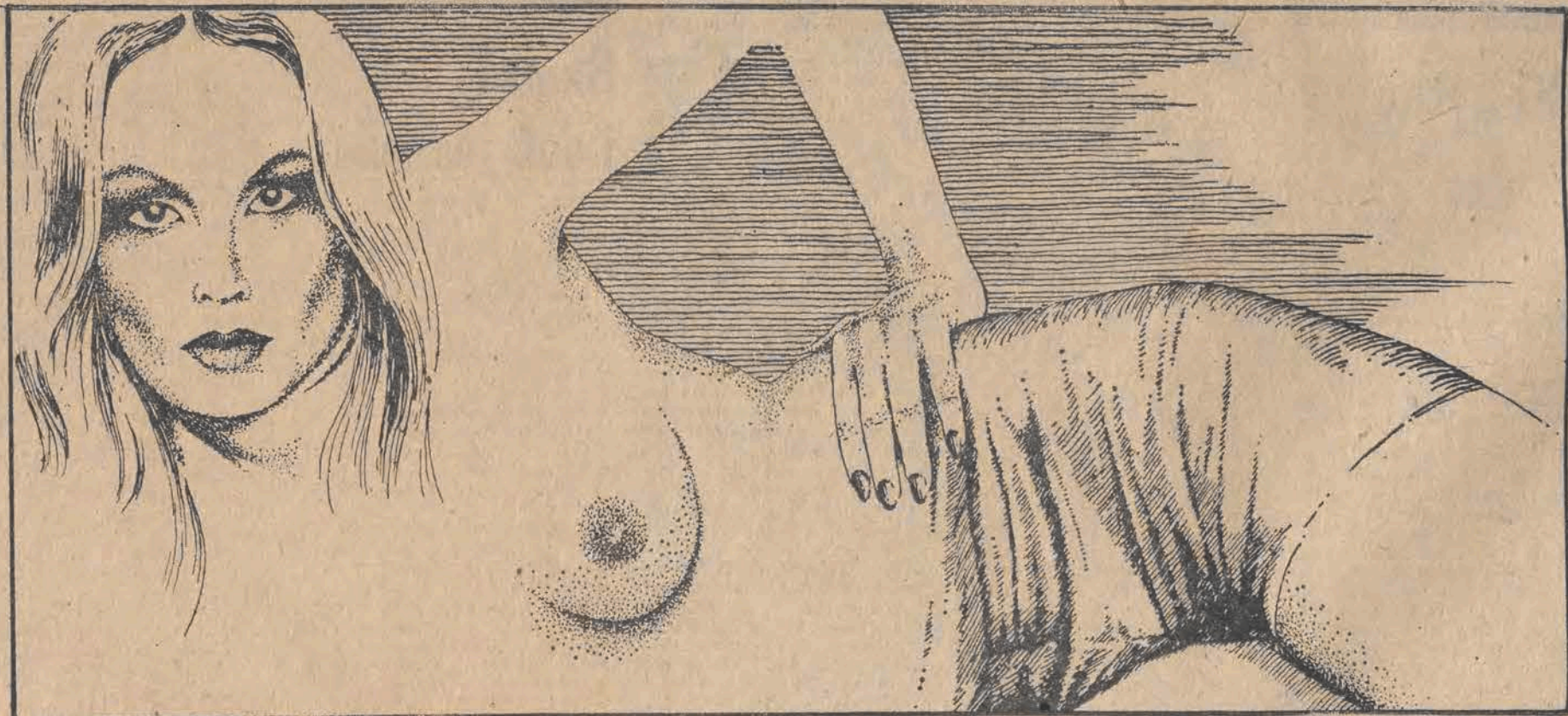
Pewnego dnia, w hallu uczelni, wobec wielu kolegów i koleżanek, znany paryski podrywacz, słuchacz czwartego roku medycyny, zaproponował Jacqueline spotkanie w formie wielce prowokacyjnej i obraźliwej, obliczonej z góry na efekt przeciwny. Kiedy zgodnie z przewidywaniami odmówiła, rzekł donośnie na cały hall:

— Drugi raz, kurwo, taka okazja już ci się nie trafi.

Jeszcze tego samego dnia człowiek ów został pobity do nieprzytomności przez jakichś nikomu nieznanych, ciemnoskórych osobników, a nazajutrz, podczas wykładów, ktoś po raz pierwszy syknął za plecami Jacqueline:

— Korsyka!

A potem była ta sławna sex-party u Tereski.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

C.D.N.